ANALIZA ADAMA WIELOMSKIEGO

Polska bomba atomowa to większe bezpieczeństwo czy zagrożenie?



TYGODNIK LISICKIEGO

NR 12/672 16–22 MARCA 2026
CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY

Tusk rusza do boju o Trybunał Konstytucyjny



Kim jest nowy ambasador Rosji w Polsce

ILE POLSKA ZAPŁACI ZA TĘ WOJNĘ

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829



Polish–Hungarian–American Leadership Summit 2026

Polsko–Węgiersko–Amerykański Szczyt Liderów 2026
Lengyel–Magyar–Amerikai Vezetői Csúcstalálkozó 2026

A NEW STAGE OF COOPERATION

Nowy etap współpracy | Az együttműködés új szakasza

BUSINESS • SECURITY • INNOVATION
15–17 MARCH 2026

EVENT VENUE: KRAKÓW, PARK INN BY RADISSON
MIEJSCE WYDARZENIA: KRAKÓW, PARK INN BY RADISSON
RENDEZVÉNY HELYSZÍNE: KRAKÓW, PARK INN BY RADISSON

Register now — limited capacityScan the QR

Zarejestruj się — liczba miejsc ograniczona
Regisztrálj most — korlátozott férőhely

www.PHALS.pl

Partner Główny PHALS 2026
Województwo Małopolskie

MAŁOPOLSKA

Partnerzy

IZBA GOSPODARCZA
BLOCKCHAIN I NOWYCH TECHNOLOGII

eprasa.pl df9201f649

RADA PROGRAMOWA



Łukasz Smółka
Marszałek Województwa Małopolskiego



Anna Maria Anders
Polska polityk, dyplomata, działacz polonijny



prof. Andrzej Nowak
Historyk, profesor zwyczajny Uniwersytetu Jagiellońskiego i Instytutu Historii PAN w Warszawie



Íjgyártó István
Ambasador Węgier w Polsce, dyplomata



dr Tibor Gerencsér
Konsul Generalny Węgier w Krakowie, historyk, polonista, dyplomata.



dr Pál Attila Illés
Historyk, dyplomata, wykładowca akademicki



Zbigniew Zborowski
Przedsiębiorca i strateg współpracy gospodarczej Polska–USA



prof. Andrzej Janusz Zybertowicz
Doradca Społeczny Prezydenta RP, socjolog, profesor nauk społecznych



dr Józef Orzeł
Polityk, filozof, ekonomista, publicysta i menedżer



dr Jacek Saryusz-Wolski
Doradca Prezydenta RP ds. Europejskich



Barbara Nowak
Nauczycielka historii, radna Sejmiku Województwa Małopolskiego



Daniel Obajtek
Poseł do P.E. w latach 2018-2024 Prezes Grupy ORLEN



Tomasz Obszański
Doradca Prezydenta RP ds. rolnych; Przewodniczący NSZZ Solidarność Rolników Indywidualnych



dr hab. Robert Stawarz
Prorektor ds. Kształcenia i Rozwoju Uniwersytetu K.E.N w Krakowie



Rafał A. Ziemkiewicz
Pisarz, dziennikarz i konserwatywny influencer polityczny



Michał Maciej Lisiecki
Twórca PMPG Polskie Media S.A., wydawca tygodników „Wprost" oraz „Do Rzeczy"



Paweł Lisicki
Redaktor naczelny i założyciel tygodnika „Do Rzeczy"



Piotr Gabryel
Zastępca redaktora naczelnego tygodnika „Do Rzeczy"



Karol Gac
Szef portalu DoRzeczy.pl oraz publicysta tygodnika „Do Rzeczy"



dr Miklós Szánthó
Prawnik, Dyrektor Generalny Centre for Fundamental Rights



Sebastian Kęciek
Zastępca Dyrektora w Biurze Polityki Międzynarodowej KPRP, dyplomata, Ambasador RP na Węgrzech w latach 2022–2025



dr Réka Földváryné Kiss
Przewodnicząca Komitetu Pamięci Narodowej w Budapeszcie, historyk



Péter Lőrincze
Współprzewodniczący Konfederacji Węgierskiego Biznesu, ekspert w dziedzinie międzynarodowych stosunków gospodarczych Węgier



Mihály Rosonczy-Kovács
Członek zarządu Fundacji Wacława Felczaka, dyrektor międzynarodowego think tanku Nézőpont Intézet w Budapeszcie



dr Rajmund Fekete
Historyk, dyrektor Węgierskiego Instytutu Badań nad Komunizmem

Partnat medialny: TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ · Radio Wnet · Biały Kruk · HSH · Do Rzeczy · wprost

eprasa.pl df9201f649



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

To nie nasza wojna

To, że bezpieczeństwo Polski oparte jest na sojuszu z USA, to pewnik, na którym oparta była cała polska polityka zagraniczna po 1989 r. Trudno się dziwić – po upadku komunizmu i odzyskaniu niepodległości od Związku Sowieckiego, który w tym czasie szczęśliwie się rozpadł, Ameryka wydawała się przewidywalnym, podzielającym wspólne wartości i wiarygodnym partnerem. Z tego też powodu ogół polskich polityków powtarza niczym mantrę to samo hasło: dobre i bliskie relacje z USA są dla Polski bezwarunkowo ważne. Z tego też powodu najważniejszym celem politycznym Warszawy ma być doprowadzenie do wzrostu amerykańskiej obecności militarnej nad Wisłą. Ostatnich kilka lat, ze szczególnym uwzględnieniem wojny USA i Izraela przeciw Iranowi, powinno jednak dać polskim politykom do myślenia. Nie da się bowiem już tak łatwo podtrzymywać tezy, na której opierało się dotychczasowe rozumowanie, zgodnie z którą istnieje tożsamość polskich i amerykańskich interesów. Konflikt na Bliskim Wschodzie to pokazuje.

Pierwszym sygnałem ostrzegawczym dla polskich elit powinna być wojna na Ukrainie i odrodzenie się tam, a ostatnio wręcz dominacja, ideologii banderowskiej. Jak to było możliwe? Dlaczego uzachodnienie Ukrainy musiało pociągać za sobą jej banderyzację? Powód jest oczywisty, co wcale nie znaczy, że w Polsce się go dostrzega. Przeciwnie, jest on przykrywany i wypierany ze świadomości. Dlaczego? Dlatego, że po 2014 r., czyli po przewrocie w Kijowie, to właśnie na nieliczne wówczas, ale fanatycznie nacjonalistyczne, gotowe na wszystko, w tym na wojnę z Rosją, ugrupowania i siły banderowskie postawiły Stany Zjednoczone. To te skrajne siły otrzymały wsparcie finansowe, szkoleniowe i militarne. Waszyngton dostrzegł w ich odrodzeniu szansę na realizację swojego celu geostrategicznego: na wyrwanie Ukrainy ze sfery wpływów Rosji. Tego działania mogły się podjąć jedynie grupy radykałów i ekstremistów. Tyle że to, co mogło być korzystne dla strategów amerykańskich, wcale nie musiało leżeć w interesie Warszawy. Renesans banderyzmu jest przecież ostatnią rzeczą, której Polska mogłaby chcieć. Żeby tę sprzeczność ukryć – Polska całą mocą wspierała Ukrainę, na której de facto banderyzm stawał się oficjalną ideologią państwową, a ludobójstwo na Wołyniu jest systematycznie negowane – propagandyści opowiadali o wspólnym polsko-ukraińskim imperium lub głosili z miedzianym czołem, że obecny banderyzm – ideologia agresywna, oparta na kulcie czystości krwi i stanowiąca uzasadnienie dla zbrodni – jest już niegroźny, bo antyrosyjski.

Drugim sygnałem powinny być ostatnie wydarzenia na Bliskim Wschodzie. Jakie wnioski płyną z tej wojny dla Polski (a raczej jakie powinny płynąć)? Po pierwsze, USA przystąpiły do wojny bez jasnych celów strategicznych, a te, które zostały zadeklarowane przez prezydenta Donalda Trumpa, choćby bezwarunkowa kapitulacja Teheranu i zmiana reżimu, nie są osiągalne. Waszyngton zachował się zatem w sposób nieobliczalny i nieracjonalny.

Po drugie, podejmując decyzję o napaści, Waszyngton nie liczył się z możliwymi konsekwencjami dla swoich sojuszników, w tym dla Polski. Te zdają się jasne. Gwałtowny wzrost cen gazu i ropy naftowej uderza w polską gospodarkę. Przedłużająca się wojna oznacza wzrost chaosu i niebezpieczeństwo aktów terrorystycznych wymierzonych w państwa zachodnie, w tym w Polskę. Wojna może wywołać kolejną, gigantyczną falę migracji, czego skutki znowu boleśnie odczuje Europa. Tak było kilka lat temu wskutek wojny w Syrii, teraz może być wyłącznie gorzej. Wreszcie, angażując się na Bliskim Wschodzie, Waszyngton wzmacnia, i to znacząco, pozycję Rosji, co przecież według ogółu polskich polityków jest szkodliwe.

Po trzecie, Amerykanie podpalili Bliski Wschód dla Izraela. O ile Waszyngton nie jest w stanie jasno wytłumaczyć, po co ta wojna, o tyle państwo żydowskie jest. Najzwyczajniej w świecie chodzi o budowę Wielkiego Izraela i podporządkowanie mu całego Bliskiego Wschodu. Jaki ma w tym interes Polska? Nie widzę żadnego. Gorzej. Tak całkowite podporządkowanie polityki amerykańskiej Izraelowi sprawia, że można domniemywać, że w każdej sytuacji konfliktu między Polską a środowiskami żydowskimi Waszyngton będzie po stronie tych ostatnich. I nie tylko „będzie po stronie", ale użyje wszystkich swoich wpływów i środków, żeby narzucić wolę Izraela. Biorąc pod uwagę wiele spornych spraw – co się tyczy zarówno pamięci narodowej, jak i tzw. mienia pożydowskiego – to informacja dla Polski bardzo niedobra.

Wszystko to powinno wywołać w Polsce poważną refleksję.

PS Jednym z najważniejszych elementów budowy polskiego bezpieczeństwa jest utrzymywanie bliskich relacji Polski z państwami Europy Środkowej. Nie da się tego osiągnąć bez współpracy z naszym tradycyjnym partnerem, Węgrami. Dlatego redakcja „Do Rzeczy" zorganizowała w dniach 15–17 marca w Krakowie osobną konferencję, poświęconą polsko-węgierskiej współpracy gospodarczej w regionie. Czytelników zapraszamy do jej obserwowania! ©℗

eprasa.pl df9201f649



TEMAT TYGODNIA

16 JACEK PRZYBYLSKI
RACHUNEK ZA WOJNĘ
Konflikt na Bliskim Wschodzie uderza w portfele

19 WITOLD REPETOWICZ
NAJGŁUPSZA WOJNA XXI W.

22 ŁUKASZ WARZECHA
KREMLOWSKI SZAMPAN DLA TRUMPA

26 ROZMOWA Z MARIUSZEM CIELMĄ
CZY TEHERAN MA UKRYTEGO ASA W RĘKAWIE?

KRAJ

30 PIOTR SEMKA
EPOKA CZARNKA W PIS
Kandydat Prawa i Sprawiedliwości na premiera

34 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
TUSK RUSZA DO BOJU O TRYBUNAŁ KONSTYTUCYJNY

36 ROZMOWA Z PROF. GENOWEFĄ GRABOWSKĄ
CZARNA DZIURA

38 RADOSŁAW WOJTAS
POLACY W GOTOWOŚCI

40 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
PRAWDZIWE PIEKŁO KOBIET

KULTURA

42 PIOTR GOCIEK
CZŁOWIEK, KTÓRY WOLAŁ HOMERA
Dan Simmons (1948–2026)

44 REMIGIUSZ WŁAST-MATUSZAK
UŚMIECHNIĘTE ORŁY

45 GRZEGORZ KONDRASIUK
WARLIKOWSKI – HISTORIOZOFIA I SAMOBICZOWANIE

NIE PRZEGAP

46 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

50 ADAM WIELOMSKI
POLSKA BOMBA ATOMOWA?
Większe bezpieczeństwo czy zagrożenie

53 JAN FIEDORCZUK
ŚWIAT PO TVN

56 PAWEŁ CHMIELEWSKI
RYCERZE CHRYSTUSA PILNIE POTRZEBNI

58 FILIP MEMCHES
CZAS MAGÓW. OD AWANGARDY W SZTUCE DO RADYKALIZMU W POLITYCE

HISTORIA

60 GRZEGORZ MAJCHRZAK
CELOWA PROWOKACJA CZY PRĘŻENIE MUSKUŁÓW
Dlaczego 45 lat temu doszło do kryzysu bydgoskiego?

ŚWIAT

66 MACIEJ PIECZYŃSKI
MOSKWA – WARSZAWA PRZEGRANA SPRAWA
Kim jest nowy ambasador Rosji w Polsce

68 JAN BOGATKO
PIERWSZY MUZUŁMANIN NA CZELE LANDU W NIEMCZECH?

EKONOMIA

72 TOMASZ CUKIERNIK
ZNIEWOLENIE BIZNESU I LUDZI
Koszty Zielonego Ładu

FELIETONY:

SEMKA (7), GMYZ, GOCIEK (8), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (10), JASTRZĘBOWSKI (11), ŻEBROWSKI, KOPER (64), PRZYBYLSKI (70), GABRYEL, WARZECHA (71), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl df9201f649

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Czy wojna z Rosją jest nieunikniona?", Adam Wielomski, „DRz" nr 10/2026

Szanowna Redakcjo „Do Rzeczy",
jako stały czytelnik „Do Rzeczy" pozwolę sobie na kilka słów komentarza do publikacji A. Wielomskiego „Czy wojna z Rosją jest nieunikniona?".

Autor uważa, że sprzeciw Polski wobec ekspansjonistycznej polityki Rosji jest przejawem rusofobii. Uważa, że Rosja nie jest dla Polski zagrożeniem, ponieważ nie Polska jest dla Rosji celem ekspansji, a jedynie kraje byłego ZSRS, które wybiły się w latach 90. na niepodległość: „Rosjanie oczekują, abyśmy się pogodzili z historyczną porażką w geopolitycznej batalii o Ruś i uznali ją za naturalną rosyjską sferę wpływów (»bliska zagranica«)". Sprzeciw Polski wobec takiej polityki Rosji uważa jedynie za przejaw emocjonalnego odruchu: „Gdy pytam czołowych polskich rusofobów, czego więcej Rosjanie mogą od nas chcieć, to rzucają ogólnikami i odmieniają na wszystkie strony słowa »Katyń« i »rozbiory«..." – czytam ze zdumieniem.

Wielomski oczekuje, że Polska powinna zadać Putinowi pytanie: „Czy ma jakieś oczekiwania wobec Polski w zamian za pokojowe relacje?". Domyślam się, że jeśli Rosja ograniczy swoje apetyty do historycznej „Rusi", to powinniśmy się z tym pogodzić i przestać wspierać Ukrainę w dążeniu do utrzymywania swojej niepodległej państwowości i narodowej odrębności.

Pogląd ten pokazuje, jak słabe przemyślenia mogą być udziałem znanych publicystów, co do faktycznych przyczyn wojny na Ukrainie i jej potencjalnych skutków dla Polski. To nie rozbiory ani Katyń są przyczyną tego, że Polska powinna wspierać Ukrainę w jej konflikcie z Rosją. Powody są absolutnie racjonalne, a nie emocjonalne: wchłonięcie Ukrainy do rosyjskiej strefy wpływów dramatycznie pogorszy sytuację geopolityczną Polski. Kleszcze się zacisną: na wschodzie będziemy mieli neoimperialną Moskwę, na zachodzie coraz bardziej rozpychające się w Europie państwo niemieckie. Jeśli do tego dojdzie, to zapłacą za to kolejne pokolenia Polaków. Tylko dlaczego tak niewielu po prawej stronie polskiej sceny politycznej to rozumie?

Z poważaniem
Piotr Szczęsny

Od autora

Uważam, że utrzymywanie przez Polskę komunikacji z Rosją, aby znać jej oczekiwania od nas, są absolutnie konieczne. Nie znamy i nie pytamy o te oczekiwania, gdyż uważamy, że je lepiej znamy na podstawie historii. Zresztą list ten wyraża także ten pogląd. Tymczasem potencjał współczesnej Rosji nie dorównuje potencjałowi ZSRS, a nawet carskiej Rosji, ponieważ na jej zachodnich kresach powstało wiele państw i narodów. Studiuję wypowiedzi rosyjskich polityków co do powojennych losów Ukrainy. Poza nadmiernie w Polsce upowszechnionym ideologicznym dziwakiem w postaci Aleksandra Dugina rosyjskie elity są świadome, że odpadnięcie od Rosji Ukrainy i Białorusi to rzecz stała. Celem Rosji nie jest aneksja Ukrainy, lecz korzystna dla siebie linia graniczna i brak wejścia Kijowa do NATO. Skoro Rosja zgadza się z odrębnym bytem Ukrainy i Białorusi, to nie wiem, w jaki sposób miałaby wchłonąć do swojego imperium Polskę?

Adam Wielomski

Tusk mówił o euro?

Piszę ten list niemal prosto znad dystrybutora na stacji benzynowej, wciąż przecierając oczy ze zdumienia i ocierając łzy wzruszenia wydrukowanym paragonem. Wszyscy doskonale pamiętamy, jak jeszcze niedawno dzisiejszy pan premier niemalże mdlał z oburzenia nad „pisowską drożyzną". Z niesmakiem i zatroskaniem kręcił głową na widok pylonów stacji paliw, z teatralnym przejęciem pochylał się nad losem polskiego kierowcy i rzucał magiczne obietnice benzyny po 5,19 zł za litr. Jakże to było krzepiące!

Dzisiaj wreszcie żyjemy w „uśmiechniętej Polsce". Najwyraźniej my, prości obywatele, źle zrozumieliśmy tamte deklaracje. Być może panu premierowi chodziło o 5,19, ale w euro? Albo była to obiecana cena za pół litra? [...]

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełmiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Morteza Nikoubazl/NurPhoto/AFP/East News**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

PMPG POLSKIE MEDIA SA | spółka notowana na GPW | POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

NAKŁAD KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

eprasa.pl df9201f649

NA PIERWSZY OGIEŃ

Tęcza wraca. I co nam zrobicie?



PIOTR SEMKA

Środowisko LGBT+ postawiło na swoim. Tęcza powróci na warszawski Plac Zbawiciela w czerwcu 2026 r. – dokładnie na jubileuszową 25. Paradę Równości" – informuje portal Propertydesign.pl. Projekt odbudowy tęczy pod nazwą „Łuk LGBT+" wygrał konkurs w budżecie obywatelskim Warszawy w 2025 r. Jak czytamy na profilu projektu na stronie miasta stołecznego Warszawy: „Osoby LGBTQIA+ często spotykają się z dyskryminacją w różnych formach, co powoduje poczucie odrzucenia przez otoczenie, niepasowania, a także skłania je do ukrywania swojej tożsamości. Afirmacja tęczy, pokazywanie symboliki LGBT+ w centralnych miejscach publicznych w sposób jawny i odważny pokazuje, że bycie osobą LGBTQIA+ nie jest powodem do wstydu, ale właśnie czymś »normalnym«. Dlaczego ktoś miałby wstydzić się bycia gejem, jeśli na centralnym placu Warszawy stoi wielka tęcza w »kolorach gejów«?".

Jak przypomina portal, poprzednia instalacja autorstwa artystki Julity Wójcik, stojąca tam w latach 2012–2015, „nie miała łatwego życia". Autorzy portalu przypominają, że konstrukcja „spotkała się z buntem środowisk prawicowych, które siedmiokrotnie ją podpaliły. [...] Pomysłodawcy projektu byli jednak niezłomni – za każdym razem ją odbudowali". Historia projektu skończyła się w 2015 r., kiedy to wygasła umowa artystki z miastem.

Pomysłodawcy „Łuku LGBT+" chcą zbudować jak najbardziej odporną konstrukcję, wykonaną z materiałów niepalnych. Koszt nowej tęczy to 700 tys. zł. Prezydent Rafał Trzaskowski wyraził pełne poparcie dla projektu. Jedyne, co go niepokoi, to bliżej niesprecyzowane „zapowiedzi prawicy" ponownego spalenia tęczy.

Wiele mediów informuje, że powrotu tęczy życzą sobie „Warszawiacy". Ale ilu tych Warszawiaków jest? Parunastu? Kilkudziesięciu? To przykładowo Linus Lewandowski, założyciel i lider grupy Homo Komando, określający się jako „homogenerał". Obok niego na liście nazwisk znaleźć można Katarzynę Augustynek, agresywną zadymiarę, szerzej znaną jako Babcia Kasia.

Autorzy projektu są pod jednym względem bardziej szczerzy, niż miało to miejsce ponad dekadę temu. Nie twierdzą już, że tęcza to uniwersalny symbol, który przynależy też do ikonografii i tradycji chrześcijańskiej, jak argumentowano, gdy po raz pierwszy tęcza była instalowana na Placu Zbawiciela. Teraz najwyraźniej uznano, że nie ma już co stroić się w chrześcijańskie piórka, tylko wprost nazwać nową instalację „Łukiem LGBT+". Co na to wrażliwe publicystki z kręgu „Więzi", które broniły instalacji, przypominając używanie motywu tęczy w ikonografii katolickiej?

Władze miasta, na czele z Rafałem Trzaskowskim, wykazują płonące zaangażowanie ideowe w cały ten projekt. A przecież jeszcze rok temu Trzaskowski w swojej kampanii prezydenckiej starannie unikał odniesień do postulatów osób homoseksualnych.

Nie przeprowadzono żadnych konsultacji z mieszkańcami okolicznych domów, a z projektem władze miasta spieszą się na 25. jubileuszową homoparadę. Pod rządami Trzaskowskiego – bez zmian. ©℗



FOT. STEFANO SPAZIANI/DPA/PAP

KARD. KRAJEWSKI NOWYM METROPOLITĄ ŁÓDZKIM

Były jałmużnik papieski, nazywany „Robin Hoodem papieża", został przez Ojca Świętego Leona XIV mianowany arcybiskupem metropolitą łódzkim. Urodzony 25 listopada 1963 r. w Łodzi kard. Konrad Krajewski obejmie tę funkcję po kard. Grzegorzu Rysiu, który od ubiegłego roku kieruje archidiecezją krakowską. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl df9201f649

dwaj panowie g

No i ogłoszono. Co? Dobre pytanie: Czy w dzisiejszym świecie ktoś pamięta jeszcze to, co działo się w zaprzeszłą sobotę? Przypominamy więc o namaszczeniu Przemysława Czarnka na przyszłego premiera z PiS. A także o naszej wcześniejszej informacji, że mimo pole position Lucjusza Nadbereżnego – Czarnek walczy. No i wywalczył.

Ciekawa rzecz. Jak donoszą nam rozmaici prominentni członkowie PiS, którzy nie stawili się w Krakowie na ceremonii namaszczenia, obecność na tej imprezie nie była obowiązkowa. Wielu więc wybrało spacer. A niektórzy spośród nich – oglądanie różnych wywiadów Morawieckiego w internetach.

Oczywiście stał się cud – każde namaszczenie w sumie jest takim małym cudem. Naraz Przemysławowi Czarnkowi wydłużyło się nazwisko. Otóż w mediach patriotycznych stał się „profesorem Przemysławem Czarnkiem". Świeżo odnaleziona gorliwość – jak zwykle zabawna.

Z doniesień tych i owych wiewiórek wynika, że namaszczenie prof. Czarnka wcale nie wywołało powszechnego wielkiego entuzjazmu maślarzy. A już najmniej cieszyli się ziobryści, którzy żyli nadzieją, że niespodziewanie ostatnią nadzieją partii zostanie ogłoszony Patryk Jaki. Uważamy, że nie ma co desperować. Jeszcze wiele końców przed nami, a to znaczy, że i wiele okazji na ogłaszanie, kto jest ostatnią nadzieją.

Nie jest wielką niespodzianką, że inna ostatnia wielka nadzieja, to znaczy ojciec Mateusz, odcina się od krakowskiego namaszczenia i intensyfikuje swoje tournée po mediach. Słyszeliśmy, że zdaniem morawian z sondaży za dwa miesiące i tak będzie wychodziło, że lud chce Mateusza, a nie Przemysława. Cóż, skomentujemy to cynicznie: zależy, kto będzie robił te sondaże.



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Żeby nie było, że dziś nic o Karolu Tadeuszu (Sejfy i SAFE-y zostawmy kasiarzom). Poważnie zostały osłabione szanse jednego z faworytów do objęcia schedy po Małgorzacie Manowskiej na stanowisku I prezesa Sądu Najwyższego. Otóż przeglądając orzecznictwo, natrafiono na wyrok w sprawie lustracyjnej Lecha Wałęsy. Okazało się, że w wydaniu tego wyroku, który uwolnił TW Bolka od groźby uznania go za kapusia, brał udział jeden z dzisiejszych kandydatów. Jak się domyślacie, u prezydenta Karola Tadeusza – a jeszcze bardziej u Sławka Cenckiewicza – nie jest to dobra rekomendacja.

Tymczasem w Parlamencie Europejskim. Rośnie napięcie w wielkiej, niemieckiej konserwatywnej rodzinie. Manfred Weber, szef Europejskiej Partii Ludowej i szef jej frakcji w PE, od pewnego czasu demonstracyjnie bojkotuje wystąpienia Ursuli von der Leyen. Jakby tego było mało, równie demonstracyjnie spóźnia się na czwartkowe spotkania konferencji przewodniczących grup PE prowadzone przez Robertę Metsolę. Wychodzi na to, że Weber jest zwykłym mizoginem. Natomiast pani Metsola znalazła na to sposób – zaczyna bez niego.

Àpropos skomplikowanych relacji damsko-męskich: w Parlamencie Europejskim świętowano Dzień Kobiet, a jakże! I to hucznie! 10 marca, w Dniu Mężczyzny. Pozostawiamy tę informację bez komentarza.

Skomentujemy natomiast pewien kłopot z pewną konkretną europosłanką, która łączy w sobie niemieckość z postępowością. To niejaka Sibylle Berg, autorka książek uwielbianych przez społeczność LGBT i laureatka licznych nagród literackich. Otóż zarówno eurodepowie, jak i ich goście spacerujący po brukselskich korytarzach skarżą się, że trudno przejść obok gabinetu Sibylle i utrzymać pion. Chodzi bowiem o gęste opary powstające w wyniku spalania substancji znanych jako cannabis. Wie-

eprasa.pl df9201f649

dzieliśmy dotąd, że bez tej substancji niemożliwa jest działalność artystyczna. Teraz okazuje się, że polityczna również.

Postanowiliśmy wysłać nasze brukselskie wiewiórki na wizję lokalną, by sprawdzić, jak to jest z panią Sibylle i słodkim dymem. No cóż, to wszystko prawda, nawdychały się i ledwie wróciły żywe. Przyniosły też innego newsa: otóż pisarka, która dostała się do europarlamentu z ramienia niemieckiej jajcarskiej Die PARTEI, ma na wycieraczce wypisane ciekawe hasło polityczne: „Kaufe nichts, ficke niemand". Wolny przekład hasła brzmi: „Nic nie kupuj, nikogo nie ruchaj". Ośmielamy się zauważyć, że mnisi jałmużnicy żyli wedle tego zawołania już dawno, dawno temu.

Ponieważ nasi czytelnicy to straszni plotkarze, zasypują nas prośbami o szczegóły sprawy pewnej posłanki PiS, której mąż ma dziecko z sekretarką. Nie możemy zbyt wiele zdradzić, bo nie jesteśmy od pokazywania palcami. A moglibyśmy np. sprecyzować, że nie chodzi o męża zwykłej posłanki, tylko europosłanki. Ale, oczywiście, nie sprecyzujemy.

Aż 134 tysiące. Tyle podpisów zebrano pod wnioskiem o odwołanie włodarza Krakowa, niejakiego Miszalskiego. Przypominamy, że aby doszło do odwołania tego osobnika, w referendum musi wziąć udział niespełna 157 tys. Krakusów. W tej sytuacji los Miszalskiego wydaje się być przesądzony. Problem polega na tym, że w tak dużym mieście nie da się zastosować sztuczek znanych z mniejszych ośrodków miejskich. Jedna z nich polega na zastraszaniu pracowników miejskich instytucji i spółek, że samo pojawienie się przy urnie będzie skutkowało utratą pracy.

Àpropos grodu Kraka. Rozbawiło nas bardzo zachowanie pewnego warszawskiego radnego Platformy, niejakiego Wasiewicza. Otóż Mikołaj, znany bardziej pod ksywką Czopek Tuska, postanowił zohydzić lokalnego przedsiębiorcę z Krakowa, który zaangażował się w kampanię przeciw Miszalskiemu. Na Googlach wpisał druzgocą opinię o firmie odzieżowej owego przedsiębiorcy. Oczywiście nigdy nie miał z tą firmą żadnego kontaktu, co nie przeszkodziło mu w wystawieniu opinii o fatalnej obsłudze. Nie minęło czasu mało wiele, jak Wasiewicz został zdemaskowany. Zarówno jako Warszawiak, jak i jako platformers. Wszystko, oczywiście, ku uciesze gawiedzi.

Tymczasem w prokuraturze trwają intensywne prace nad skręceniem innej sprawy kolejnego czopka Tuska, czyli niejakiego Jakuba Kocjana. Pamiętacie? To ten śmieszny pucułowaty gościu, który podrygiwał na Krakowskim Przedmieściu, ciesząc się z dobiegającej końca kadencji Andrzeja Dudy. Przy okazji okazało się, że jego organizacja produkowała klipy tzw. profrekwencyjne, a w rzeczywistości zwalczające Nawrockiego. Problem polega na tym, że były finansowane z zagranicy. A to jest zakazane. Ale żurkowcy nie z takimi problemami sobie radzili. ©℗

REKLAMA



eprasa.pl df9201f649



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Wałęsa napracowany

Szwedzkiej parze królewskiej podczas pobytu w Polsce urządzono spotkanie z Lechem Wałęsą. Wałęsa udzielił na tę okoliczność wywiadu, w którym powiedział, że wszystkim, „także królom", wyjaśnia „swoją teorię świata". A ponieważ spotkanie odbyło się w 27. rocznicę wstąpienia Polski do NATO, pochwalił się także, że „bardzo napracował się, by do tego doszło".

O to pierwsze mniejsza, choć kto kiedykolwiek słyszał teorie Wałęsy, może sobie wyobrazić, że scena, jak tłumaczy ich królewskim mościom, o co tu w tym wszystkim biega, chwały Polsce nie przyniosła. Natomiast co do NATO, to przyznam, że nawet Wałęsa rzadko bywa aż tak bezczelny. Jako publicysta i obserwator polityki od ponad 35 lat pamiętam dobrze, jak to było, i mogę przyznać – Wałęsa w sprawie NATO istotnie bardzo się napracował, ale nie nad tym, by Polska do NATO weszła, tylko wręcz przeciwnie.

O ile cała pomagdalenkowa elita zgodnie głosiła potrzebę wejścia do Unii Europejskiej, o tyle do NATO – bynajmniej. Długo dominowały głosy, że byłoby to niepotrzebnym drażnieniem Rosji, wystawianiem Polski na niebezpieczeństwo. I po co, skoro przecież żadnej wojny już nigdy nie będzie? Hasło wejścia do NATO rzucił odosobniony wtedy śp. Jan Olszewski. Wałęsa robił, co mógł, by mu przeszkodzić. Głosił wtedy idiotyczne hasło: „NATO-bis", czyli przemalowania dawnego Układu Warszawskiego na „niezależną" organizację, balansującą między Zachodem a Rosją. I tylko zdecydowana postawa premiera Olszewskiego udaremniła forsowany przez prezydenta Wałęsę plan przekształcenia opuszczonych baz sowieckich w eksterytorialne enklawy, w których działać miały jakieś „polsko-rosyjskie spółki".

Były prezydent przyzwyczaił nas już do tego, że potrafi kłamać w żywe oczy, bez żadnych zahamowań, i to w każdej sprawie, nie tylko swej agenturalnej przeszłości. Ale trudno nie załamywać rąk nad niekompetencją młodszego pokolenia dziennikarzy, którzy, niewiele wiedząc o tamtych czasach, pozwalają mu do woli i bezkarnie opowiadać wszelkiego rodzaju farmazony. ©℗



JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Tresura i bunt

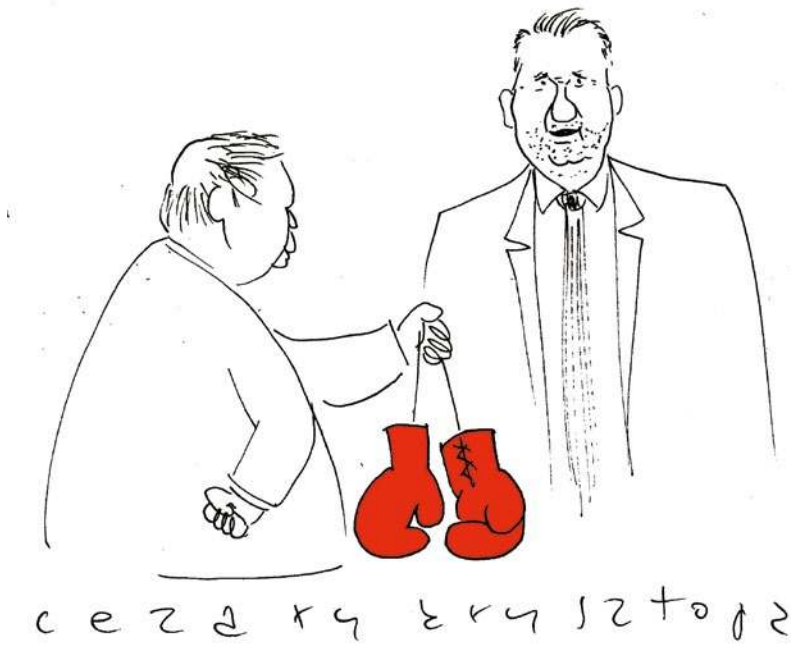
Kiedy piszę te słowa, w Nowym Jorku trwa sesja ONZ do spraw Statusu Kobiet, która ma na celu „zapewnienie i wzmocnienie dostępu do wymiaru sprawiedliwości dla wszystkich kobiet i dziewcząt, w tym przez promowanie inkluzywnych i sprawiedliwych systemów prawnych i zniesienie dyskryminujących przepisów". Jak mamy pojmować ową „sprawiedliwość", można rozpoznać przez to, co autorzy tego bełkotliwego sformułowania uznają za jej brak. Jest nim „negowanie praw seksualnych i reprodukcyjnych, w tym prawa do aborcji". A więc wszystko jasne – aborcja to „sprawiedliwość".

Pamiętam, jak na początku XXI w. do polskiego języka przenikały określenia, które niczym tajemne zaklęcia zmieniały debatę publiczną. „Prawa kobiet, zdrowie reprodukcyjne, prawa seksualne, płeć kulturowa, gender mainstreaming" – wszystkie te terminy najpierw wprowadzane były w trakcie ONZ-owskich konferencji ludnościowych (Kair 1994, Pekin 1995) do końcowych dokumentów. Delegacje państw podpisywały je potulnie, a potem pojawiały się w krajowych programach społecznych, zdrowotnych, edukacyjnych i oczywiście w mediach. W końcu przez aktywistów, działaczy organizacji pozarządowych przenikały na sale sądowe, zagnieżdżając się w obrocie prawnym. Tą metodą niczym drutem elektrycznego ogrodzenia pastwiska wyznaczono ramy poprawności myślenia.

W Polsce, na szczęście, ta tresura się nie udaje. Mimo demolowania prawa przez rządzących ustawa nadal chroni życie. Buntem wobec zewnętrznej presji było uznanie w 2004 r. przez Sejm RP daty 24 marca za Narodowy Dzień Życia. Są też liczne inicjatywy społeczne. Najbliższe to: zaplanowany na 18 kwietnia Narodowy Marsz Życia w Warszawie oraz – 8 maja – odsłonięcie pomnika bohaterskiej położnej z Auschwitz, Stanisławy Leszczyńskiej, w dniu jej 130. rocznicy urodzin. ©℗

eprasa.pl df9201f649

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA





SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Na pieska (oraz kotka)

Zacznijmy od niecodziennego widoku: od obrazka komunisty, który ogonem na Mszę dzwoni… Stop. Włodzimierz Czarzasty, który przez lata długie wspólnie i w porozumieniu z czerwoną PZPR wielbił bolszewików, Związek Socjalistycznych Republik Sowieckich oraz Układ Warszawski, który to Układ miał nas chronić przed obrzydliwymi Amerykańcami, stonką i przede wszystkim przed NATO, wziął i wystąpił, normalnie publicznie chwaląc, dokładnie 12 marca, 27. rocznicę przystąpienia Polski do NATO. Tak, tak zabezpieczyłem film! Stop. Dodajmy, że jest to ten sam Włodzimierz Czarzasty, który wychwala Armię Czerwoną, wielbi komunistycznego zbrodniarza Jaruzelskiego, a bohatera Ryszarda Kuklińskiego uważa za zdrajcę. Stop. Nie mam najmniejszego pojęcia, jak to wszystko może się mieścić w jednej głowie, ale wiem, że są ludzie, którzy dla władzy skłonni są powiedzieć wiele. Stop.

Jest, proszę państwa, usiłowanie zarobienia grubych milionów na pieska (proszę bez niestosownych skojarzeń) i na kotka też. Stop. Numer jest wart co najmniej 750 mln zł i co najmniej kilkanaście dobrze płatnych stanowisk. Stop. Sejm zajął się ustawą, nad którą według mojego doświadczenia pochylał się wcześniej niejeden utrudzony lobbysta. Stop. Pomysł jest prosty, wszystkie pieski i kotki w Polsce muszą być zaczipowane odpowiednim czipem i każdy piesek i kotek musi być wpisany do nowego systemu. Stop. Kotków i piesków jest ok. 15 mln, czip kosztuje 50 zł i wpisanie do rejestru kosztuje 50 zł. Gdyby nawet przyjąć, że wszystkie zwierzaki mają nowoczesne czipy, to same wpisy są warte 750 mln. Czipy będzie produkować znana firma, a opłaty pobierać i dzielić się nimi z systemem weterynarze. Stop. Wszystko oczywiście będzie (już jest) podlewane sosem, że to dla dobra zwierząt i takie tam. Stop. Prawda jest brutalnie prosta, bezduszne cwaniaki chcą ściągnąć od biednych ludzi miliony, a jak ktoś się będzie stawiać, grozi mu kara 9 tys. zł. Stop. Cóż, żeby zarobić pieniądze, czasem trzeba mieć pomysł i nie mieć sumienia. Stop.

Jarosław Kaczyński pytany o toksyczną pożyczkę SAFE powiedział: „Nie jesteśmy nienormalni, żeby brać SAFE. To byłoby całkowite zdominowanie przez Niemcy". Stop. Niemniej chciałbym zauważyć, niestety, że znam w polskiej polityce (znów niestety) wiele osób nieco nienormalnych i wiele, które bardzo chciałyby być zdominowane pod warunkiem, że kasa będzie się zgadzać… Stop. Niestety. ©℗

eprasa.pl df9201f649



ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR



FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

FASZYZM, WSZĘDZIE FASZYZM

Magdalena Środa znana jest z osobliwych teorii na temat faszyzmu. Kiedyś stwierdziła np., że promowanie sportu przyczynia się do powstawania postaw faszystowskich. „Nad Polską panuje ten patriotyzm narodowo-wyzwoleńczy społeczeństwa tzw. zamkniętego, który bardzo łatwo, jeszcze przy pochwale różnych sportów i budowania różnych orlików czy stadionów, przeradza się w zachowania nacjonalistyczne, faszystowskie, bojówkarskie" – ogłosiła, podkreślając konieczność otwarcia granic dla migrantów. Tym razem wystąpiła w roli eksperta do spraw demografii. – Polska zapaść demograficzna jest ogromna. A dlaczego jest ogromna? Oczywiście przyczyn jest wiele, ale m.in. jest po prostu strach przed zajściem w ciążę, jest strach przed rodzeniem dzieci – oceniła feministka w TVP Info. – W kraju faszystowskim kobiety nie chcą rodzić dzieci, bo niewola nigdy nie sprzyja rozrodczości i niewola nie sprzyja miłości – wyjaśnia Magdalena Środa. Skoro Polska to „kraj faszystowski", to kim w takim razie jest Donald Tusk? Tak tylko pytamy.

KONIEC CIAPCIUCHA

W „TVP w likwidacji" same mądrości. Maciej Stuhr również pojawił się w TVP Info. Ileż żalu, ileż goryczy się tam wylało... – W moim życiu, zwłaszcza po rolach w filmach „Pokłosie" i „Zielona granica", a także po wielu różnych wydarzeniach, zacząłem doświadczać hejtu. Gdybym miał dźwigać na sobie jego ciężar, to bym tu nie siedział, bo to jest nie do udźwignięcia – przyznał aktor. Jak sobie radzi z tym ciężarem? – Nie wymyśliłem nic mądrego, ale wymyśliłem coś głupiego, co u mnie działa – wstaję rano i umawiam się ze sobą, że tego nie ma – mówił w programie „Rozmowy (nie) wygodne" Maciej Stuhr. Przypomnijmy, że w „Pokłosiu" wcielił się w rolę Józefa Kaliny, który został ukrzyżowany na drzwiach od stodoły, bo chciał dowiedzieć się, co stało się w Jedwabnem. Z kolei w „Zielonej granicy" zagrał zaangażowanego politycznie działacza proimigranckiego. – Po filmie „Pokłosie" albo trzeba się było schować do mysiej dziury, albo pierwszy raz w życiu stanąć do jakiegoś boju. Ja stanąłem do tego boju i muszę powiedzieć, że w tamtym czasie jakoś mi się to spodobało, mimo że mam raczej delikatną naturę. Rzeczywiście stereotyp silnego mężczyzny istnieje w naszej kulturze, on się podoba niektórym dziewczynom i tak dalej. Generalnie lubiłem swoje cechy, o których dziś rozmawiamy, ale czasami tęskni się za czymś, kimś się nie jest. Jakbym miał 20 centymetrów więcej... i tak dalej. Zresztą dlatego aktorstwo jest tak wspaniałe, bo możemy wypróbowywać różne role i trochę oszukiwać ludzi, że na chwilę jesteśmy kimś innym – mówi aktor. – Oczywiście miałem różne tęsknoty. Czasami byłem zły na siebie, że jestem takim właśnie „ciapciuchem". Ten czas po „Pokłosiu" był mi też bardzo potrzebny, żeby się ukonstytuować, przestać być wiecznym chłopcem – zwłaszcza z moim wyglądem. Nagle okazało się, że kiedy powiedziałem to, co myślę, wszyscy bili brawo i mówili, że jestem odważny. To zawsze było dla mnie zaskoczenie – podkreślił aktor. Wszyscy bili brawo szczególnie po słynnym „żarcie" o tupolewie. Ubaw po pachy.

KSIĄDZ WŚRÓD ZDRAJCÓW

Stacja TVN emituje kolejny sezon show „The Traitors. Zdrajcy". Zagraniczny format podbił serca publiczności. Kilkunastoosobowa grupa jest dzielona na „lojalnych" i „zdrajców". Ci pierwsi mają za zadanie wytropić tych drugich i wyrzucić ich, zanim zdrajcy pozbędą się lojalnych. W nowej edycji bierze udział... ksiądz. Ksiądz Rafał Główczyński jest znany m.in. na TikToku, gdzie prowadzi ewangelizację w młodzieżowym stylu. O obecność duchownego w show zapytano Malwinę Wędzikowską, prowadzącą. – Mnie się postawa ks. Rafała bardzo podoba – podkreśla w rozmowie z Plejadą. Niektórzy twierdzą bowiem, że zasady gry, oparte w dużej mierze na manipulacji i podstępie, gryzą się z wartościami, jakie powinien przejawiać duchowny.
– W momencie, kiedy wchodzisz do gry, wszystkie chwyty dozwolone. Myślę, że ksiądz może przyjąć rozgrzeszenia od innego księdza. Przecież księża też popełniają błędy. Są ludźmi i o tym nie powinniśmy zapominać. To nie są święci, tylko to są ludzie – ocenia gospodyni. Wędzikowska mówi, że miejsce w programie jest dla każdego, także dla przedstawicieli Kościoła.
– Ksiądz Rafał ma wyjątkową moralność, zresztą on to pokazał w pierwszym zadaniu. Użył takiego sformułowania, że co zrobiłby Jezus – Jezus po prostu poszedłby przed wszystkimi i przyjąłby na siebie tę karę. Więc mnie się postawa ks. Rafała bardzo podoba i uważam, że to pokazuje też wielowarstwowość, taki koloryt tego formatu, że każdy może w tym programie spróbować – stwierdza. ©℗

eprasa.pl df9201f649



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jak tam poświeckowaliście godnie 8 marca w waszych korpo? My mieliśmy problem u samych podstaw tej okoliczności, iż nie do końca byliśmy, a nawet nadal nie jesteśmy pewni, jak ten dzień nazywać. Dzień „kobiet" nie wchodzi w grę, iż kobieta to określenie z patriarchatu, w niebinarności i transseksualności sami się gubimy, a więc nie mamy pewności, czy „dzień osób waginopozytywnych" jest określeniem jeszcze OK czy już jednak edgy i fashystoffskim.

Uznaliśmy ostatecznie, iż w naszym kolektywie „dzień osób waginopozytywnych" wystarczy do tego, iżby striggerować Nowego z Tarnowa, a koniec końców taki jest ostateczny cel naszych inicjatyw – aby wkurzyć, intelektualnie sponiewierać i zostawić na deskach wąsaty łeb polskiego patriarchatu.

Aby jednak zabezpieczyć się na oskarżenia ze strony młodszych członków korpokolektywu o jakieś odchylenie wsteczne ku konserwatyzmowi, wprowadziliśmy klauzulę, iż „dzień osób waginopozytywnych" może obchodzić każdy, kto w jakiś sposób się utożsamia z tym dniem.

Naszym zdaniem wykazaliśmy się podejściem inkluzywnym i zdroworozsądkowym, iż ostatecznie nie o to chodzi w świętach i świeckach, iżby przeznaczyć je dla jakiejś wąskiej grupy, ale włączać w ich obchody jak najwięcej osób.

No ale Kościół Kościołem, a korpo korpo. W naszej imprezie udział wzięli wszyscy poza Nowym, który nadąsany przesiedział cały dzień w swoim gabinecie i nawet nie spróbował wegańskiego brownie, które wspólnymi siłami kupiliśmy w ekskluzywnej piekarni rzemieślniczej. Zapowiedział, iż czeka na obchody Dnia Mężczyzny, no ale of kors się nie doczekał, iż przecież obchodzenie takich dni to już w ogóle patriarchat i zacofanie, nie w naszym korpo takie rzeczy.



Zasadniczo, jak tak czytamy media, to wydaje nam się, że strasznie przerąbane jest być przeciętnym Polakiem, iż tak statystyczny zwykły Janusz ciągle się czegoś boi: LGBT, OZE, stref czystego transportu, ekologii, wegetarianizmu, a teraz jeszcze – jak wynika z badań – wzrostu cen paliwa.

Czaicie? Wojna jest jakieś kilka tysięcy kilometrów stąd, a Janusz z Chełma się martwi, iż wzrośnie mu cena za litr ropy, iżby zatankować swojego starego Passata, którym tylko i tak jeździ raz w tygodniu na mszę i raz w tygodniu na zakupy.

Przypominamy: nie ma obowiązku posiadania auta, a jeżeli ktoś się martwi o ceny paliwa, to najwidoczniej auta nie powinien mieć, iż według naszej wiedzy ekonomicznej paliwo raz kosztuje więcej, a raz mniej, a jak się w końcu uda odsunąć PiS od władzy i od opozycji, to wreszcie będzie kosztowało mniej niż 5 zł.

W każdym razie – my samochodu nie mamy, a zatem nie musimy się martwić takimi rzeczami – na szczęście dla nas potencjalny wzrost cen benzyny nie ma żadnego znaczenia. Wszędzie, gdzie trzeba, i tak dojeżdżamy na rowerze. Of kors znamy te argumenty, że jak drożeje benzyna, to drożeją towary, iż transport jest droższy.

No niby tak, ale ekonomia wcale nie jest taka zero-jedynkowa. Poza tym, kochani, jest to szansa – może wreszcie chętniej w tym kraju zostanie wykorzystywany transport samochodami elektrycznymi? Albo rowerami? Mamy także sporo rzek płynących od gór do morza – przecież transport po wodzie nie powinien generować dodatkowych kosztów paliwa, iż mamy wiosła.

Widzicie? Naprawdę wystarczy trochę pomyśleć kreatywnie, nieszablonowo, out of the box, a nie tylko siedzieć i się martwić. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Tusk to Niemiec przebrzydły

Jarku, dziennikarze mnie pytali przed wejściem o Trumpa.
I co, Tobiaszu, zrobiłeś?

Zmyliłem ich. Najpierw udawałem, że wiążę but, a potem nagle wstałem i szybko dałem w długą za drzwi.
Dobrze, pochwalam.

Ale to raz się udało. A co im mówić?
Mów o Tusku.

O Tusku wiem, co mówić, ale jak zapytają o Trumpa i jego wojnę?
No właśnie odpowiadam: mów o Tusku. Zawsze mów o Tusku. Jak zapytają o fuzję termojądrową – też. Zrozumiałeś?

Tusk to Niemiec przebrzydły! ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Jedyne, na jakiej walce się zna, to na klepaniu się po mordach w lesie".

MIŁOSZ MOTYKA, *działacz PSL, minister energii, w Onet Radiu o prezydencie RP Karolu Nawrockim*

eprasa.pl df9201f649


Narodowy Bank Polski



PREZES NBP: POLSKA MA JUŻ 570 TON ZŁOTA. POWSTAJE NOWY SKARBIEC

Zasoby królewskiego kruszcu wzrosły w ostatnich latach z ok. 200 ton do 570 ton. Docelowo mają jednak wzrosnąć aż do 700 ton.

Zwiększanie rezerw złota ma związek zarówno z bezpieczeństwem finansowym kraju, jak i jego wiarygodnością w oczach inwestorów oraz instytucji międzynarodowych – oznajmił prezes Narodowego Banku Polskiego. Profesor Adam Glapiński zaznaczył na ubiegłotygodniowej konferencji prasowej, że należące do Polaków złoto jest przechowywane w trzech miejscach: w Polsce, Londynie (gdzie w ostatnich latach znacząco go przybyło) i w Nowym Jorku. Ujawnił jednocześnie, że „kilka miesięcy temu" polecił przygotowanie projektu uchwały zarządu NBP, która ma pozwolić na sprowadzenie „kolejnych dużych ilości złota do Polski, ale nie łamiąc zasady rozrzucenia do tych trzech miejsc". Trwają już też prace nad najnowocześniejszym pojemnym i dużym polskim skarbcem, który spełniać ma „wszystkie światowe wymogi".

Adam Glapiński wyjaśnił jednocześnie, dlaczego polski bank centralny trzyma rezerwy złota nie tylko w Polsce. Odpowiedział w ten sposób na apel szefa rządu. Prezes NBP wyjaśnił, że złoto jest rozrzucone w różnych miejscach „ze względów bezpieczeństwa". – Niech to polskie złoto, bo to nie jest złoto panów Nawrockiego, Glapińskiego czy Tuska, które dzisiaj jest rozsiane po bankach w kilku miejscach na świecie, wróci wreszcie do kraju – wzywał premier Donald Tusk.

Prezes NBP tym razem nie szczędził mocnych słów. – Słyszę znów głosy ze strony wybitnych przedstawicieli życia publicznego, w sensie, że znanych, na X, w Sejmie, we wszystkich mediach, że całe złoto powinno być natychmiast sprowadzone do Polski i tu trzymane, najlepiej w Rzeszowie, a może dajmy na przechowanie Ukraińcom do Kijowa. To mówią ludzie, którzy się uważają za inteligentnych. Do tej pory tego nie mówiłem, teraz mówię, dlatego że inni mówią takie głupstwa – oznajmił prof. Glapiński.

Według danych NBP na koniec lutego 2026 r. łączna wartość rezerw dewizowych Polski wynosiła ok. 1,094 bln zł, z czego złoto stanowiło równowartość ok. 340 mld zł. ***(jap)*** ©℗

FOT. NBP/FLICKR

eprasa.pl d9201f649

Rachunek za wojnę



Jacek Przybylski

Polscy kierowcy już odczuli gwałtowny wzrost cen ropy naftowej na światowych rynkach. A to dopiero początek. Zdaniem ekonomistów droższe paliwa i energia podbiją inflację, obniżą wzrost gospodarczy naszego kraju i opóźnią proces obniżek stóp procentowych. Istotnie droższe mogą być również tegoroczne wakacje

Nigdy, przenigdy nie wierz, że jakakolwiek wojna będzie gładka i łatwa albo że ktokolwiek, kto wyrusza w tę dziwną podróż, może przewidzieć pływy i huragany, które napotka – ostrzegał Winston Churchill. Najwyraźniej nie wszyscy uważali na lekcjach historii. Biały Dom popełnił bowiem kosztowny błąd, wciągając świat w wojnę, której konsekwencje są trudne do przewidzenia. Wiadomo, że choć pod izraelskimi i amerykańskimi bombami zginęło wielu irańskich przywódców, to władze tego kraju przetrwały inwazję. Scenariusz wenezuelski się zatem nie powtórzy. Wojna będzie więc o wiele dłuższa, niż chciałby Donald Trump. Reżim ajatollahów długo szykował się bowiem do tej konfrontacji, zdając sobie sprawę z tego, że Iran w obecnym kształcie może przetrwać wyłącznie, jeśli wydłuży czas trwania konfliktu i znacząco podniesie jego koszty dla wyborców w USA, Izraelu i w krajach będących ich sojusznikami. Wydaje się też, że ogromne zniszczenia cywilnych domów i cywilnej infrastruktury, a także zbombardowanie przez amerykańskie siły irańskiej szkoły dla dziewcząt oddaliły perspektywę zmiany reżimu. Dokonując odwetu, Teheran rozszerza zatem konflikt tak, aby maksymalnie zwiększyć koszty dla państw Zatoki Perskiej i dla globalnego systemu gospodarczego.

ROLLERCOASTER NA RYNKU ROPY

Rachunek za tę wojnę otrzymają nie tylko podatnicy w USA, Izraelu czy w krajach Zatoki Perskiej. Zapłaci go cały świat. A cena będzie znacznie wyższa, niż spodziewali się członkowie administracji Trumpa. Jeszcze 10 dni przed atakiem, 18 lutego, amerykański sekretarz do spraw energii Chris Wright zapewniał publicznie, że ewentualna inwazja nie wpłynie znacząco na rynek ropy naftowej. I przypominał, że gdy USA ostatnio bombardowały Iran, to ceny ropy „podskoczyły odrobinę, po czym znowu opadły". Podobnie wypowiadali się też inni członkowie gabinetu Trumpa i sam amerykański prezydent.

Nie mieli racji. Po izraelsko-amerykańskiej inwazji, rozpoczętej 28 lutego, ceny gazu i ropy nie tyle „podskoczyły odrobinę", ile eksplodowały. Na kartach historii gospodarczej świata trzeba było zaś zaznaczyć okres najwyższego od 1983 r. tygodniowego wzrostu cen surowców. Tylko w poniedziałek 9 marca ceny ropy Brent wzrosły o 20 proc., ocierając się o 120 dol. i osiągając najwyższy poziom od lipca 2022 r. Słownie interweniował wówczas Donald Trump, przekonując, że „wojna z Iranem praktycznie dobiegła końca". Na tę wiadomość błyskawicznie zareagowały globalne rynki, na giełdach pojawił się krótkotrwały optymizm, a cena ropy zaczęła gwałtownie spadać, schodząc w kierunku 84 dol. za baryłkę. W środę cena ropy ustabilizowała się na poziomie nieco ponad 90 dol., ale już w czwartek znów przekroczyła poziom 100 dol. To co prawda nadal istotnie niżej niż 120 dol. za baryłkę, ale nadal jest to cena o niemal jedną trzecią wyższa niż przed rozpoczęciem izraelsko-amerykańskiej inwazji na Iran.

Analitycy brytyjskiej firmy konsultingowej Ember obliczyli, że tylko w ciągu pierwszych 10 dni po eskalacji konfliktu na Bliskim Wschodzie Unia Europejska zapłaciła dodatkowo 2,5 mld euro za import paliw kopalnych. Również polscy kierowcy na stacjach paliw przeżywają szok: w ciągu zaledwie kilku dni litr benzyny 95-oktanowej podrożał do ok. 6,60 zł (choć na niektórych stacjach pojawiła się już siódemka z przodu), a cena diesla skoczyła do 7,50 zł, a w niektórych miejscach Polski przebiła już poziom 8 zł. Tradycyjnie okazało się, że gdy wybuchła wojna, zapasy tańszego paliwa na stacjach „szybko się skończyły", więc ich właściciele „musieli" podnieść ceny, a gdy ropa nieco staniała, to na obniżki trzeba będzie czekać tygodniami, bo przecież właściciele stacji kupili paliwo już po wysokich cenach hurtowych. Rząd mógłby co prawda natychmiast obniżyć ich ceny, zmniejszając tymczasowo VAT na paliwa, ale jakoś się do tego nie kwapi. Deficyt i tak jest już rekordowy, a politycy nie chcą ograniczać programów kupowania głosów typu „800+". – Jeśli się będzie sytuacja pogłębiała, to usiądziemy i zastanowimy się, jak i co robić dalej – obiecał premier Donald Tusk.

Orlen ogłosił w ubiegłym tygodniu promocję, która ma obowiązywać przez

eprasa.pl df9201f649



FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

kolejnych osiem weekendów: kierowcy z aplikacją Orlen Vitay mogą kupić do 50 l benzyny lub oleju napędowego taniej o 35 gr na litrze (jeśli przy okazji kupią coś na stacji za co najmniej 5 zł) lub o 20 gr na litrze (jeżeli ograniczą się do samego tankowania). Kupony rabatowe oferują w aplikacjach również inne sieci, np. BP, Shell czy Circle K.

Republikanie wiedzą, że jeśli ceny ropy dłużej utrzymają się na wysokim poziomie, to prawdopodobnie z kretesem przegrają listopadowe wybory połówkowe do Kongresu. Dla większości Amerykanów cena paliwa jest bowiem kluczowa. Baryłka ropy kosztująca 90 dol. sprawia zaś, że amerykańscy podatnicy przestają odczuwać pozytywny wpływ obniżek podatków za kadencji Trumpa. A ponieważ już wcześniej popularność tego prezydenta szorowała po dnie, to USA powinny jak najszybciej doprowadzić do deeskalacji konfliktu, aby nie pogrążyć Partii Republikańskiej w poważnym kryzysie. Nie wiadomo jednak, czy myśli tak też sam Donald Trump. „Krótkoterminowe ceny ropy, które gwałtownie spadną, gdy zniszczenie irańskiego zagrożenia nuklearnego dobiegnie końca, to bardzo mała cena do zapłacenia za Bezpieczeństwo i Pokój USA i Świata. TYLKO GŁUPCY MYŚLELIBY INACZEJ!" – przekonywał. „Stany Zjednoczone są zdecydowanie największym producentem ropy na świecie, więc kiedy ceny ropy rosną, zarabiamy dużo pieniędzy" – pisał w ubiegłym tygodniu.

W środę 32 kraje należące do Międzynarodowej Agencji Energetycznej próbowały obniżyć ceny poprzez skoordynowane uwolnienie 400 mln baryłek ropy i produktów naftowych ze zgromadzonych rezerw. Rekordowo duża interwencja nie przyniosła jednak trwałej zmiany na rynkach. Również sekretarz do spraw energii USA ogłosił, że Amerykanie zaczną uwalniać 172 mln baryłek ropy z rezerwy strategicznej surowca. Czy to ustabilizuje ceny? Wielu ekspertów ma na to nadzieję. Na przykład analitycy Banku Pekao w ubiegłotygodniowym raporcie szacowali, że średniorocznie w 2026 r. cena ropy naftowej wzrośnie do 70–80 dol. za baryłkę.

Irańskie ataki na infrastrukturę kluczową dla produkcji skroplonego gazu ziemnego w Katarze wywołały również najmocniejszy wzrost cen gazu w Europie od sierpnia 2023 r. Nadal wielką niewiadomą – powodującą wzrosty zarówno cen ropy, jak i gazu – jest nie tylko bezpieczeństwo infrastruktury w krajach Zatoki Perskiej, lecz także możliwość transportu surowców przez cieśninę Ormuz. Irańska Gwardia Rewolucyjna ostrzegła, że uderzy na każdą jednostkę, która spróbuje pokonać ten strategiczny szlak. Większe ryzyko zwiększy zaś ceny frachtu. A ponieważ zakłócenia w cieśninie Ormuz mogą wpłynąć na jedną piątą światowego handlu LNG, to zostaną one doliczone do cen. Podobnie zresztą jak wszelkie koszty odbudowy i zabezpieczenia infrastruktury do produkcji skroplonego gazu.

Na szczęście w ostatnich latach Polska istotnie więcej gazu importowała z USA niż z Kataru. Sprowadzamy też gaz rurociągowy z Danii (w 2024 r. sprowadziliśmy z tego kraju 5,76 mld m sześc., a z Norwegii 1,22 mld m sześc.). Poza tym według komunikatu Gaz-System poziom wypełnienia krajowych magazynów gazu wynosi obecnie ok. 50 proc. Surowca w Polsce nie powinno zatem zabraknąć. Mimo to wstrzymanie dostaw z katarskich instalacji i kłopoty z transportem przez cieśninę Ormuz mogą przełożyć się na wzrost cen gazu na światowych rynkach, a w konsekwencji także nad Wisłą. Na jakie podwyżki się szykować? Według wspomnianych wyżej ekspertów Banku Pekao ceny gazu LNG w Europie wzrosną o 25–30 proc. z 30 euro na koniec 2025 r. do 50 euro/MWh. Bankowcy ostrzegają, że droższe paliwa pogłębią „strukturalne problemy Europy z drogą energią i nierentownym przemysłem". Podwyżka cen surowców i transportu oznacza również wzrost cen innych produktów. Po atakach na Iran gwałtownie wzrosły m.in. ceny nawozów (niezbędnych w produkcji żywności).

NIŻSZY WZROST GOSPODARCZY

W związku z rosnącymi cenami paliw i energii ekonomiści Banku Pekao w wydanym w środę raporcie podwyższyli prognozę inflacji o 0,4 punktu procentowego do 2,3 proc. rok do roku. Jednocześnie obniżyli prognozę wzrostu PKB Polski na rok 2026 z 4 proc. do 3,8 proc. Jedną z przyczyn zmiany prognoz jest wojna w Zatoce Perskiej, która ma mieć „trwałe, co nie znaczy poważne konsekwencje". „Wzrost kosztów energii odbije się negatywnie na konsumpcji w Polsce, gdyż po pierwsze zmniejsza siłę nabywczą gospodarstw domowych, a po drugie osłabia i tak już niezbyt mocną pozycję negocjacyjną pracowników w negocjacjach płacowych z pracodawcami" – napisali analitycy banku. Ich zdaniem „główny motor polskiej gospodarki w tym roku, czyli inwestycje nie zostaną wyhamowane, gdyż mają solidne źródła finansowania (m.in. KPO, SAFE w takiej czy innej postaci). Dlatego spowolnienie PKB na skutek wojny na Bliskim Wschodzie nie będzie naszym zdaniem silne".

Również według analityka agencji ratingowej Moody's, która w tym tygodniu ma dokonać oceny wiarygodności kredytowej Polski, jeśli konflikt nie potrwa długo, to jego wpływ na polską gospodarkę nie będzie znaczący. – Z naszych badań wynika, że zazwyczaj, gdy konflikt jest krótkotrwały, ceny wracają do swojego długoterminowego trendu w ciągu maksymalnie 30 do 90 dni – powiedział Olivier Chemla.

A co, jeśli wojna będzie trwała dłużej lub okaże się bardziej intensywna? Trzeba pamiętać, że ekonomiści Pekao prognozę

eprasa.pl df9201f649

łagodnego wzrostu inflacji i delikatnego spadku wzrostu gospodarczego Polski nakreślili przy założeniu, że cieśnina Ormuz wkrótce zostanie otwarta, choć żegluga w tym rejonie stanie się bardziej niebezpieczna. A jeżeli to zbyt optymistyczne założenie? Zdaniem analityków rynków surowcowych ING, jeśli konflikt potrwa cztery tygodnie, to ceny ropy w drugim kwartale 2026 r. wyniosą średnio 71 dol. za baryłkę. „W przypadku przeciągającej się wojny przez trzy miesiące, ale wygasającej po upływie jednego miesiąca, mogą sięgnąć 89 dol., a przy pełnej intensywności wojny przez trzy miesiące nawet 110 dol. W podobnej skali wzrosłaby cena gazu" – czytamy w „Dzienniku ING" z 6 marca.

ROPA NAWET PO 200 DOLARÓW?

Nie należy wykluczać czarnego scenariusza. Według informacji CBS News Iran podjął w ubiegłym tygodniu działania z wykorzystaniem małych łodzi, aby zaminować cieśninę Ormuz. W nocy ze środy na czwartek Iran przeprowadził zaś serię ataków rakietowych i dronowych na cele w Arabii Saudyjskiej, Kuwejcie i Bahrajnie (tu pociski trafiły w zbiorniki paliwa w prowincji Muharrak, w pobliżu międzynarodowego lotniska). Tylko w zeszłym tygodniu na celowniku miało znaleźć się co najmniej kilka tankowców z paliwem, z których część została zaatakowana przez pociski, a część przez irańskie łodzie wypełnione materiałami wybuchowymi. I chociaż prezydent Trump wzywał kapitanów tankowców, by „pokazali trochę odwagi" i nie ulegali groźbom Irańskich Strażników Rewolucji, to gdy zamykaliśmy ten numer, nawet amerykańska marynarka wojenna odmawiała eskortowania statków, uznając, że ryzyko jest zbyt wysokie.

Nowy najwyższy przywódca Iranu, Modżtaba Chamenei, zapowiedział zaś w czwartek, że cieśnina Ormuz nadal będzie blokowana, aby wywierać nacisk na wroga. – Pomścimy krew naszych męczenników – zapowiedział nowy lider ajatollahów. Jego słowa błyskawicznie wywołały zaś skok cen ropy na światowych giełdach. Rzecznik Kwatery Głównej armii Iranu Ebrahim Zolfakari zapowiedział, że świat powinien liczyć się z ceną ropy na poziomie 200 dol. za baryłkę.

Rośnie również zagrożenie cyberatakami. Analitycy firmy Sophos ostrzegli, że po eskalacji konfliktu pojawiły się nowe



W ramach uderzeń odwetowych Iran wziął na celownik infrastrukturę energetyczną. Na zdjęciu: płonący skład paliw w Fujairah w ZEA

FOT. FADEL SENNA/AFP/EAST NEWS

lub reaktywowane grupy haktywistyczne wspierające Iran. „Niestabilność geopolityczna zwiększa cyberataki sponsorowane przez państwa, co z kolei wpływa na sposób funkcjonowania rynku ubezpieczeń cybernetycznych. W takich sytuacjach ubezpieczyciele zwykle reagują podnoszeniem składek, zaostrzaniem standardów oceny ryzyka oraz rozszerzaniem katalogu wyłączeń odpowiedzialności, aby ograniczyć swoją ekspozycję na potencjalnie bardzo duże, systemowe zdarzenia. Nie da się jednak wiarygodnie oszacować, o ile dokładnie mogą wzrosnąć koszty" – wyjaśnia „Do Rzeczy" dyrektor do spraw technologii w firmie Sophos Chester Wisniewski.

WAKACJE BĘDĄ DROŻSZE

Kierowcy, których martwi szybko rosnąca cena benzyny lub diesla, mogą się pocieszyć: linie lotnicze mają jeszcze gorzej. Jeszcze bardziej podrożało paliwo lotnicze. Na razie hedging chroni przewoźników przed niespodziewanymi kosztami i umożliwia utrzymanie cen połączeń na mniej więcej stałym poziomie. Jeśli jednak ceny paliwa lotniczego dłużej utrzymają się na podwyższonym poziomie, to zarówno ceny biletów lotniczych, jak i wakacyjnych ofert poszybują mocno w górę. Część kierunków na Bliskim Wschodzie i w Azji może zaś na dłużej wypaść z oferty linii lotniczych i biur podróży.

Na droższe wypady zagraniczne wpłynąć może nie tylko wyższy koszt samych biletów lotniczych/paliwa do samochodu, lecz także słabszy złoty. W przeliczeniu na krajową walutę zdrożeją zatem hotele, wyżywienie oraz atrakcje zarówno w państwach, w których płaci się w euro, jak i w tych, w których główną walutą jest amerykański dolar.

Również wakacje krajowe mogą w tym roku zdrożeć ze względu na inflację oraz gwałtownie rosnący popyt. – Sytuacja geopolityczna zaczyna znacząco wpływać na decyzje wyjazdowe Polaków. To bardzo mocny sygnał dla branży turystycznej, że wyjazdy krajowe mogą w najbliższym czasie jeszcze bardziej zyskać na znaczeniu – mówi ekspert rynku turystycznego i założyciel serwisu otoNoclegi.pl Kamil Ruciński. Z najnowszej ankiety otoNoclegi.pl wynika, że aż 73 proc. respondentów wskazuje, że w obecnej sytuacji będzie częściej podróżować po Polsce. Krajowe wyjazdy są bowiem postrzegane jako bezpieczniejsza i bardziej przewidywalna alternatywa dla zagranicznych wakacji.

KTO ZARABIA, A KTO TRACI?

Nowa wojna na Bliskim Wschodzie umocniła dolara amerykańskiego i jednocześnie doprowadziła do jeszcze większego wzrostu cen złota (rok do roku uncja zdrożała o 75,9 proc., a w ciągu ostatniego miesiąca o 4,79 proc.). Pod presją niepewności cofnęły się zaś globalne giełdy. Czerwony kolor zagościł też na warszawskim parkiecie. Indeks WIG20 w czwartek był o ok. 4,60 proc. niżej niż miesiąc wcześniej, z kolei WIG stracił w ciągu miesiąca 4,96 proc. W reakcji na rynkową zawieruchę Ministerstwo Finansów zdecydowało się odwołać planowany na 11 marca przetarg zamiany obligacji skarbowych, co zdarza się wyjątkowo rzadko.

Konflikt na Bliskim Wschodzie podbił ceny gazu i marż rafineryjnych, co przełożyło się na rekordowy kurs akcji Orlenu (w ciągu miesiąca kurs wzrósł o ok. 16,5 proc., a analitycy spodziewają się mocnego wzrostu zysku i jeszcze bardziej podnoszą wycenę tego koncernu).

Wyższa inflacja to zła wiadomość dla tych, którzy liczyli na tańsze kredyty, ponieważ Rada Polityki Pieniężnej wstrzyma się z dalszymi obniżkami stóp procentowych co najmniej do jesieni. O cięciach mogą też zapewne zapomnieć ci, którzy liczyli na dalsze luzowanie polityki pieniężnej przez Europejski Bank Centralny. Co więcej, już w tym roku niewykluczone są podwyżki stóp procentowych, za pomocą których banki centralne będą chciały ograniczać tempo wzrostu cen. W grę wchodzi również stagflacja, czyli połączenie wysokiej inflacji z recesją i szybko rosnącym bezrobociem. Niezależnie od scenariusza trzeba będzie zapłacić rachunek za tę wojnę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl df9201f649



Rozczarowanie Trumpa, że w Iranie nie zadziałał scenariusz wenezuelski, poraża skalą ignorancji i niekompetencji

FOT. ROBERTO SCHMIDT/GETTY IMAGES

Najgłupsza wojna XXI w.



Witold Repetowicz

Donald Trump rozpoczął wojnę z Iranem bez realnego planu i precyzyjnie określonych celów politycznych, błędnie zakładając, że po pierwszym uderzeniu przeciwnik padnie przed nim na kolana. Tymczasem odpowiedź Iranu jest logiczna i przemyślana. Potęga USA może robić wrażenie, ale nie zmieni faktu, że trudno będzie Amerykanom wygrać tę wojnę. Islamska Republika musi tylko przetrwać, aby ogłosić zwycięstwo

Od samego początku wojna z Iranem oparta jest na iluzjach. Uderzenie, które nastąpiło pierwszego dnia wojny, pokazało oczywiście, że USA nie ma sobie równych pod względem potęgi militarnej. Tylko że sam pokaz siły nie wystarczy, by wygrać wojnę. Służy ona osiąganiu celów politycznych, które najpierw muszą zostać zdefiniowane. Trump i jego administracja tego nie zrobili, bo optymistycznie założyli, że irańskie elity władzy, w strachu o swoje życie, od razu skapitulują, tak jak reżim wenezuelski zmiękł po uprowadzeniu Nicolása Maduro czy syryjski reżim po ucieczce Baszara al-Asada. Tak się oczywiście nie stało, bo Iran to nie Wenezuela, a Chamenei to nie Al-Asad.

MĘCZEŃSTWO CHAMENEI

Jeszcze przed wybuchem wojny pojawiały się sugestie, że 87-letni Najwyższy Przywódca może złożyć się w ofierze jako „męczennik", by w ten sposób zadbać o swoje dziedzictwo, a jednocześnie dać przykład innym. Męczeństwo w szyizmie odgrywa ogromną rolę i ktoś, kto tego nie rozumie, nie ma pojęcia o tej grupie religijnej. Wzorem jest imam Husajn, który w 680 r. został wraz z rodziną zabity w bitwie pod Karbalą. Później kolejni kalifowie mordowali kolejnych szyickich imamów, a fundamentem szyickiej religijności jest pielgrzymowanie do ich grobowców i przeżywanie ich męczeństwa w różnych rytuałach. Przykład dany przez Chamenei, który nie krył się i nie uciekał, wzmocnił morale irańskich żołnierzy, zwłaszcza tych z Sepah (tj. Irańskiego Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej), ale może też zachęcić wielu do samobójczych ataków terrorystycznych, jeśli Islamskiej Republice (jako systemowi ustrojowemu) grozić będzie upadek. Na razie daleko jest jednak do tego.

GEOGRAFII SIĘ NIE ZMIENI

Islamska Republika przygotowała się na wypadek zabicia swojego lidera,

eprasa.pl df9201f649

a także eliminacji znacznej części dowództwa i kierownictwa państwa. W tym celu opracowano tzw. strategię mozaikową, opartą na daleko idącej decentralizacji struktury dowodzenia i przekazaniu większych kompetencji dowódcom średniego szczebla. Na razie strategia ta się sprawdza. Rozczarowanie Trumpa, że w Iranie nie zadziałał scenariusz wenezuelski, poraża skalą ignorancji i niekompetencji. Równie kuriozalne były reakcje na odpowiedź Iranu. Sugestie, że jest ona desperacka i chaotyczna, kompromitowały wypowiadających się pseudoekspertów, gdyż było dokładnie przeciwnie. Działania Iranu były przemyślane i skalibrowane. Iran słusznie założył, że żadne z zaatakowanych przez niego państw regionu nie ośmieli się odpowiedzieć militarnie. Wprawdzie wydały one gniewne oświadczenia o „rezerwowaniu sobie prawa do rewanżu", ale żadne działania za tym nie poszły. Przyczyna jest prosta – nie wierzą w to, że USA będą wiecznie je chronić, oraz w to, że Islamska Republika zniknie. Ryzyko niszczycielskiego odwetu jest zatem zbyt duże, bo USA nie zawsze muszą być w pobliżu, w przeciwieństwie do Iranu. Geografii się nie zmieni.

Niemal wszystkie państwa regionu były przeciwne wojnie, bo wiedziały, że zapłacą za nią wysoką cenę. I Iran pokazał, że się nie myliły. Gdyby postąpił inaczej, wyszedłby na bezzębnego, co ośmieliłoby jego wrogów i rywali (a sunnickie monarchie regionu nigdy nie pałały do szyickiej republiki miłością) do bardziej odważnej względem niego postawy. Uzasadnieniem ataków jest to, że goszczą one u siebie bazy USA, a jednocześnie ma to być komunikat, iż Amerykanie nie są w stanie zagwarantować im bezpieczeństwa. Jeśli Islamska Republika przetrwa, to skłoni to te państwa do poważnej rewizji swoich relacji z USA, zwłaszcza w zakresie bezpieczeństwa. Będzie to duża szansa dla Chin. Dzięki Trumpowi.

Kolejnym celem ataków odwetowych Iranu było narzucenie regionalnych i globalnych kosztów wojny, co ma prowadzić do nacisków na USA (oraz nacisków wewnątrz Stanów Zjednoczonych), aby się z niej wycofały. Straty państw regionu wynikające tylko z unieruchomienia linii lotniczych i sparaliżowania turystyki są ogromne. Już teraz ocenia się, że ich wartość może być rzędu dziesiątków miliardów dolarów. A Iran skutecznie zablokował też cieśninę Ormuz, i to bez użycia swojej marynarki wojennej. Wystarczyła sama groźba ataków, by odstraszyć od przepływania przez tę strategiczną cieśninę i zmuszenia ubezpieczycieli do kosmicznego wywindowania cen polis. USA okazały się wobec tego bezsilne. W rezultacie ceny ropy wystrzeliły i w ciągu kilku dni ropa zdrożała z 70 dol. za baryłkę do ponad 100 dol. (i nadal rośnie), a każdy konsument płaci za wojnę Trumpa i Netanjahu, podjeżdżając na stację benzynową (również w Polsce). Oczywiście na zwyżkach cen ropy i niedoborach surowca na rynku zyskuje Rosja.

W sposób oczywisty nie wpłynie to pozytywnie na szanse republikanów w tegorocznych, listopadowych wyborach do Kongresu, a na dłuższą metę może utorować drogę demokratom do odzyskania Białego Domu. Zwłaszcza że według sondaży już teraz ok. dwóch trzecich Amerykanów jest przeciw tej wojnie, a demokraci próbowali zablokować ją ustawą w Kongresie. Prognozuje się, że jej negatywny wpływ na amerykańską gospodarkę, w tym na bezrobocie, będzie znacznie większy. A dzienne koszty jej prowadzenia zostały wyliczone na ok. 900 mln dol., do czego konieczne jest doliczenie jeszcze wartości zniszczonego przez Irańczyków sprzętu (ok. 2 mld dol. w ciągu pierwszych pięciu dni). Oczywiście Iran ma nieporównywalnie większe straty, tylko że ma również inną motywację i inną determinację.

KARTY NA CZARNĄ GODZINĘ

Założenie, że Iranowi szybko skończą się pociski i drony, bo USA, wykorzystując dominację w powietrzu, zniszczą wyrzutnie itp., itd., okazało się myśleniem życzeniowym. Tak naprawdę nikt nie wie, jaki jest dokładnie arsenał Iranu i jak jest ukryty, bo gdyby USA lub Izrael miały taką wiedzę, to pewnie rzeczywiście zostałby zniszczony. Tyle że Iran to duży i górzysty kraj, który pobudował różne instalacje głęboko pod ziemią. Ponadto Iran bynajmniej nie reaguje w sposób desperacki i nie rzucił na stół wszystkich swoich kart. Nie jest zaskoczeniem, że państwo to kieruje się logiką quid pro quo, a zatem stara się atakować obiekty takiego typu, jakie są atakowane u niego. Gdy USA zaatakowały instalacje odsalające na irańskiej wyspie Keszm, to irańskie pociski spadły na podobny obiekt w Bahrajnie. To znacznie bardziej wrażliwe miejsce, bo cały region jest uzależniony od wody pitnej uzyskiwanej w procesie desalinacji. A bez wody nie ma życia.

Iran czuje się też uprawniony do atakowania ambasad i budynków rządowych przeciwnika, bo przecież Izrael już dawno zbombardował irański konsulat, a w pierwszych dniach tej wojny celem stało się przywództwo państwowe. Oczywiście konwencjonalnie Iran ma znacznie mniejsze możliwości w tym zakresie, ale asymetrycznie to sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Chodzi o ataki terrorystyczne, które na razie nie zostały uruchomione. To karty, które Iran trzyma na czarną godzinę, a ta jeszcze nie nadeszła. Na razie Iran stara się działać tak, by móc prezentować swoją obronę jako zgodną z prawem międzynarodowym, choć z jego perspektywy nie ma różnicy, czy budynek rządowy lub ambasadę trafia rakieta czy też wybucha tam podłożony ładunek wybuchowy.

Jeśli Islamska Republika rzeczywiście stanęłaby na skraju upadku, to hamulce puszczą. Oprócz akcji terrorystycznych w krajach, które w ten czy inny sposób wspierają atak, może też doprowadzić do skażenia wód Zatoki Perskiej. Oczywiście to by było samobójstwo. Ale czy samobójstwem nie byłby atak nuklearny Iranu na Izrael, o którego planowanie Islamska Republika jest oskarżana? Władze Iranu to nie irracjonalni szaleńcy – jak twierdzi wroga im propaganda. To ludzie, którzy ideologiczną determinację łączą z racjonalnym podejściem. Dlatego Iran nigdy by pierwszy nie zaatakował bronią nuklearną Izraela, to bzdura. Ale jeśli Islamska Republika, jako projekt ustrojowy, byłaby zagrożona egzystencjalnie z zewnątrz, to nie byłoby już miejsca na działania racjonalne.

GDY OGON MACHA PSEM

Ta wojna to zresztą nie decyzja USA, ale Izraela, a konkretnie Beniamina Netanjahu. Przyznał to nawet amerykański sekretarz stanu Marco Rubio, choć się później rakiem wycofał, bo dostał burę od szefa, którego gigantyczne ego nie pozwala na przyznanie się do tego, że ogon macha psem. Iran bynajmniej nie stanowił zagrożenia ani dla USA, ani dla

eprasa.pl df9201f649

szeroko rozumianego Zachodu i chciał się dogadać, bo wiedział, że będzie to korzystne dla obu stron. W przeciwieństwie do współpracy z Rosją, która wcale żadnym jego sojusznikiem nie jest.

Wręcz przeciwnie, jest beneficjentem izolacji Iranu oraz niszczącej go eskalacji. Zbliżenie irańsko-rosyjskie zaczęło się dopiero na początku XXI w., i to przy głębokiej nieufności Irańczyków (w tym dużej części elit politycznych). Jego jedynymi powodami były konflikt z Zachodem i sankcje nałożone w związku z programem nuklearnym. W 2015 r. podpisane zostało jednak porozumienie w sprawie irańskiego programu nuklearnego (tzw. JCPOA), które otworzyło drogę do rozwoju stosunków handlowych między Iranem i Zachodem. Iran

Ku zaskoczeniu USA irańskie elity nie uciekły, a Sepah nie złożyła broni. Rozpoczął się więc festiwal głupich pomysłów

wyrażał wówczas gotowość zastąpienia Rosji jako dostawca surowców energetycznych. Firmy zachodnie, w tym polskie, przymierzały się do inwestycji w Iranie. Po raz pierwszy też doszło do bezpośrednich kontaktów między dyplomatami USA i Iranu, a irańskie proxy zaprzestały ataków na pozycje USA na Bliskim Wschodzie.

Niezadowolony był tylko Netanjahu. Swój cel osiągnął, gdy Trump został prezydentem. Choć nie było żadnych dowodów na łamanie przez Iran warunków JCPOA, to USA pod tym pretekstem wystąpiły z porozumienia, a Europa nie była w stanie go uratować. Rezultat był dokładnie odwrotny do zamierzonego, bo Iran dopiero wówczas rozkręcił swój program na dobre. Trump liczył, że reżim ugnie się pod sankcjami, ale tak się nie stało. I choć przez Iran przetaczały się fale protestów, to rewolucja nie wybuchła.

Mimo wszystko Irańczycy, wiedząc, że porozumienie jest w interesie obu stron, byli gotowi do negocjacji i te rzeczywiście zostały wznowione. Wyglądało na to, że Trump zrozumiał, że polityka maksymalnej presji nie działa, a wojna byłaby szaleństwem. Porozumienie było na wyciągnięcie ręki, ale Izrael naciskał na całkowite rozbrojenie Iranu (w szczególności likwidację jego programu balistycznego), co oczywiście było nie do przyjęcia przez Iran. A gdy wydawało się, że USA jednak zawrą nowe porozumienie, Izrael dokonał ataku na Iran. Rozpoczęła się wojna dwunastodniowa, która pokazała, że Izrael, choć dysponuje rozbudowaną agenturą w Iranie i jest w stanie przejąć kontrolę nad niebem, to nie ma zdolności do wyrządzenia istotnych szkód irańskiemu programowi atomowemu. Wtedy wkroczyli Amerykanie i Trump ogłosił, że program nuklearny został totalnie zniszczony w wyniku amerykańskiego nalotu. Kilka miesięcy później ten sam Trump twierdził, że atak na Iran był konieczny, bo kraj ten dzielił jakoby tydzień od zdobycia bomby nuklearnej. Przy czym, podobnie jak w przypadku wojny dwunastodniowej, również tym razem atak nastąpił w momencie, gdy prowadzone były negocjacje, a Irańczycy – co potwierdziły władze Omanu – byli gotowi na daleko idące ustępstwa w sprawie programu nuklearnego. Rezygnacja z programu balistycznego była jednak wykluczona, bo staliby się całkowicie bezbronni, a doświadczenie pokazało, że Izrael z całą pewnością wykorzysta to do ataku.

CZEGO CHCE TRUMP

Od samego początku wojny pojawiały się sprzeczne informacje, co tak naprawdę Trump chce osiągnąć. Jeszcze w czasie trwających miesiąc wcześniej protestów amerykański prezydent kreował się na wyzwoliciela ludu irańskiego spod tyranii islamskiego reżimu. Ale nie podjęto żadnych kroków, by sformułować jakiś projekt ustrojowy wolnego Iranu, wokół którego skupiony byłby szeroki front opozycji. Z każdej lodówki wyskakiwał za to „następca tronu" Reza Pahlawi, przez złośliwych nazywany Clown Prince'em. Nawet Trump uznał, że to słaba karta. Zresztą USA pod przywództwem Trumpa uznały, że szerzenie demokracji na świecie nie ma sensu. Irańczycy zamiast wolności otrzymali tylko zniszczenie. Jeśli ktoś myśli, że będą za to wdzięczni USA i Izraelowi, to chyba oszalał.

Żaden kraj nie wsparł tej awantury Trumpa i Netanjahu. Co prawda, np. kanclerz Niemiec Friedrich Merz w Gabinecie Owalnym sugerował, że omawiał z Trumpem obalenie reżimu i to, co ma być później, ale Iran szybko wysłał komunikat, że każdy, kto się przyłączy do wojny (w jakikolwiek sposób), zapłaci za to. Codziennie widać, że Iran nie żartuje, więc nikt się nie przyłączył. Za to przeciwko atakowi na Iran jednoznacznie opowiedziała się Turcja, czyli kluczowy regionalny sojusznik USA w NATO.

Ponieważ ku zaskoczeniu Trumpa irańskie elity nie uciekły, a Sepah nie złożyła broni, rozpoczął się festiwal głupich pomysłów. Nagle przypomniano sobie o Kurdach jako wiernych i niezawodnych sojusznikach. Plan był taki, że Kurdowie będą amerykańskimi „boots on the ground", dokonają ataku na zachodni Iran od strony Iraku, związą siły Sepah, a w tym samym czasie w miastach Iranu wybuchnie powstanie i opozycja przejmie władzę. Oczywiście żadna propozycja co do statusu Kurdów w „wolnym Iranie" nie została sformułowana. Bo po co? Problem w tym, że Kurdowie nie są tacy naiwni, zwłaszcza po tym, jak Trump dwukrotnie wystawił ich w Syrii, raz Erdoğanowi, a drugi raz dżihadystom Al-Szary.

W takiej sytuacji Trumpowi pozostało już tylko opowiadać bajki z mchu i paproci o Irańczykach „odcinających dzieciom głowy i przecinających kobiety na pół", prześladowaniu chrześcijan (w Teheranie w Boże Narodzenie wiszą billboardy z Matką Boską i Jezusem) oraz o tym, że jakoby to Irańczycy sami zbombardowali sobie szkołę w Minab, zabijając ponad 150 dziewczynek (media USA nie mają wątpliwości, że to amerykański pocisk tam uderzył). Do tego dochodzi żądanie bezwarunkowej kapitulacji i oczekiwanie, że to Trump wskaże Najwyższego Przywódcę. Irańczycy odpowiedzieli na to, zastępując starego Chamenei jego młodszą wersją – synem Modżtabą. To bardzo zła wiadomość, bo oznacza zwiększenie represyjności państwa i przekazanie faktycznej władzy Sepah. Znów zatem wszystko idzie w przeciwnym kierunku do zamierzonego. W takiej sytuacji Trumpowi trudno będzie się wyplątać z tej wojny. Świat czeka globalny kryzys, każdy konsument będzie za to płacił. Islamska Republika musi zaś tylko przetrwać, aby ogłosić zwycięstwo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl df9201f649





FOT. DANIEL TORÓK/THE WHITE HOUSE/AFP/EAST NEWS

Kremlowski szampan dla Trumpa



Łukasz Warzecha

Przeciwnicy prezydenta USA mogą mieć gorzką satysfakcję – Pokojowa Nagroda Nobla pozostanie niemal na pewno w sferze marzeń. To jednak mała pociecha dla Polski, która wskutek wojny ponosi szkody i polityczne, i ekonomiczne

Epicki błąd" – tak przechrzcił operację „Epicka furia" irański minister spraw zagranicznych Abbas Aragczi. Trudno powiedzieć, czy Pers świadomie nawiązywał do słynnego powiedzenia przypisywanego wybitnemu francuskiemu mężowi stanu, Charles'owi-Maurice'owi de Talleyrand-Périgordowi: „To gorzej niż zbrodnia – to błąd". Wziąwszy pod uwagę, że Aragczi posiada doktorat zrobiony na uniwersytecie Kentu, może znać historię europejskiej myśli politycznej.

Atak na Iran faktycznie coraz bardziej wygląda na błąd – największy jak dotąd w drugiej kadencji Donalda Trumpa. Konsekwencje gospodarcze, ale i polityczne mogą być gigantyczne. Jedynie w sferze domysłów pozostają zakładane cele, których Waszyngton nie jest w stanie – poza ogólnikami – przekonująco przedstawić. Coraz wyraźniej wybijają się natomiast dwa pytania, czy faktycznie stracą na tym Chiny – istnieje hipoteza, że uderzenie w ich gospodarkę było jednym z głównych celów wojny – oraz ile zyska Rosja, oddalając radykalnie perspektywę zakończenia wojny na Ukrainie?

Zanim spróbujemy na te pytania odpowiedzieć, najpierw trzeba zdać sobie sprawę ze złożoności i konsekwencji tego, co dzieje się na Bliskim Wschodzie. W ubiegłą środę, wkrótce po tym, jak Donald Trump stwierdził, że przez cieśninę Ormuz da się żeglować, taką próbę podjęło kilka tankowców, w tym tajski statek „Mayuree Naree". Trzy spośród kilku jednostek zostały uderzone przez Strażników Rewolucji, konieczna była ewakuacja „Mayuree Naree", a trzech marynarzy uważa się za zaginionych. W następstwie tych informacji cena baryłki ropy Brent poszybowała znów powyżej

eprasa.pl df9201f649



FOT. ALEXANDER KAZAKOV/KREMLIN POOL/ZUMA PRESS/FORUM

100 dol. za baryłkę, ok. 5 dol. mniej kosztowała baryłka ropy WTI. Ceny surowca są skrajnie niestabilne i wrażliwe na każdą wypowiedź czy wydarzenie.

Niedługo przed atakiem na tankowce prezydent USA mówił, że amerykańska marynarka może eskortować statki w cieśninie oraz chwalił się zatopieniem ponad 60 irańskich jednostek. Żadnych eskort jednak nie ma, a amerykańscy wojskowi stawiają sprawę jasno: US Navy jest za bardzo zajęta operacjami militarnymi, żeby zajmować się jeszcze eskortowaniem statków. Byłoby to zresztą ogromnie ryzykowne: cieśnina jest tak wąska (54 km w najwęższym miejscu), że siły irańskie, operujące z jej wschodniego brzegu, mogą uderzać z minimalnym wyprzedzeniem, a więc eskorta miałaby pojedyncze sekundy na przechwycenie nadlatujących rakiet czy nawet dronów (które mogą również nadpływać – Iran używa także bezzałogowców pływających).

FAŁSZYWA ANALOGIA

Percepcja zagrożenia zatopieniem statku i śmiercią załogi w cieśninie Ormuz jest tak wysoka, że trudno sobie wyobrazić, aby ubezpieczyciele zgodzili się w najbliższym czasie pokrywać wynikające z tego straty, a armatorzy odważyli się tam posyłać swoje jednostki. Do dzisiaj za w pełni bezpieczny szlak nie jest wszak uważana nawet Zatoka Adeńska, prowadząca na Morze Czerwone i dalej w kierunku Kanału Sueskiego, mimo że amerykańska operacja przeciwko Hutim, atakującym tam statki w ubiegłym roku, miała miejsce wiele miesięcy temu.

Niektórzy optymistycznie przywołują historyczną domniemaną analogię – tzw. wojnę tankowców podczas konfliktu iracko-irańskiego, gdy obie strony atakowały nawzajem własne statki. Wówczas, w latach 1987–1988, w ramach operacji „Earnest Will" („Żarliwa wola") Amerykanie uciekali się do różnych sposobów – także fałszywych flag – aby przeprowadzać tankowce przez cieśninę. W kwietniu 1988 r. doszło do bezpośredniego starcia marynarki USA z okrętami irańskimi, znanego jako operacja „Praying Mantis" („Modliszka"), gdy US Navy zdruzgotała siły irańskie. Ta analogia jest jednak fałszywa przede wszystkim z powodu olbrzymiego postępu technologicznego. Iran jest dzisiaj w stanie skutecznie paraliżować żeglugę w cieśninie Ormuz, korzystając z łatwo dostępnych i tanich środków bojowych, nie tracąc ani jednego żołnierza.

Znaczenie regionu dla zaopatrzenia świata w ropę i jej produkty, a także w skroplony gaz (producentem jest przede wszystkim Katar) jest gigantyczne, przy czym odcięcie dostaw uderza zwłaszcza w kraje Azji. Producenci z Zatoki Perskiej dostarczają łącznie ok. 35 proc. światowej ropy oraz produktów naftowych. Mimo że część krajów regionu posiada infrastrukturę, pozwalającą częściowo ominąć porty w zatoce – m.in. Arabia Saudyjska – to jednak przepustowość tych rurociągów nie dorównuje wolumenowi, który transportowany był przez cieśninę Ormuz. Tamtędy niemal całą swoją produkcję wysyłała właśnie Arabia Saudyjska, a praktycznie całą – Irak, który poza nieprzetestowanym ropociągiem niewielkiej przepustowości nie ma żadnej drogi ominięcia blokady.

Brak możliwości eksportu LNG, ropy i jej gotowych produktów – ze szczególnym uwzględnieniem paliwa lotniczego – powoduje, że zapełniły się składy, a to z kolei oznacza, że coraz większa liczba szybów musi wstrzymywać pracę. Będzie to miało ogromne długofalowe konsekwencje, ponieważ wznowienie wydobycia może zająć co najmniej tygodnie, a w przypadku szybów pracujących od wielu lat produkcja może już nie wrócić do dawnego poziomu (z przyczyn geologicznych). Z kolei instalacje do skraplania gazu – przede wszystkim katarskie – potrzebują miesięcy na ponowne uruchomienie.

Lwia część produkcji z krajów Zatoki Perskiej trafiała do Azji – niemal 90 proc. Najwięcej, aż 37 proc., szło do Chin. Ponad 14 proc. do Indii, 12 proc. do Korei Południowej, blisko 11 proc. do Japonii. Korea Południowa ucierpi również na odcięciu dostaw helu, produktu ubocznego skraplania gazu, kluczowego przy produkcji półprzewodników i komponentów takich jak m.in. procesory czy pamięci komputerowe. To ostatnie jest szczególnie ważne, bo kryzys nadszedł w momencie, gdy i tak ceny pamięci poszybowały (wie to każdy, kto chciał takie komponenty kupić w ostatnim czasie do swojego komputera) z powodu radykalnego wzrostu zapotrzebowania ze strony firm zasilających sztuczną inteligencję.

NACZYNIA POWIĄZANE

O ile Europa jako całość obrywa pośrednio, bo Zatoka Perska nie jest głównym źródłem ropy i jej produktów dla większości krajów naszego kontynentu, o tyle akurat Polska – ważny przecież sojusznik USA – jest tu szczególnie poszkodowana. Odcięcie się od ropy z Rosji sprawiło, że obecnie z Bliskiego Wschodu pochodzi aż blisko 53 proc. tego surowca w naszym kraju. Dostajemy zatem obuchem. Wśród najbardziej narażonych krajów jest także szaleńczo proukraińska Litwa – ponad 42 proc. importu z regionu – oraz Grecja z podobnym do litewskiego wolumenem importu z ogarniętego wojną regionu. Są też państwa szczególnie w Europie narażone z powodu importu z Bliskiego Wschodu produktów gotowych. W przypadku oleju napędowego to zwłaszcza Francja, Włochy i Holandia, a paliwa lotniczego – Grecja, Francja, Holandia i Portugalia.

Ekonomia to naczynia powiązane. We wszystkich uderzają wysokie ceny ropy – z Amerykanami włącznie – bo nawet mając własne źródła, jest się uzależnionym mniej lub bardziej, ale jednak od ceny na światowych giełdach. Stąd wzrosty na

eprasa.pl df9201f649

stacjach benzynowych w USA, podkopujące poparcie dla Trumpa nawet w elektoracie MAGA.

Czy osłabienie pozycji Chin było faktycznie celem wojny? Taka teza nie pojawiła się w wypowiedziach przedstawicieli administracji USA nawet w formie mglistych aluzji. To oczywiście nie znaczy, że takiego celu nie sformułowano za kulisami, ale może być i tak, że jest to skutek całkowicie poboczny. W 2025 r. Chiny importowały z Iranu 1,38 mln baryłek surowca dziennie, co stanowiło ok. 12 proc. całego importu tego surowca do Chin. Niemało, ale też nieprzesadnie dużo. Podczas wizyty Donalda Trumpa w Pekinie (zrezygnowano z odwiedzin w innych miastach), zaplanowanej na przełom marca i kwietnia, sytuacja na Bliskim Wschodzie na pewno stanie się tematem rozmów.

O ile faktycznie utrudnienie dopływu ropy z Iranu może być dla Chin pewnym problemem, o tyle Pekin może się cieszyć, że Amerykanie osłabiają własny potencjał militarny, zużywając na Bliskim Wschodzie potężne zasoby zaawansowanej technologicznie amunicji. To ważne szczególnie w kontekście ewentualnego przyjścia w sukurs Tajwanowi. Jak zauważa trafnie Dan Blumenthal z American Enterprise Institute, wojna pozwala również prezentować Xi Jinpingowi Chiny jako wiarygodną, stabilną alternatywę geopolityczną wobec awanturniczych Stanów Zjednoczonych. Szczególnie po tym, jak coraz więcej wskazuje na to, że toczone z Teheranem tuż przed rozpoczęciem wojny rozmowy były jedynie grą pozorów – albo pokazem wyjątkowej niekompetencji ze strony oddelegowanych do nich Steve'a Witkoffa i Jareda Kushnera.

Jednak największym wygranym jest bez wątpienia Władimir Putin. Wystarczy spojrzeć na wykres ceny ropy Ural. Z zaledwie ok. 58 dol. pod koniec lutego surowiec ten po rozpoczęciu wojny z Iranem skoczył błyskawicznie na prawie 90 dol., a w momencie pisania tego artykułu cena to ok. ponad 81 dol. Aby ulżyć dramatycznie potrzebującym ropy Indiom, Waszyngton zgodził się tymczasowo na importowanie przez Nowe Delhi rosyjskiego surowca. Przed wojną wiązałoby się to z nałożeniem na Indie drastycznych karnych ceł przez USA. Biały Dom – jak sygnalizują amerykańskie media – ma również rozważać złagodzenie sankcji nałożonych na samą Rosję. Ile Rosja zarobi na nowej wojnie, jeszcze nie wiadomo. Eksperci wskazują, że jedyną barierą może być stan infrastruktury wydobywczej i ewentualnie przepustowość rurociągów.

Moskwa może się także cieszyć z tego samego, co stanowi korzyść dla Pekinu: osłabienia zdolności militarnych USA poprzez przetrzebienie zasobów amunicji oraz zaangażowanie amerykańskich wojsk na Bliskim Wschodzie przez trudny dzisiaj do przewidzenia czas i w trudnej do przewidzenia skali.

O ile utrudnienie dopływu ropy z Iranu może być dla Chin pewnym problemem, o tyle Pekin może się cieszyć, że Amerykanie osłabiają własny potencjał militarny

Jeśli zaś spojrzeć w skali strategicznej – korzyścią dla Moskwy jest również relatywne osłabienie jej najgłośniejszych przeciwników w Europie, w tym Polski przede wszystkim. W momencie, gdy trwa zażarta – i w dużej mierze rytualna – wojna o sposób finansowania rozbudowy polskiej armii, nasz kraj otrzymuje potężny ekonomiczny cios od naszego teoretycznie największego sojusznika. Jak w przypadku każdego konfliktu o globalnym ekonomicznym zasięgu, tak i tutaj nastąpiła ucieczka od złotówki, uderzająca w kurs naszej waluty, co wpływa również na ceny paliw. Te ostatnie z kolei już zaczynają napędzać inflację, a to dopiero początek. Transport towarów odbywa się głównie pojazdami napędzanymi olejem napędowym, którego cena wzrosła najbardziej. Inflacja tylko z tego powodu może w najbliższych tygodniach wzrosnąć o kilka dziesiątych punktu procentowego, ale jeżeli konflikt potrwa dłużej i cieśnina Ormuz nie zostanie odblokowana – a na to się nie zanosi – to ten wpływ może sięgnąć nawet powyżej jednego punktu. Inflacja to w istocie podatek wysysający bezpowrotnie pieniądze obywateli. Mówiąc w uproszczeniu – to, co Polska straci na wojnie na Bliskim Wschodzie, nie trafi m.in. do polskiego wojska.

WZMOCNIENIE ROSJI

Koncentracja uwagi na Bliskim Wschodzie – jawnie sprzeczna z obietnicami Trumpa i nawet założeniami amerykańskiej strategii bezpieczeństwa – odciąga ją oczywiście od naszego regionu. Paradoksalnie jest to zgodne z diagnozą zawartą we wspomnianej wcześniej strategii bezpieczeństwa USA, która jasno stwierdzała, że amerykańskie zasoby nie są nieograniczone i dlatego USA muszą się skoncentrować na tym, co naprawdę ważne. Tyle że nie miał to być Bliski Wschód, wymieniony w tym dokumencie dopiero na trzecim miejscu, i to nie jako problem, ale jako region inwestycyjny.

Teraz prezydent Trump będzie zmuszony do podjęcia prób naprawienia własnego błędu poprzez dążenie do względnego ustabilizowania rynku energii – w przeciwnym wypadku grozi mu przegrana w wyborach połówkowych do Kongresu w listopadzie, przed czym już teraz przestrzegają co bardziej buntowniczy republikanie. To z kolei będzie wymagało uzgodnień z Rosją – do takiej rozmowy telefonicznej z Władimirem Putinem już doszło w ubiegłym tygodniu – ale przede wszystkim odbiera Waszyngtonowi możliwość stosowania nacisku na Rosję w kwestii zakończenia wojny na Ukrainie, która siłą rzeczy schodzi na dalszy plan. Również to uderza w nasz interes, którym jest zakończenie działań zbrojnych na Ukrainie.

W dodatku wzmocnienie Rosji za sprawą wojny z Iranem zmienia balans sił w obozie umownego Globalnego Południa, podwyższając status Moskwy względem Pekinu. Na ile ten efekt został przez Trumpa oraz jego otoczenie uwzględniony w rachubach, pozostaje zagadką.

Przeciwnicy Donalda Trumpa mogą mieć gorzką satysfakcję – Pokojowa Nagroda Nobla pozostanie niemal na pewno w sferze marzeń. To jednak mała pociecha dla Polski, która wskutek wojny traci i ekonomicznie, i geopolitycznie. W tym przypadku szampanskoje może prezydentowi USA z pewnością wysłać za to główny lokator Kremla.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl df9201f649

REPUBLIKA

Cotygodniowy przegląd najciekawszych, najzabawniejszych i najbardziej wiralowych filmów, zdjęć i postów z internetu. Widzowie zagłosują także na niechlubne Oskary Tygodnia – **najlepszy hit z sieci.**



SOBOTA
12:20
w Republice

Zapraszają Mirona Hołda i Oskar Szafarowicz

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl df9201f649



Z Mariuszem Cielmą, redaktorem naczelnym miesięcznika „Nowa Technika Wojskowa”
rozmawia Jakub Wozinski

Czy Teheran ma ukrytego asa w rękawie?

Bombardowanie Teheranu FOT. MIDDLE EAST IMAGES/ABACA/ABACA PRESS/FORUM

JAKUB WOZINSKI: Sekretarz obrony USA Pete Hegseth stwierdził na początku amerykańsko-izraelskiej agresji, że koalicjanci w pełni i bezwarunkowo panują nad całą przestrzenią powietrzną nad Iranem oraz że ich przewaga jest miażdżąca. Czy to prawda czy raczej wojenna propaganda?

MARIUSZ CIELMA: Co do zasady można się zgodzić ze stanowiskiem Hegsetha, bo widać to choćby nawet po stratach izraelskich i amerykańskich. W zasadzie żaden z załogowych samolotów bojowych nie został stracony w walce, oczywiście pomijam tu przypadek trzech zestrzelonych przez Kuwejt samolotów F-15. Pewne straty zatem są, ale są one głównie związane z zestrzelonymi bezzałogowcami, które co do zasady są łatwiejszymi celami. Choćby dlatego, że nie przenoszą żadnych środków służących do samoobrony.

Uważam, że choć konflikt ten zaczął się pod koniec lutego, to swój początek miał w czerwcu ubiegłego roku, kiedy miała miejsce tzw. dwunastodniowa wojna, w czasie której Izrael, a na koniec też Amerykanie, zaatakował z powietrza Iran. Izraelczycy zorientowali się wówczas, że mają taką przewagę technologiczną, że właściwie bez strat własnych są w stanie wykonywać misje powietrzne w irańskiej przestrzeni. I to tak naprawdę, moim zdaniem, zachęciło zarówno Izrael, jak i Stany Zjednoczone do tego, żeby całą operację powtórzyć. Zakładam, że uważano, iż może to być kolejny dosyć łatwy konflikt, który może przynieść określone korzyści polityczne i geopolityczne. Szczególnie że został on też rozpoczęty wkrótce po bardzo dużych niepokojach społecznych. Być może zakładano, że krótkotrwała kampania lotnicza doprowadzi do przewrotu. Ogólnie więc można się z tym zgodzić, że koalicja złożona z Izraela i Stanów Zjednoczonych wykonuje swoje zadania w przestrzeni powietrznej w zasadzie bez zauważalnie dużych przeszkód.

Co dokładnie zapewniło tak dużą przewagę?

Na pewno nie można powiedzieć, że jest tylko jeden czynnik, gdyż można tu wymienić całą ich grupę. Przewagę zapewniło oczywiście posiadanie bardzo nowoczesnych systemów uzbrojenia. Mam tu na myśli zarówno same samoloty, jak i uzbrojenie, które jest precyzyjne, a jednocześnie pozwala pilotom na pozostawanie w pewnej odległości od celu, który atakujemy. Czyli mówiąc krótko, nie ma aż takiego zbytniego narażania atakujących samolotów na zestrzelenie, bo są one w stanie precyzyjnie razić cele z pewnej odległości. Innym działaniem zachodniego lotnictwa jest operowanie na dużych wysokościach. Tym samym ucieka się od dużej części lekkich systemów przeciwlotniczych, jak ręczne wyrzutnie przeciwlotnicze czy też działka przeciwlotnicze. Iran dysponuje dużo mniejszą liczbą takich środków, przy których pomocy mógłby razić samoloty

eprasa.pl df9201f649

na większych wysokościach. Im wyżej leci obiekt, tym bardziej wyrafinowanych potrzeba rozwiązań.

Trzeba także pamiętać o tym, że tak naprawdę Iran już od dawna znajdował się na celowniku Izraela, a jego postęp pod względem rozwoju systemów obrony powietrznej był w większości zdecydowanie oparty na własnej myśli technicznej, raczej nieprzełomowej. Krótko mówiąc, był to kraj, który od dekad był w dużej mierze odcięty od zachodnich nowoczesnych technologii. Iran został zmapowany pod kątem swoich możliwości, dzięki czemu można było choćby wykonać ataki z wykorzystaniem systemów walki radioelektronicznej, polegające na zagłuszaniu obrony, a nie tylko fizycznym jej niszczeniu. Tak więc w efekcie to, co oglądamy od początku konfliktu, jest bardzo jednostronne pod względem militarnym. Iran oczywiście odgryza się pociskami balistycznymi i dronami, ale z perspektywy czystej walki o dominację, choćby w przestrzeni powietrznej, to w zasadzie nie ma dyskusji.

Iran był jednak w pełni świadomy tego, że nadejdzie kiedyś taki moment, że będzie musiał stoczyć dużą wojnę z Izraelem i ze Stanami Zjednoczonymi i jednak jakoś się na to przygotował. Pojawiają się choćby informacje o tym, że irańskie dowództwo zdecentralizowało system dowodzenia i jest gotowe na długotrwałą walkę.

To prawda, Iran w zasadzie od dekad miał świadomość tego, że mając za przeciwników takie kraje jak Stany Zjednoczone czy Izrael, musi prowadzić działania asymetryczne. Dlatego choćby w rejonie Zatoki Perskiej rozwijano nie klasyczne siły, tylko mocno postawiono na działanie choćby małych jednostek morskich (np. szybkich kutrów) prowadzących skryte i nagłe ataki. Nie postawiono na próbę przeciwstawienia się „jeden do jednego", bo zdawano sobie sprawę z przewag technologicznych USA czy Izraela. Próbowano za to „podgryzać" cały Bliski Wschód, w tym Izrael, poprzez działalność różnych organizacji określanych mianem terrorystycznych. Po stronie Iranu była zatem świadomość, że tego rodzaju narzędzia będą dla nich najbardziej skuteczne. Równolegle jednak oczywiście rozwijano także systemy dalekiego rażenia, czyli programy rakietowe, pociski balistyczne, a także podejmowano próby wzbogacania uranu do celów militarnych. Mieliśmy zatem do czynienia zarówno z próbą opracowania i wdrożenia narzędzi asymetrycznych, jak i rozwijaniem uzbrojenia strategicznego.

Warto zauważyć, że irańskie lotnictwo w zdecydowanej większości opiera się na samolotach bojowych pochodzących jeszcze z czasów szacha, czyli z lat 70. Mówiło się ostatnio o przekazanych nowych rosyjskich myśliwcach Su-35S, ale w ogóle nie zobaczyliśmy ich aktywności w trakcie tego konfliktu. Pojawiły się także całkiem niedawno materiały filmowe, że zakupiono w Rosji śmigłowce szturmowe Mi-28, ale także ich nie widać. Być może faktycznie Iran je na tym etapie wojny ukrył, ale to tylko spekulacje.

Na pewno dla Iranu dużą nauką było to, co się działo się nieco ponad pół roku temu, kiedy po raz pierwszy Izrael bez większego problemu panował nad przestrzenią powietrzną. Władze musiały zdecentralizować swój system dowodzenia, a nawet siły. Musiały zawczasu przygotować różne scenariusze dla poszczególnych jednostek, jak mają funkcjonować w przypadku braku, nazwijmy to, łańcucha dowodzenia i wymiany informacji. Sądzę, że faktycznie ciągle jesteśmy w fazie wykonywania przez poszczególne jednostki zadań, które niekoniecznie powierza im dzisiaj dowództwo w Teheranie. Nie zakładam jednak, że Irańczycy mogą być przygotowani na takie funkcjonowanie przez wiele tygodni.

Wierzy pan, że Iran poukrywał znaczną część swojego uzbrojenia i dopiero stopniowo będzie je wprowadzał do konfliktu?

Wątpię, że Iran wciąż posiada narzędzia, które będą mogły zmienić tę sytuację, którą oglądamy od początku konfliktu. Liczba pocisków balistycznych odpalanych przeciwko krajom Zatoki Perskiej i przeciwko Izraelowi zauważalnie spada. Atakowanie Izraela jest dla nich wyzwaniem, bo muszą używać rakiet dalekiego zasięgu. Irańczycy posiadają oczywiście takie rakiety, ale dzisiaj jesteśmy raczej świadkami pojedynczych ich odpaleń w ciągu doby. I te zasoby w sposób oczywisty będą maleć, a nowe trudno będzie pod bombami wyprodukować.

Koalicja Izraela i Stanów Zjednoczonych jest w stanie w zasadzie swobodnie wykonywać swoje misje nad Iranem i ma ogromną przewagę w świadomości sytuacyjnej. Iran jest stale infiltrowany przez liczne powietrzne bezzałogowce czy też rozpoznanie satelitarne. Oczywiście można jakieś zasoby ukryć w górach czy w podziemnych bazach. Mówi się trochę o tym, że jakieś wyrzutnie czy nawet i pociski oraz drony mogą być w ten sposób składowane, ale ten zasób nie jest przełomowy i będzie się ciągle zmniejszał. Ja bym dość sceptycznie traktował tego rodzaju scenariusze, że nagle z tych gór wyjadą dziesiątki ciężarówek, naczep i dokonają jakiegoś kolejnego ataku rakietowego na bardzo dużą skalę. Iranowi nie udało się przecież przełamać obrony powietrznej i przeciwrakietowej w pierwszych godzinach i w pierwszych dniach wojny, więc nie zakładam, żeby tym razem coś to mogło zmienić.

Jednak mimo wszystko Iranowi nadal udaje się czasami sforsować obronę przeciwlotniczą Izraela i niektóre rakiety w dalszym ciągu dokonują pewnych zniszczeń.

Iran jest w stanie odpalić pewną liczbę pocisków balistycznych przeciwko Izraelowi, ale tu możemy co najwyżej mówić o pojedynczych ofiarach. To całościowo oczywiście może wywołać pewien niepokój w społeczeństwie, ale ewidentnie widać, że Izrael co do zasady funkcjonuje dalej prawie normalnie, a nawet w tym czasie prowadzi drugą kampanię przeciwko Libanowi. To, że docierają pojedyncze rakiety balistyczne z Iranu, nie może być zaskoczeniem, bo siłą rakiet balistycznych jest to, że one tak naprawdę poruszają się trochę jak rzucony w górę kamień: lecą na dużo większych wysokościach niż 100 km i później prawie jak kamień spadają w dół. Na dużych wysokościach można je zestrzelić przy pomocy bardzo zaawansowanych systemów przeciwrakietowych. Amerykanie rozmieścili takie m.in. w Izraelu, mowa o systemie THAAD. Skuteczne są także systemy mniejszego zasięgu, jak choćby Patriot. Pomimo tego zawsze pewna część wystrzelonych rakiet może nie zostać skutecznie rażona czy nawet odpowiednio wcześnie zauważona.

Trzeba przy tym też przyznać, że Iran dokonał w ostatnich latach całkiem znacznego postępu technologicznego w ramach swojego programu budowy rakiet balistycznych. Pojawiły się tam np. rakiety, których głowice są w stanie

eprasa.pl df9201f649

w pewnym stopniu manewrować, czyli nie są takim prostym „kamieniem".

Kilka rakiet, które spadnie na Izrael, nie zmienia jednak faktu, że po drugiej stronie mamy Iran, który walczy o przetrwanie, który ciągle może tak funkcjonować tylko dlatego, że koalicja na razie ogranicza rodzaj ataków. Proszę zauważyć, że gdyby konflikt wszedł w fazę niszczenia np. elektrowni, koalicja mogłaby szybko sparaliżować praktycznie cały Iran.

Iran ma za to do dyspozycji drony, które są tanie w produkcji i mogą być montowane choćby w garażu. Tu pojawiają się informacje, że Chińczycy cały czas dbają o to, żeby były zapewnione dostawy niezbędnych komponentów. Czy słynne irańskie Shahedy mogą jeszcze popsuć krew sojusznikom Izraela i Stanów Zjednoczonych w regionie?

Gdy mówimy o atakach dronów, to proszę zobaczyć, że mimo wszystko przedarły się tylko pojedyncze sztuki. To spowodowało oczywiście wiele problemów, czyli m.in. wstrzymanie ruchu powietrznego, wstrzymanie pracy przemysłu naftowego czy żeglugi. Irańczycy są zatem w stanie dronami kąsać, ale nie przesadzałbym z wyolbrzymianiem bezpośrednich ich skutków. Z perspektywy tej wojny to będą wciąż tylko incydenty. Ponadto w administracji Trumpa istnieje zapewne obawa o to, że faktycznie tego rodzaju kąsanie może spowodować pewne nadzwyczajnie wysokie straty w żołnierzach. Sądzę, że na to właśnie liczy Iran, że każdy kolejny dzień będzie się powoli stawał dla Amerykanów i generalnie światowej gospodarki kłopotem i wymuszał refleksję, jak dalej prowadzić tę wojnę.

Ile jest prawdy w twierdzeniu, że Amerykanie zostali zaskoczeni tym, jak bardzo zmasowany musieli atak przeprowadzić, i w związku z tym ich pospieszna próba zamknięcia konfliktu wynika właśnie z tego faktu, że nie posiadają wystarczająco dużej liczby rakiet i pocisków?

To może być częściowo prawda. Jeżeli Iranowi udałoby się utrzymywać taką skalę odpowiedzi dronami i rakietami, jaka była w pierwszych 48 godzinach, gdzie były setki rakiet i tysiąc czy dwa tysiące dronów, gdyby udało się tak atakować choćby przez dwa tygodnie, to na pewno byłby problem. Produkcja rakiet do systemu Patriot, które są bardzo kosztowne, nie była na wystarczająco dużym poziomie, więc przy takim długotrwałym natężeniu ognia w końcu pojawiłby się problem. Moim zdaniem jednak wzięto pod uwagę, że po trudnych pierwszych dniach obrona powietrzna Amerykanów, Izraela czy emiratów znad Zatoki Perskiej będzie mogła odetchnąć.

Druga kwestia dotyczy tego, na ile wystarczy amerykańskiemu i izraelskiemu lotnictwu bojowych środków precyzyjnych, żeby atakować irańskie cele w miarę bezpiecznie, czyli z pewnej odległości. W tak ogromnym kraju jak Iran jest na pewno bardzo wiele celów, które będą wartościowe do ataków. Jeśli sojusznicy będą atakować nie tylko te najważniejsze obiekty, jak stanowiska dowodzenia, obrony powietrznej czy wyrzutnie rakiet balistycznych, ale też kąsać same siły zbrojne, to moim zdaniem raczej Amerykanów stać na kilka tygodni takiej kampanii, ale nie uważam, że na kilka miesięcy. Musieliby już wówczas pójść na pewne kompromisy, czyli stosować tańsze i bardziej powszechne uzbrojenie i ponosić większe ryzyko strat w lotnictwie. Trzeba by wówczas atakować z bliższej odległości. Być może takie właśnie kalkulacje są też brane pod uwagę, bo z drugiej strony Iran byłby już na tyle zdezorganizowany, że takie ryzyko można ponieść.

Kilka rakiet, które spadnie na Izrael, nie zmienia faktu, że po drugiej stronie mamy Iran, który walczy o przetrwanie, który ciągle może tak funkcjonować tylko dlatego, że koalicja na razie ogranicza rodzaj ataków. Gdyby konflikt wszedł w fazę niszczenia np. elektrowni, koalicja mogłaby szybko sparaliżować praktycznie cały Iran

Czy zatem wchodzi w rachubę scenariusz, w którym Amerykanie dokonują inwazji lądowej na Iran?

Na pewno prowadzone są jakieś operacje specjalne, ktoś zapewne np. naprowadza z ziemi amerykańskie i izraelskie lotnictwo. Siły specjalne z pewnością wykonują swoje zadania, ale tego nie traktujemy jako inwazji lądowej. Jeśli przyjrzymy się, czym Amerykanie dysponują w ogóle w tym regionie z klasycznych wojsk lądowych, to zauważymy, że dziś i jeszcze długo to jest po prostu niemożliwe. Gdyby USA chciały klasycznie oddziaływać operacją lądową na Iran, to musiałyby do niej znaleźć partnerów. Najczęściej mówi się tu o Kurdach, rzadziej o Turcji lub też o Azerbejdżanie.

Podstawową amerykańską jednostką operacyjną w tym regionie jest grupa bojowa Spartan, w której skład wchodzi mniej więcej 10 tys. żołnierzy rozrzuconych po regionie. Na czele grupy jest dowództwo dywizyjne w Gwardii Narodowej stanu Nowy Jork, co jasno pokazuje, że to jest jednostka rezerwowa. Amerykanie w ogóle nie brali pod uwagę jakichkolwiek działań lądowych, stale posiadają w regionie jedną brygadę bojową, teraz nawet tylko lekkiej piechoty.

Wspomniana grupa Spartan to są siły rotacyjne, wymieniające się co 9–11 miesięcy, a potem przybywają kolejne oddziały. Na dziś nie ma zatem żadnego potencjału do prowadzenia takiej operacji lądowej. Oczywiście można zbudować taki potencjał, ale moim zdaniem to by zajęło nie tygodnie, a pewnie i miesiące. Mam na myśli potencjał, który miałby sprawić, że Amerykanie grają pierwsze skrzypce w takiej operacji lądowej, bo oczywiście można sobie wyobrazić, że uda im się nakłonić np. Kurdów do prowadzenia takich działań. W Afganistanie talibów również nie obalono dywizjami amerykańskimi, tylko lokalnymi siłami wspieranymi przez amerykańskie wojska specjalne i amerykańskie lotnictwo. I tutaj też można sobie taki scenariusz wyobrazić. Dodatkowo Amerykanie posiadają w ramach sił szybkiego reagowania słynną 82. dywizję powietrzno-desantową. Pojawiają się ostatnio przekazy, że ona przerwała planowe ćwiczenia i jest na etapie przygotowań do nowych zadań.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Mariusz Cielma *– ekspert do spraw wojskowości, redaktor naczelny miesięcznika „Nowa Technika Wojskowa".*

eprasa.pl df9201f649



Irańczycy dysponują m.in. uzbrojeniem skrywanym w sieci baz ukrytych głęboko pod ziemią FOT. IRAN'S REVOLUTIONARY GUARDS WEBSITE/AFP/EAST NEWS

Arsenał ajatollahów

Mimo bezdyskusyjnej dominacji amerykańskich i izraelskich sił w powietrzu do zamknięcia tego numeru „Do Rzeczy” Irańczycy nie ogłosili – pożądanej przez prezydenta Trumpa – bezwarunkowej kapitulacji. Jakim potencjałem dysponują Persowie? I dlaczego pełnoskalowa operacja lądowa mogłaby się skończyć porażką najeźdźców?

Według portalu Global Firepower jeszcze przed rozpoczęciem wojny irańskie siły zbrojne zajmowały 16. miejsce na 145 analizowanych państw. To wysoka pozycja, bo sytuowała Iran tuż za Izraelem, a przed Australią, Hiszpanią, Egiptem, Ukrainą czy Polską.

Po tym, jak irańskie media potwierdziły śmierć przywódcy Alego Chamenei, Korpus Strażników Rewolucji Islamskiej (IRGC) poprzysiągł zemstę i rozpoczął – jak to określił – „najcięższe operacje ofensywne w historii sił zbrojnych Republiki Islamskiej przeciwko ziemiom okupowanym [Izraelowi – dop. red.] i bazom amerykańskich terrorystów”. Kraje regionu szybko przekonały się, że nie jest to tylko wojenna retoryka. Irańczycy – którzy przez ostatnie dwie dekady dokładnie analizowali współczesne wojny prowadzone przez USA i ich sojuszników – przygotowali siły zbrojne do „doktryny długiej wojny”. Właśnie dlatego, chociaż Amerykanie i Izraelczycy zabili przywódcę i trzon irańskiego dowództwa, a Teheran wielokrotnie zbombardowali, kraj ten wydaje się gotowy na dalsze tygodnie, a być może i długie miesiące nowej wojny.

POTĘŻNE SIŁY LĄDOWE

Im dłużej broni się Iran, tym częściej w mediach pada pytanie, czy USA, Izrael oraz ich sojusznicy są gotowi do pełnoskalowej inwazji lądowej. To nie byłaby krótka wojna. Iran to bowiem ogromny kraj o powierzchni 1 648 195 km kw. (czyli niemal czterokrotnie większy od Iraku, który Amerykanie wraz z sojusznikami zaatakowali w marcu 2003 r.). Do inwazji na Iran potrzeba byłoby zatem znacznie więcej żołnierzy niż dwie dekady temu. Tym bardziej że ukształtowanie terenu – liczne góry, a także pustynie Daszt-e Lut oraz Dasht-e Kawir (Wielka Pustynia Słona) – sprzyja prowadzeniu wojny obronnej.

Szef irańskiej dyplomacji ogłosił już publicznie, że jego kraj jest gotowy na lądową inwazję Amerykanów. – Czekamy na nich, bo jesteśmy pewni, że możemy się z nimi zmierzyć, a to byłaby dla nich wielka katastrofa – grzmiał Abbas Aragczi. Pod względem liczby aktywnego personelu wojskowego, czyli aż 610 tys. żołnierzy, Iran przed rozpoczęciem amerykańsko-izraelskich bombardowań zajmował ósme miejsce na świecie. Do tego należy doliczyć 350 tys. rezerwistów i ok. 220 tys. członków różnego rodzaju sił paramilitarnych (w tym milicji ochotniczej Basidż). Łącznie to 1 mln 180 tys. osób.

SZAHIDY I POCISKI BALISTYCZNE

Przestarzałe siły powietrzne Iranu są łatwym celem dla nowszych o kilka generacji maszyn amerykańskich i izraelskich. Objęci embargiem Irańczycy zdawali sobie z tego sprawę, dlatego rozwijali program balistyczny – według ekspertów Teheran ma w arsenale rakiety Khorramshahr-4 o zasięgu co najmniej 2 tys. km z głowicą bojową o masie od 1,5 do 1,8 t, którymi mógłby razić cały Bliski Wschód i część Europy. Iran użył takiego właśnie pocisku m.in. w ataku odwetowym przeprowadzonym 5 marca. Ajatollahowie w styczniu 2026 r. chwalili się nawet, że z powodzeniem przetestowali pocisk balistyczny o zasięgu 10 tys. km, co pozwoliłoby zaatakować USA i Europę. Brakuje jednak wiarygodnego potwierdzenia tej informacji. Nie wiadomo też, ile rakiet ma jeszcze w bunkrach Iran. Ich liczbę szacuje się na od 1 tys. do 2,5 tys. Irańczycy rozwinęli też program budowy tanich, kosztujących zaledwie kilkadziesiąt tysięcy dolarów dronów, których zestrzelenie kosztuje amerykańskich i izraelskich podatników wielokrotnie więcej (najpopularniejszą tego typu konstrukcją jest Shahed-136).

PODZIEMNA BROŃ

Marynarka wojenna została zbudowana tak, by mogła stosować taktykę antydostępową w Zatoce Perskiej i w rejonie strategicznej cieśniny Ormuz. Przed rozpoczęciem amerykańsko-izraelskiej inwazji Iran miał zatem fregaty, korwety i szybkie łodzie patrolowe. Kraj ten należał również do światowej czołówki pod względem liczby okrętów podwodnych. Miał ich aż 25, dzięki czemu w globalnych rankingach zajmował czwarte miejsce, tuż po Rosji, USA i Chinach.

Irańczycy dysponują jeszcze potencjałem militarnym skrywanym w sieci „miasteczek” zbudowanych głęboko pod ziemią. Zdaniem ekspertów nawet jeśli znajduje się tam nowoczesne uzbrojenie, to ich użycie będzie trudne. USA i Izrael robią bowiem, co mogą, aby lokalizować wyjścia z takich baz i niszczyć wszystko, co pojawi się w ich okolicy.

Koncepcja zdecentralizowanej obrony mozaikowej sprawia jednak, że nawet jeśli kolejni dowódcy będą ginąć pod bombami, to struktura dowodzenia powinna przetrwać. Jeżeli wojska rakietowe i marynarka zostaną zniszczone, to inne elementy obrony powinny nadal funkcjonować. Doktryna długiej wojny ma bowiem pozwolić Persom nie tyle na zwycięstwo, ile na przetrwanie. ©℗

eprasa.pl df9201f649



Piotr Semka

Jarosław Kaczyński musiał postawić na kogoś, kto z jednej strony jest wyraziście prawicowy na tyle, by zatrzymać odpływ wyborców do obu Konfederacji, a jednocześnie który zachował dobre relacje z Mateuszem Morawieckim. Zadaniem Przemysława Czarnka jako kandydata na premiera jest teraz stworzenie wizerunku PiS zjednoczonego

Epoka Czarnka w PiS



FOT. ŁUKASZ GĄGULSKI/PAP

Tuż po namaszczeniu Przemysława Czarnka na przyszłego premiera nowy kandydat został zaatakowany przy pomocy dwóch logicznie wykluczających się epitetów. Donald Tusk ogłosił, że postawienie na Czarnka oznacza, że przeciw jego koalicji stają trzy podobne do siebie konfederacje. Z kolei politycy Konfederacji ogłosili, że polityk PiS w najmniejszym stopniu nie może być wiarygodny dla wyborców skrajnej prawicy. Nie zmienia to faktu, że rywale PiS z lewej i prawej potraktowali jednak ten wybór serio. Jeśli fala krytyki i złośliwości jest pośrednim komplementem, to na razie przeciwnicy wolą Czarnka przeceniać, niż lekceważyć.

OLIWA NA WZBURZONE FALE

Intuicja tym razem Jarosława Kaczyńskiego nie zawiodła. Sobotnia inwestytura dla Czarnka w krakowskiej Hali Sokoła była czymś, na co czekali zwykli wyborcy PiS. Dawką energii i zapowiedzią woli jedności. Nieprzypadkowo wielu polityków tej partii opowiadało, że jeżdżąc na spotkania w różnych zakątkach Polski, słyszą od zwykłych wyborców jedno, powtarzane wielokrotnie przesłanie: „Przestańcie wreszcie się kłócić". Istotnie większa część jesieni i zimy przełomu lat 2025 i 2026 przeszła w PiS pod znakiem wymiany przytyczków i złośliwości, co z rozkoszą opisywały liberalne media. Michał Dworczyk dostrzegał pozytywy w bronionym przez Tuska programie SAFE, a wcześniej krytykował Mariusza Błaszczaka. Patryk Jaki wypominał Mateuszowi Morawieckiemu błędy z przeszłości, a ten przypominał mu w rewanżu, że Jaki był przecież członkiem jego gabinetu. Symbolem tego skłócenia były słynne dwa opłatki PiS przed Bożym Narodzeniem, na których dziennikarze Onetu i „Newsweeka" starannie zapisywali w pamięci, kto na który opłatek przyszedł.

Kaczyński słusznie uznał, że jego partia zaczęła przypominać orkiestrę obrażonych na siebie solistów zagłuszających się nawzajem. W tej sytuacji trzeba było wybrać jakiegoś wyrazistego frontmana – bo Kaczyńskiemu coraz częściej do tej roli brakuje sił, czego symbolem był jego niedawny pobyt w szpitalu. Jednocześnie strateg z Nowogrodzkiej nie chciał wyznaczać następcy tronu. Bo to mogłoby skłonić konkurentów do tej funkcji, na

eprasa.pl df9201f649

czele z Mateuszem Morawieckim, do wyjścia z partii. Wybrał zręczną formułę kandydata na premiera. Nie przesądza to o sukcesji po Kaczyńskim w kwestii objęcia stanowiska prezesa PiS, ale daje takiemu wybrańcowi dostatecznie duże pole do gry. Taki kandydat na premiera po pierwsze ma nad czym pracować przez kolejne 20 miesięcy do wyborów, a po drugie wie, że jeśli sprawdzi się na tym stanowisku, to siłą rzeczy – będzie najpoważniejszym kandydatem na nowego szefa rządu.



Jeden z postów KO po ogłoszeniu nazwiska kandydata na premiera PiS

FOT. KOALICJA OBYWATELSKA/ FACEBOOK.COM

DALEKO OD SZOSY

Przemysław Czarnek urodził się w 1978 r. w miejscowości Koło w Wielkopolsce, ale dzieciństwo spędził w Goszczanowie, niewielkiej wsi w województwie łódzkim koło Sieradza. Jego matka była pielęgniarką, a ojciec zawodowym kierowcą. W wieku 15 lat przeniósł się do Lublina, gdzie chodził do szkoły pod opieką swego wuja, ks. Jerzego Pałuckiego, teologa i profesora Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Nic więc dziwnego, że po ukończeniu dobrego lubelskiego liceum im. Hetmana Jana Zamoyskiego podjął naukę na KUL. Zdobył tutaj tytuł magistra na Wydziale Prawa Kanonicznego i Administracji. Następnie podjął studia doktoranckie, a potem habilitował się również na Wydziale Prawa.

Ta żmudna kariera polegająca na przebijaniu się z samego dołu drabiny społecznej przypomina nieco losy Karola Nawrockiego. On też pochodził z dosyć skromnej dzielnicy Gdańska Siedlce, z której do najlepszych gdańskich liceów prowadziła długa, żmudna i niekiedy wyboista droga. Z tego powodu obecny prezydent i obecny kandydat na premiera mają z sobą wiele wspólnego. Przykładowo: od połowy lat 90. Czarnek pracował zarobkowo we Włoszech, m.in. jako barman, pracownik hotelu, a nawet na budowach. To bardzo charakterystyczne dla osób, które w latach 90. potrzebowały jakiegoś startu, budowy kapitału, marząc o własnym mieszkaniu czy choćby małej firmie. I tutaj też Czarnek był dzieckiem swojej epoki. Był wspólnikiem swego wuja, lubelskiego przedsiębiorcy, który założył biuro podróży, a potem pomagał mu przy prowadzeniu oddziału firmy komputerowej.

I znów narzuca się kontrast choćby z drogą życiową Rafała Trzaskowskiego, który wyrastał w domu, gdzie znano wiele osób ze stołecznej elity i gdzie dziwnym trafem nigdy nie było potrzeby wyjeżdżać za granicę, aby dorabiać na zdobycie pierwszego mieszkania.

Kariera Czarnka zaczęła się wraz z dojściem do władzy PiS w 2015 r. Podobnie jak inna z wielu osób przymierzanych do nominacji na premiera PiS – Zbigniew Bogucki – on też bardzo dobrze wykorzystał czas pełnienia funkcji wojewody (Czarnek – Lubelskiego, Bogucki – Zachodniopomorskiego). Bardzo szybko dał się poznać na antenie TVP, w epoce rządów Jacka Kurskiego, w programach publicystycznych na żywo. Zabłysnął tam nie tak znowu częstą wśród ówczesnych polityków umiejętnością do bardzo ofensywnego, ale i spokojnego polemizowania z krytykami rządu. Wreszcie w 2020 r. przeszedł z funkcji wojewody lubelskiego na stanowisko ministra edukacji i nauki. Trafił do resortu, pod którego pieczą znajdowały się szkoły wyższe i środowisko nauczycielskie. A te w większości tradycyjnie nastawione były wobec prawicy w jak najgorszy sposób. Na dodatek to, że był wychowankiem KUL, dawało asumpt do histerycznych tyrad przedstawiających go jako katolickiego zamordystę. Co ciekawe i specyficzne dla sytuacji Czarnka, echem jego trzyletniej ministerialnej posługi są ataki na niego z dwóch różnych pozycji. Obóz liberalny głosi, że za jego rządów w MEN wśród nauczycieli „zapanowała atmosfera strachu", a z kolei politycy obu Konfederacji wytykają mu, że nie zrobił nic, aby wyrugować ze szkół „tęczowe piątki".

W kwestii wewnątrz PiS jego marsz w górę też nie był usłany różami. Nie pasował do żadnej z ukształtowanych już frakcji partii Jarosława Kaczyńskiego. Nie uważał go za swojego „zakon PC", gdyż pojawił się on w PiS stosunkowo późno. Nie był też członkiem frakcji Zbigniewa Ziobry. I wreszcie odstawał jakoś od technokratów zgromadzonych wokół Mateusza Morawieckiego w rodzaju Michała Dworczyka czy Piotra Müllera. Tak naprawdę to w PiS prezentował coś w rodzaju spadkobiercy tradycji partii z lat 90. – Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, z którym zresztą miał swój kontakt, ale zanim członkowie tej partii nie weszli w skład PiS.

Przypominałem już, że Kaczyńskiemu zdarzyło się wspomnieć o Czarnku jako naturalnym kandydacie premierowskim PiS na PiS-owskim wiecu na Placu Zamkowym 11 października 2025 r., kiedy partia ta prowadziła kampanię przeciw narzucaniu Polsce paktu migracyjnego. Potem jednak Kaczyński sprawiał wrażenie, jakby zupełnie zapomniał o tej obietnicy, i przez kolejne miesiące w żaden sposób nie wyróżniał go pośród innych polityków tej formacji. Czarnek podjął też w tym czasie inną istotną decyzję. Nie chciał zrezygnować z funkcji wiceszefa PiS (nie było to aż tak wielkie wyróżnienie, bo PiS ma aż 11 wiceprezesów) i nie chciał zrzec się mandatu poselskiego. A musiałby to zrobić, gdyby przyjął od Karola Nawrockiego propozycję objęcia funkcji szefa kancelarii prezydenckiej. Stanowisko to chętnie przyjął Zbigniew Bogucki ze Szczecina i wydawało się, że Czarnek został pozostawiony na lodzie. Nie załapał się na Kancelarię Prezydenta, a jednocześnie zszedł na drugi plan w PiS. Ale podszedł do tego w bardzo spokojny sposób. Nie wdawał się w polityczne bójki i, co więcej, na tle wyraźnie demonstrującego swoją podmiotowość w partii Mateusza Morawieckiego w tonujący sposób powtarzał

eprasa.pl df9201f649

wezwania do zachowania jedności. Tak samo, mimo że zawsze starał się deklarować swoje przekonania o potrzebie współpracy PiS z obiema Konfederacjami, bardzo stanowczo wystąpił w obronie prezesa Kaczyńskiego, gdy lider Konfederacji ostro go zaatakował. A jednocześnie zawsze utrzymywał poprawne relacje z Mateuszem Morawieckim. To jednak mogło wynikać z faktu pracy w jednym gabinecie.

Wynikał z tego jednak ważny czynnik, który dziś zdaje się wpływać na taktykę nowego kandydata na premiera. Czarnek zawsze zachęcał, by bronić dorobku epoki PiS-owskiej i ostro polemizować z tezą, że „PiS przez osiem lat nic nie zrobił". Wszystkie te elementy zadziałały na korzyść Czarnka w momencie decyzji Kaczyńskiego o wyborze kandydata na premiera. Prezes nie chciał dopuścić do odejścia Morawieckiego i jego „harcerzy", gdyż w sytuacji, gdy PiS w niektórych sondażach ociera się o 20 proc., ewentualna secesja Morawieckiego kosztowałaby partię ok. 3, może 5 punktów procentowych.

Kaczyński musiał zatem postawić na kogoś, kto z jednej strony jest wyraziście prawicowy na tyle, by zatrzymać odpływ wyborców do obu Konfederacji, a jednocześnie, który zachował dobre relacje z Mateuszem Morawieckim. Zadaniem Czarnka jest teraz stworzyć wizerunek PiS zjednoczonego, w którym, jak już zadeklarował były szef MEN: „Nie ma już »harcerzy i maślarzy«. Potrzebni są wszyscy, potrzebny jest Czarnek, potrzebny jest Bocheński, potrzebny jest Mateusz Morawiecki ze swoją wielką wiedzą i doświadczeniem zarządzania państwem".

Jak można podejrzewać, Morawiecki ocenił, że wbrew zachętom ze strony liberalnych mediów jego secesja byłaby krótkotrwałym sukcesem, po którym jego ugrupowanie spadłoby do paru procent. Na pewno czeka on na swój moment, ale musi też rozumieć, że jego popularność ma swoje limity. Gdy w Hali Sokoła w dniu wyboru Czarnka sala skandowała nazwisko Beaty Szydło, to trzeba było osobistej zachęty Jarosława Kaczyńskiego, aby po chwili zgromadzeni podziękowali też Morawieckiemu za jego zasługi dla partii. To był minitest na to, jaka jest skala popularności syna twórcy Solidarności Walczącej. Pytanie, jak wyglądać będą dalsze relacje na linii Morawiecki – Czarnek. Jeśli obu stronom wystarczy rozsądku, to mogą stworzyć całkiem zgrany duet. Morawiecki potrafi docierać do wyborców centrum. Próbkę swoich możliwości dał niedawno w debacie w Kanale Zero w dyskusji z Janem Marią Rokitą. Ale o tym, jak w praktyce wyglądać będzie taka kohabitacja, zadecyduje najbliższe pół roku.

Jeśli Czarnek liczył na jakiś kredyt choćby oględnej neutralności ze strony Konfederacji, to już parę godzin po wyborze mógł zorientować się, że „Wersalu nie będzie"

BEZ ZNIECZULENIA

Jeśli Czarnek liczył na jakiś kredyt choćby oględnej neutralności ze strony Konfederacji, to już parę godzin po wyborze mógł zorientować się, że „Wersalu nie będzie". Sławomir Mentzen złożył dość nieszczere gratulacje – jak go zatytułował – Przemkowi, po czym wyciągnął najgrubsze armaty.

„Jak widzę, Kaczyński zaproponował w PiS kompromis. Będziesz teraz twarzą PiS, ale w zamian jest zakaz krytykowania rządów Morawieckiego" – pisał Mentzen. A potem zasypał Czarnka pytaniami: o ocenę polityki covidowej PiS, o zamykanie kościołów, o zgodę Morawieckiego na Zielony Ład, KPO i unijny dług i wreszcie o politykę wobec Ukrainy. Wisienką na torcie było wezwanie do odpowiedzi na pytanie, czy premier Izraela Beniamin Netanjahu jest zbrodniarzem wojennym.

Czarnek odpowiedział bardzo spokojnie, proponując wspólną debatę, w której mógłby przedstawić swoje stanowisko. W odpowiedzi Mentzen postanowił już wprost zademonstrować swoje lekceważenie. Ogłosił, że polityk PiS może debatować z rzecznikiem Konfederacji, bo „Czarnek jest tylko rzecznikiem Kaczyńskiego, dlatego powinien debatować z moim rzecznikiem Wojciechem Machulskim. Obaj mają taki sam wpływ na swoje partie, no może Wojtek ma trochę większy".

Jeśli ktoś w PiS miał nadzieję, że Bosak zachowa się w tej sytuacji w sposób bardziej wstrzemięźliwy, to szybko wyszedł z błędu. W „Poranku TOK FM" lider Ruchu Narodowego ogłosił, że „Przemysław Czarnek nie ma żadnej wiarygodności w sektorze skrajnie prawicowym". I dalej: „Uważam, że jest to po prostu stary PiS w tej samej odsłonie, którym wyborcy byli zniesmaczeni w momencie, kiedy tracił władzę".

Oczywiście słowa Mentzena i Bosaka dają się wytłumaczyć jako reakcje obronne. Efekt przewidywań, że Czarnek ma zastopować odpływ wyborców PiS do Konfederacji. Jednak nawet przy tym założeniu dziwić musi skala aż takiej agresji. Takie ciosy zostają w pamięci i utrudnią kooperację w przyszłości. Ale dziś po prawej stronie nikt o tym nie myśli, bo dominuje przedwyborcza gonitwa.

Jeden z internautów trafnie jednak podsumował aktualną postawę Mentzena i Bosaka, pisząc: „Obserwujemy pyszną sytuację, w której rozliczni politycy i komentatorzy prokonfederaccy, którzy wytykali PiS-owi latami, że jest arogancki i nie buduje zdolności koalicyjnej – teraz przypuścili wściekły szturm na Czarnka, mimo że szedł do nich z otwartą ręką". Czarnek zatem wie już, że ze strony Konfederacji i Korony ostrzał się zwiększy właśnie dlatego, że jest tym politykiem PiS, który wydaje się być najbliższy wrażliwości obu tych partii. Na pewno stoi przed problemem, jak bronić dorobku ośmiu lat rządów PiS. Jednak jego intuicja wskazująca mu, żeby się nie kajać, może być trafna. Na rozliczenie był czas w PiS tuż po wyborach w październiku 2023 r., a skoro wtedy do rachunku win nie doszło, to teraz wszelkie kajanie uczyni z tej partii „zmokłą kurę", którą dziobać będą z lubością rywale.

Lepiej zatem uciekać do przodu z nowymi projektami, licząc, że w końcu siła przypominania błędów PiS przez obie Konfederacje będzie w naturalny sposób malała. Ale prawdziwą oceną tego, czy KUL-owski prawnik da swej partii zastrzyk nowej energii, będą wyniki sondażowe w ciągu kolejnych trzech miesięcy. Czarnek jest w tym momencie, w którym stoją przed nim zarówno wielkie szanse, jak i wielkie zagrożenia. Od tego, jak sobie poradzi, zależeć będzie jego przyszła pozycja w partii. Konstatacja banalna, ale dokładnie precyzująca jego sytuację.

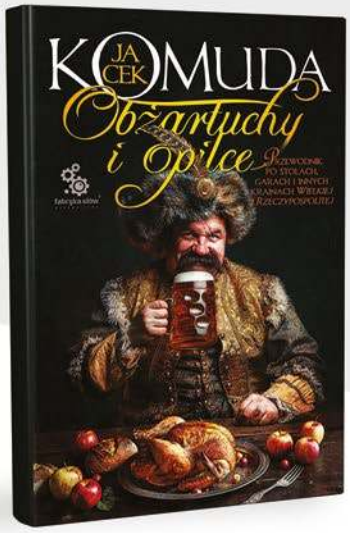
© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl df9201f649

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

JACEK KOMUDA: „OBŻARTUCHY I OPILCE” ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~601 ZŁ~~

290,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 311 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl df9201f649

Odzyskiwanie Trybunału,



Rafał A. Ziemkiewicz

Dlaczego projekt uchwały, która ma dać pozór prawomocności zaplanowanemu przejęciu „nieistniejącego" Trybunału Konstytucyjnego i uznania go od tego momentu za właściwy i praworządny, odblokowuje Tusk akurat teraz? I to wyznaczając bardzo krótki, kilkudniowy zaledwie termin zgłaszania kandydatów do nowego składu?

W cieniu sporu o pożyczkę SAFE odpala Donald Tusk kolejną awanturę – o Trybunał Konstytucyjny. Co ciekawe – sejmowa uchwała, która ma być początkiem tego, co rządowa propaganda nazywa „usuwaniem skutków kryzysu konstytucyjnego", przygotowana została w zasadniczym zrębie prawie dwa lata temu. Koalicja rządowa była wtedy, krótko po wyborczym sukcesie, „w uderzeniu", cieszyła się znacznie wyższymi niż dziś wskaźnikami popularności i zaufania, a mimo to postanowiła w końcu TK nie ruszać – zapewne istotną przesłanką do tej decyzji było przekonanie, że w roku 2025 kandydat wskazany przez rządzących wygra „w cuglach" wyścig do Pałacu Prezydenckiego i nastąpi „domknięcie systemu". Ostatecznie sejmowa większość przyjęła tylko w 2024 r. uchwałę, że Trybunału w jego aktualnym składzie nie uznaje. To ostatnie okazało się zresztą nie do końca możliwe i w różnych sprawach przedstawiciele rządu dawali przykłady typowej skądinąd dla tego gabinetu i tej większości sejmowej schizofrenii, występując do sądu konstytucyjnego, który oficjalnie ogłosili „nieistniejącym", i przed nim.

Dlaczego zatem projekt uchwały, która ma dać pozór prawomocności zaplanowanemu przejęciu „nieistniejącego" Trybunału i uznania go od tego momentu za właściwy i praworządny, odblokowuje Tusk (bo trudno podejrzewać tu o samodzielną inicjatywę marszałka Czarzastego) akurat teraz? I to wyznaczając bardzo krótki, kilkudniowy zaledwie termin zgłaszania kandydatów do nowego składu? Wydaje się, że ma to związek z przewidywanym wetem prezydenta w sprawie przyjęcia europejskiego kredytu SAFE, który z różnych przyczyn, w większości, jak się zdaje, utajnianych, stał się dla Tuska absolutnym priorytetem. Prezydent zapewne SAFE nie podpisze, ale odeśle go nie z powrotem do Sejmu, tylko do Trybunału Konstytucyjnego. W tej sytuacji dalsze nieuznawanie TK przez rząd i sejmową większość oznaczać będzie odłożenie programu na święty nigdy.

DZIWNE PRZYSPIESZENIE

Co w takim razie zamierza Tusk i jego koalicjanci?

Przede wszystkim pamiętajmy, że z 15 etatów sędziowskich przewidzianych konstytucją obecnie obsadzonych jest zaledwie dziewięć – rządzący nie posunęli się tutaj do aż takiej schizofrenii, by w „nieistniejącej" instytucji obsadzać w konstytucyjnych terminach wakaty po tych jej członkach, których kadencje się skończyły, choć tak właśnie postąpiła koalicja z również „nieistniejącym" KRS. Kadencje dwóch kolejnych sędziów wygasają na jesieni tego roku, co bez nowych wyborów oznacza nieuchronny paraliż: do orzekania w kluczowych sprawach zabraknie po prostu wymaganego prawem quorum. Pierwotny plan Tuska zakładał czekanie z „uchwałą naprawczą" na ten właśnie moment, zmiana tego planu jest jeszcze jedną przesłanką, by wiązać obecną akcję z SAFE.

Teoretycznie zatem partie koalicji mogły delegować do TK swoich sędziów już w roku ubiegłym. Pozostawaliby oni tam jednak mniejszością, a ich wybór skompromitowałby „nieprzejednaną" linię, że od momentu wybrania „sędziów dublerów" – o czym za chwilę – Trybunału Konstytucyjnego już nie ma, jest tylko jakiś, jak to w swoich serwisach nazywał niezawodny TVN24, „trybunał magister Przyłębskiej" czy też, obecnie, „magistra Święczkowskiego" (mówiąc nawiasem, magistrowi Jerzemu Stępniowi, który przewodniczył wcześniej Trybunałowi z „właściwej" rekomendacji, te same „niezależne" media braku doktoratu i habilitacji nigdy nie wypominały, a często, przeciwnie, nazywały go „profesorem" – to ciekawy przyczynek do rozważań nad „klasowym" wymiarem tego sporu).

W uchwale, którą zgłasza rząd – wedle słów wicepremiera Kosiniaka-Kamysza, „uzgodnionej w koalicji" – dokonano jednak pewnej zasadniczej zmiany. Tym razem powodem, dla którego Trybunał rzekomo „nie spełnia wymogów sądu ustanowionego na mocy prawa, niezawisłego i bezstronnego", uczyniono już nie obecność w nim sędziów, którzy jakoby „odziedziczyli" piętno „dublerstwa" po trójce sędziów wybranych przez PiS w roku 2015; w najnowszej uchwale pretekstem do „przywracania praworządności" ma być kierowanie trybunałem przez „osobę nieuprawnioną", czyli przez wspomnianego już Bogdana Święczkowskiego.

Jako podstawę prawną do podważania prezesury Święczkowskiego – co ważne, bez podważania prawomocności samej jego obecności w TK – wskazuje koalicja orzeczenie TSUE z grudnia ubiegłego roku, w którym trybunał europejski, kwestionując orzeczenie polskiego TK o wyższości na terenie RP polskiej konstytucji nad „prawem europejskim", przy okazji potwierdził też, na życzenie krajowego wnioskodawcy, tezę o „sędziach dublerach". Rzecz w tym, że jeśli nawet uznać, wbrew polskiej konstytucji, prawo TSUE do orzekania w tej sprawie, to jego

eprasa.pl df9201f649

czyli chaos narasta

opinia na temat nominacji sprzed 11 lat ma znacznie już tylko historyczne.

KRUCZEK PRAWNY

Spór ciągnie się tak długo, że wielu czytelników mogło zapomnieć, o co w ogóle z rzekomymi „dublerami" chodzi. Przypomnę krótko: Sejm VII kadencji, zdominowany przez PO, miał prawo wybrać trzech sędziów TK, ale na mocy własnej uchwały – czyli bezprawnie – wybrał jeszcze dwóch, których wybrać miał Sejm następny. Działo się to w momencie, gdy PO już liczyła się z przejściową utratą władzy, ale spodziewała się, że w najgorszym wypadku będzie to epizod podobny do krótkotrwałych rządów AWS, a zabetonowanie składu TK miało dodatkowo uczynić nowy rząd bezsilnym. Prezydentem był już wtedy Andrzej Duda, ale w najczarniejszych snach establishment nie przewidział, że PiS nie będzie potrzebował do rządu koalicjanta i tym samym po prostu nie da się zmusić Dudy do przyjęcia od owej piątki ślubowania. W listopadzie, już po zebraniu się nowego Sejmu, Andrzej Duda zapowiedział plan polubownego rozwiązania sporu, ale zanim go ogłosił, Jarosław Kaczyński nakazał pod jego nieobecność „konwalidację" decyzji z poprzedniej kadencji i na mocy kolejnej uchwały wybranie ponownie całej piątki. Z perspektywy czasu widać wyraźnie, że był to ruch prezesa obliczony na zwasalizowanie Dudy i w istocie uległ on woli Kaczyńskiego i zanim ówczesny Trybunał zdążył orzec to, co wydawało się wszystkim oczywiste, to znaczy, że w TK powinno zasiąść trzech sędziów wybranych w VII kadencji i dwóch wybranych w VIII kadencji, przyjął w tempie ekspresowym, w nocy, ślubowanie od całej piątki wybranej głosami PiS.

Wbrew twierdzeniom PO i jej mediów nie złamano tu prawa, ale zastosowano wybieg – zgodnie z prawem sędzią TK nie jest ten, kto został wybrany, ale dopiero ten, kto został wybrany i złożył ślubowanie przed prezydentem RP. Ponieważ zaś w ocenie prawa obowiązuje zasada domniemania konstytucyjności, to znaczy każde prawo jest konstytucyjne dopóty, dopóki TK nie orzeknie, że nie jest. Z chwilą przyjęcia ślubowania przez prezydenta Dudę legalnymi sędziami stała się więc piątka nowo wybranych – a orzeczenie TK, jako późniejsze, mogło już obowiązywać tylko co do zasady na przyszłość.

Ten kruczek prawny zapewne zostałby doceniony i uznany w USA, ale w Polsce stosunkowo łatwo było opozycji, przy posiadanej sile medialnej, przedstawić nocne ślubowanie jako zamach na prawa obywateli. Odpowiedzią rządu PiS było oddanie sporu pod ocenę Komisji Weneckiej, która uznała, że spór „wyjechał" poza obszary uregulowane polskim prawem i konstytucją, oraz wezwała Sejm do przyjęcia ustawy naprawczej jako do jedynego możliwego rozwiązania. O tym z kolei nie chciała słyszeć PO, przekonana, że na fali wygenerowanego wokół TK oburzenia szybko, w ciągu kilku miesięcy, doprowadzi do obalenia rządu PiS w drodze ulicznego „majdanu". Rzuciła więc nieprzejednane hasło: „O Konstytucji się nie dyskutuje!", przy okazji, podobnie jak Kaczyński Dudę, marginalizując po swojej stronie Nowoczesną i Ryszarda Petru, który pierwotnie zadeklarował gotowość prac nad postulowaną ustawą, ale „zmłotkowany" przez liberalne media musiał pokornie przejść na pozycję „pomniejszej PO".

CO DALEJ?

Wracając teraz do chwili obecnej – na jakiej zasadzie zasiadanie ongiś w TK trzech sędziów nazwanych przez propagandę „dublerami", a obecnie dwóch wybranych na opuszczone już przez nich miejsca, jeszcze bardziej karkołomnie ogłoszonych „dublerami dublerów" (?), podważa prawo Bogdana Święczkowskiego do przewodzenia pracom Trybunału? Autorzy kolejnej sejmowej uchwały, zapowiadanej jako „uzgodniona", z jakiegoś powodu uważają to za oczywiste i na tym opierają nowy plan.

Trudno orzec, jak daleko gotowy jest posunąć się Tusk i na ile pozwolą mu zagraniczni protektorzy

Sejm uzna, powołując się na TSUE, że wybrany z udziałem „dublerów" czy też „dublerów dublerów" Święczkowski nie może być prezesem, a zatem TK nie ma prezesa. A w takiej sytuacji obowiązki prezesa – a daje ta funkcja istotne prerogatywy, co pokazał jeszcze Andrzej Rzepliński, konsekwentnie odsuwając dopóty, dopóki był i mógł, niemiłych sobie sędziów od jakichkolwiek decyzji – pełni sędzia z najdłuższym stażem. Nie „najdłuższym stażem w TK", ale „najdłuższym stażem w ogóle". Wystarczy więc wybrać teraz do TK któregoś ze sprawdzonych towarzyszy, którzy ślubowanie sędziowskie składali jeszcze przed Henrykiem Jabłońskim.

Jest tylko jeden szkopuł – prezydent Nawrocki, idąc tropem zgłoszonych już przez PiS zastrzeżeń co do trybu nowych wyborów, którymi uzasadniono niezgłoszenie kandydatów przez opozycję, odmówi zapewne przyjęcia od sędziów koalicji ślubowań. Być może, za radą prof. Safjana, złożą oni te ślubowania przed pierwszym z brzegu notariuszem albo przed – powiedzmy – Rafałem Trzaskowskim jako prezydentem na emigracji (wewnętrznej), a potem rząd wprowadzi ich do siedziby TK siłą, jak tego już próbowano w wypadku KRS (która też zresztą w najbliższym czasie będzie „odzyskiwana")?

Trudno orzec, jak daleko gotowy jest posunąć się Tusk i na ile pozwolą mu zagraniczni protektorzy, mocno atakowani za naruszanie praworządności przez administrację Trumpa. Jedno jest pewne – żadnego rozwiązania, wyjaśnienia ani uspokojenia sytuacji to nie przyniesie. Wręcz przeciwnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl df9201f649



FOT. GERARD CERLES/AFP/EAST NEWS

Z prof. Genowefą Grabowską, prawniczką, byłą deputowaną do Parlamentu Europejskiego, ekspertką do spraw prawa międzynarodowego i prawa Unii Europejskiej

rozmawia Ryszard Gromadzki

Czarna dziura

RYSZARD GROMADZKI: Decydują się losy ustawy o Finansowym Instrumencie Zwiększenia Bezpieczeństwa SAFE, w związku z którą Unia Europejska ma zaciągnąć w imieniu Polski pożyczkę na 45 lat w wysokości prawie 44 mld euro przeznaczoną na zbrojenia i obronność. Wobec niezwykle poważnych konsekwencji politycznych, finansowych i w obszarze bezpieczeństwa, które wiążą się z programem SAFE dla Polski, prezydent Nawrocki rozważa zawetowanie tej ustawy. Tymczasem premier Tusk i wicepremier Sikorski mówią, że nawet w wypadku weta prezydenta program SAFE i tak będzie realizowany, bo tego wymaga żywotny interes Polski. Jak te zapowiedzi mają się do konstytucji RP?

PROF. GENOWEFA GRABOWSKA: Niedopuszczalne jest twierdzenie, że w przestrzeni międzynarodowej można cokolwiek wykonać bez zgody głowy państwa, więc zgoda prezydenta jest niezbędna. W obrocie prawnym jest konwencja międzynarodowa o prawie traktatów, która wymienia osoby, które w imieniu państwa mogą zaciągać zobowiązania. I tam na pierwszym miejscu wskazana jest głowa państwa, potem dopiero premier, a następnie minister spraw zagranicznych. Oczywiście ktoś może zarzucić mi, że program SAFE realizowany jest przez Unię Europejską, więc w tym wypadku obowiązują inne zasady. Nie. Zasadą jest, że nie można zaciągać zobowiązania przez państwo wbrew głowie państwa. To się wydaje oczywiste, ale mamy na tę wykładnię uzasadnienie w polskiej konstytucji.

Zadziwiająca jest determinacja i nadzwyczajny pośpiech rządu premiera Tuska we wdrażaniu unijnego rozporządzenia w sprawie SAFE.

Rzeczywiście, w czasie polskiej prezydencji w Unii Europejskiej projekt rozporządzenia w sprawie SAFE przygotowywany był w ogromnym pośpiechu i w aurze tajemnicy. Jeśli wziąć pod uwagę, że pierwsze kroki dotyczące tego programu zostały podjęte raptem w kwietniu ubiegłego roku, a już po dwóch miesiącach został zatwierdzony przez Radę Unii Europejskiej, po czym natychmiast miała miejsce publikacja tego dokumentu. A więc w ciągu zaledwie dwóch miesięcy dokument w randze rozporządzenia Unii Europejskiej, na dodatek przygotowany bez udziału Parlamentu Europejskiego, był już wytworzony. Cała procedura została tak pomyślana, że nie było żadnego sposobu, aby w proces przygotowania rozporządzenia włączyć Parlament. Efekt jest taki, że w sierpniu 2025 r. PE zaskarżył SAFE do TSUE, dowodząc, że projekt jest niezgodny z unijnymi traktatami. Do chwili obecnej TSUE nie zajął się sprawą!

Czy w takim razie procedura, którą zastosowano podczas przygotowywania rozporządzenia w sprawie SAFE, była zgodna z unijnym prawem?

Moim zdaniem procedura, którą przyjęto w sprawie SAFE, była mocno naciągana. Posłużono się art. 122 ust. 2 Traktatu o funkcjonowaniu Unii Europejskiej. To jest ogólny przepis, na podstawie którego Rada Unii, a więc zgromadzenie stosownych ministrów państw członkowskich, najczęściej ministrów spraw zagranicznych, może podjąć pilne środki wtedy, kiedy mają miejsce trudności gospodarcze lub inne wyjątkowe zdarzenia poza kontrolą państwa. I z tego wydedukowano prawo, że Unia Europejska może zorganizować tę ogromną pożyczkę, w której państwa będą partycypowały. Artykuł 122 jest więc czymś w rodzaju deski ratunkowej dla autorów tego projektu SAFE, żeby przeprowadzić go za wszelką cenę. Ja wiem, że powinniśmy się zbroić, bo czasy są niepewne, ale trzeba to robić z głową. Podobnie środki na zbrojenia trzeba organizować i dystrybuować też z głową. Tymczasem całą procedurę przeprowadzono zaledwie w ciągu dwóch miesięcy i państwa Unii otrzymały rozporządzenie, w którym zamknięty jest program SAFE. Trzeba pamiętać, że rozporządzenie jest najsilniejszym środkiem prawnym, który wypracowała Unia Europejska. Ma ono to do siebie, że stanowi akt ogólny i wcho-

eprasa.pl df9201f649

dzi w życie w momencie, kiedy zostało podjęte, czyli po publikacji w dzienniku urzędowym, i obowiązuje wszystkie państwa członkowskie. Z tym istotnym zastrzeżeniem, że SAFE pozostawia państwom członkowskim swobodę i nie zmusza ich do uczestnictwa w programie pożyczkowym. Innymi słowy, jeśli nie chcesz, nie musisz, ale jeśli się zgodzisz, jesteś poddany wszystkim rygorom wynikającym z tego dokumentu. Jak wiemy, z programu SAFE chce skorzystać 19 państw, niektóre tylko w symbolicznym zakresie, Polska wystąpiła o największą pożyczkę, bo o niemal jedną trzecią całej puli dostępnych w ramach SAFE środków.

Czy zgoda Polski na uczestnictwo w mechanizmie SAFE oznacza, że nasze państwo nie ma już możliwości uwolnienia się od tego ogromnego zobowiązania?

Zgoda ze strony Polski musi być potwierdzona w umowie z Komisją Europejską. W tej umowie są jeszcze możliwości, które pozwalają na złagodzenie pewnych warunków. Na przykład można tam jeszcze dyskutować, w jakim zakresie ma być stosowany mechanizm warunkowości. Ta umowa ma być ostatecznie wynegocjowana i podpisana. Rzecz w tym, kto ma ją podpisać. Odpowiedź, która się automatycznie nasuwa, to przedstawiciele państwa. I o to właśnie teraz toczy się bój. Rozmawiamy o kluczowej umowie, a nie ustawie, którą już przeprocedowano w Sejmie i Senacie. Ona ma charakter wykonawczy, stanowi tzw. krajowe ramy wdrożeniowe. Ustawa o „Finansowym Instrumencie Zwiększenia Bezpieczeństwa", jak ją nazwano, wskazuje tylko, jak mają być dystrybuowane i wydawane pieniądze, natomiast nie mówi nic o warunkach pożyczki, bo te wszystkie warunki będą określone w umowie, do której podpisania tak bardzo pali się premier Tusk. Spór, który ma miejsce, dotyczy tego, czy na podpisanie tej umowy musi być zgoda parlamentu i prezydenta czy też, tak jak chce premier Tusk, to on wyjmuje długopis spod dużego palca i podpisuje, bo jest premierem.

Wrócę do pytania, które postawiłem na początku naszej rozmowy. Czy Konstytucja RP daje premierowi prerogatywy do podpisania tak krytycznie ważnej dla państwa polskiego umowy?

Otóż nie. Artykuł 89 ust. 1 polskiej konstytucji mówi, że najważniejsze umowy międzynarodowe, które mają wyjątkowe znaczenie dla państwa, mogą być podpisane za uprzednią zgodą parlamentu wyrażoną w ustawie.

Czyli dla podpisania umowy dotyczącej udziału Polski w programie SAFE konieczne jest uchwalenie odrębnej ustawy?

Tak, tzw. ustawa ratyfikacyjna. Musi być ona podjęta, żeby procedura była zgodna z konstytucją. Ta ustawa musi być przedstawiona w Sejmie, przejść w niższej izbie, przejść przez Senat, a finalnie trafić na biurko prezydenta, który ostatecznie jako głowa państwa decyduje, czy tę konkretną umowę ratyfikuje czy nie. Jeżeli prezydent zdecydowałby się podpisać ustawę ratyfikacyjną, to dopiero po jej opublikowaniu w Dzienniku Ustaw może dokonać czynności ratyfikacji, czyli formalnego podpisania w świetle jupiterów, tak jak wielokrotnie widzieliśmy przyjmowanie umów międzynarodowych.

Dlaczego ustawa ratyfikacyjna jest tak ważna w sprawie SAFE?

Z uwagi na przywołany wcześniej art. 89 ustawy zasadniczej, a konkretnie ust. 1 pkt 4, „jako akt, który przynosi znaczne obciążenia finansowe państwu". Jest jeszcze pkt 5 tego przepisu, zgodnie z którym obowiązuje ta sama procedura (czyli uprzednia zgoda Sejmu), „jeśli umowa dotyczy spraw uregulowanych w ustawie". Ustawa wdrożeniowa, która już jest podjęta, stanowi taki element. Jest jeszcze inna przesłanka, która powinna skłaniać parlament do refleksji, czy powinno się ratyfikować tę umowę. To fakt, że pociąga ona za sobą zmianę kompetencji, które powierzyliśmy Unii Europejskiej w momencie wejścia do tej organizacji.

Unia de facto przejmuje kontrolę nad polską polityką obronną.

To po pierwsze. Co więcej, program SAFE daje ogromne uprawnienia do decydowania o kształcie polskiego bezpieczeństwa.

A więc poprzez udział Polski w programie SAFE dokona się milowy krok w stronę europejskiego superpaństwa.

Dokładnie tak. Wobec tej sytuacji zastosowanie ma także art. 90 konstytucji, który mówi, że trzeba większości dwóch trzecich parlamentu, aby się zgodzić na przyznanie Komisji Europejskiej dalej idących kompetencji w zakresie zarządzania polskim bezpieczeństwem, polskim uzbrojeniem, jego wielkością. Nachalna propaganda, którą uprawia rząd, uciekając się do histerycznych argumentów, że udział Polski w SAFE to kwestia życia i śmierci, wpychając nas w pułapkę czasową, przy bardzo krótkiej możliwości skonsumowania tych środków, czyni z Polaków dzieci we mgle prowadzone nie wiadomo dokąd. Obawiam się, że nie do sukcesu.

Elementarny interes Polski nakazuje nieratyfikowanie umowy?

Moim zdaniem najpierw należy przeczytać tę umowę, którą rządzący chcą zawrzeć z Komisją Europejską. Ona powinna być udostępniona opinii publicznej, a przede wszystkim Sejmowi i ekspertom. Bo jeżeli znów odbędzie się to na zasadzie „pojadę do Brukseli i coś tam podpiszę, a wy się martwcie", to pakujemy się w ogromny kłopot. Gdyby tak było, że władze chcą do tego doprowadzić mimo sprzeciwu prezydenta i pomimo alternatywnego programu zaproponowanego przez prezydenta i prezesa NBP, o którym też trzeba rozmawiać, to wtedy nie ma zmiłuj się. Bo to wpychanie państwa w pułapkę, z której potem nie będzie wyjścia. Można nie martwić się o przyszłość, jaka czeka nasze wnuki, ja akurat się martwię, chyba większość Polaków też. Dlatego nie można im fundować takiego niemądrego zadłużenia. Mówię „niemądrego", bo nie wiemy, co w tym koszyku faktycznie jest, a samo złudzenie, że dostaniemy 44 mld euro, czyni z nas ślepych niewolników rzucających się w czarną dziurę. Sejm będzie mógł przy ustawie ratyfikacyjnej dowiedzieć się więcej o warunkach umowy z Komisją Europejską i pokazać Polakom, że mamy klasę przywódczą, która prowadzi państwo w dobrą stronę. Jeżeli tego nie będzie, to znaczy, że jesteśmy po raz kolejny ofiarą gry politycznej i lobbingu wielkich europejskich koncernów zbrojeniowych. To byłoby straszne, że prawie 40-milionowy kraj poddaje się bez walki obcej presji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl df9201f649



FOT. SZTAB GENERALNY WOJSKA POLSKIEGO

Polacy w gotowości



Radosław Wojtas

Krótkie szkolenie z udzielania pierwszej pomocy lub zasad cyberbezpieczeństwa albo wymagające przeszkolenie wojskowe. A może specjalistyczne szkolenie strzeleckie, walki wręcz lub wymagający obóz szkoleniowy? Ofert szkoleń – tych z Wojskiem Polskim i komercyjnych – nie brakuje. Czy to już nowa moda?

Wystarczy aplikacja na telefon, kilka kliknięć, wybór terminu i tematyki, by zapisać się na jedno ze szkoleń z Wojskiem Polskim w ramach projektu wGotowości, zainicjowanego przez Ministerstwo Obrony Narodowej. To kolejna oferta dla cywili, tym razem w formie kilkugodzinnych zastrzyków wiedzy. Nowoczesna, wygodna i szybka. – Zapisałem się spontanicznie, podczas wyjścia na piwo ze znajomym, który też się na takie szkolenie zapisał. Nigdy nie miałem do czynienia z wojskiem i nie zamierzałem mieć, ale stwierdziłem, że warto spróbować. Zwłaszcza że to tylko kilka godzin w sobotę – mówi Piotr, niespełna 30-letni programista z Warszawy, który zapisał się na kurs przetrwania. – Niewykluczone, że wybiorę się jeszcze na szkolenie z udzielania pierwszej pomocy. Taką wiedzę warto mieć, a mówiąc szczerze, oprócz jakichś krótkich pokazówek w szkole, z których nic już nie pamiętam, nie brałem nigdy udziału w żadnym szkoleniu z niesienia pierwszej pomocy.

Podobne szkolenia, tylko w ramach programu wGotowości, przejdzie w tym roku ok. 30 tys. Polaków. Kto nie chce z wojskiem, może wybrać propozycje komercyjne, których również nie brakuje. – Można powiedzieć, że wśród moich znajomych zapanowała swego rodzaju moda na paramilitarne szkolenia – mówi Piotr. – I w ogóle na tematykę związaną z bezpieczeństwem. W pracy rozmawiamy o tym, kto ile trzyma w domu gotówki na czarną godzinę na wypadek, gdyby bankomaty przestały działać, znajomi kupują sztabki złota, złote monety. Jeszcze kilka lat temu każdy z nas płacił kartą, a w domu nie miałem nawet 100 zł w gotówce – dodaje.

OSIEM GODZIN Z ŻYCIA

W zeszłorocznej pilotażowej edycji programu wGotowości wzięło udział 16 tys. osób. Tegoroczna edycja rozpoczęła się 7 marca i potrwa do 21 listopada. W siedem dni od uruchomienia zapisów deklarację uczestniczenia w ćwiczeniach złożyło 9 tys. osób, czyli prawie jedna trzecia całej tegorocznej puli. Sześćset zgłoszeń wpłynęło od osób niepełnoletnich (w programie wGotowości można, za zgodą rodziców, uczestniczyć już po skończeniu 13. roku życia). W niektórych lokalizacjach miejsca zostały już obsadzone na cały rok. Największym zainteresowaniem cieszą się szkolenia organizowane w okolicach dużych miast – Warszawy, Krakowa, Łodzi, Wrocławia, Trójmiasta.

Program wGotowości to dwie ścieżki. Pierwsza z nich – „Odporność" – ma niski próg wejścia. Szkolenie z każdego modułu (o nich za chwilę) trwa osiem godzin. Jest darmowe. Do zapisu służy aplikacja #wGotowości (jeśli ktoś woli,

eprasa.pl df9201f649

może użyć mObywatela) – nowoczesna, przejrzysta i dobrze działająca. Pozwala nie tylko szybko zapisać się na wybrane przez nas szkolenie, przejrzeć materiały szkoleniowe czy przeczytać wiadomości Ministerstwa Obrony Narodowej, lecz także zachęca do zainteresowania się służbą w polskiej armii. Wykorzystuje mechaniki sprawdzone i stosowane powszechnie w Internecie do wzbudzenia zaangażowania użytkowników, choćby element grywalizacji w postaci zdobywania punktów za różne czynności i awansowania na kolejne poziomy.

Ścieżka „Odporność" jest przeznaczona dla osób, które wcześniej nie miały do czynienia z wojskiem. Nie wiąże się z koniecznością złożenia przysięgi, obejmuje podstawy z kilku dziedzin. Moduł „Bezpieczeństwo" to szkolenie oparte na „Poradniku bezpieczeństwa", „praktyczne zajęcia, podczas których dowiesz się, jak realnie zadbać o siebie, swoich bliskich i swoje otoczenie w kryzysowych momentach". Moduł „Przetrwanie" zawiera m.in. elementy terenoznawstwa i przetrwania w środowisku naturalnym. „Medycyna" to kurs niesienia pierwszej pomocy przedmedycznej, a „Cyberhigiena" to szkolenie z zakresu dobrych praktyk dla użytkowników Internetu, smartfonów, aplikacji etc. w kwestii cyberbezpieczeństwa. Zapisać można się na jeden moduł, kilka lub wszystkie.

Druga ścieżka – „Rezerwy" – to propozycja dla osób w wieku 18–60 lat, które chcą dobrowolnie szkolić się w ramach systemu obronnego państwa, bez konieczności pełnienia zawodowej służby wojskowej. Składa się z trzech modułów: szkolenia podstawowego (nauka musztry, taktyki, strzelectwa, zasad funkcjonowania wojska, w trakcie szkolenia ochotnik składa przysięgę wojskową, a po jego zakończeniu może kontynuować służbę lub zasilić szeregi rezerwy), szkolenia doskonalącego dla żołnierzy rezerwy oraz programu „Przywództwo", adresowanego do studentów uczelni wyższych zainteresowanych karierą oficerską w rezerwie.

CZOŁEM, ŻOŁNIERZE!

Wojsko Polskie już od ładnych kilku lat prowadzi akcje szkoleniowe dla cywilów, które cieszą się sporym zainteresowaniem. Nic tak dobitnie jak atak Rosji na Ukrainę nie pokazał Polakom, że należy być przygotowanym na różne scenariusze. Ponad 31 tys. Polaków w latach 2022–2025 wzięło udział w projekcie „Trenuj z wojskiem", czyli weekendowych, ośmiogodzinnych szkoleniach, podczas których instruktorzy wprowadzali uczestników w tematy strzelania, rzutu granatem, walki wręcz, pierwszej pomocy w warunkach polowych, przetrwania w terenie, schronienia, reagowania na alarmy itp.

Dla cywilów, dla których osiem godzin to za mało, ale pełna służba zawodowa to za dużo, stworzono projekt „Trenuj jak żołnierz", skierowany do osób pełnoletnich. To 16-dniowe szkolenia wojskowe z podstaw łączności, musztry, obsługi broni i zaawansowanego strzelania. Uczestnikom przysługuje wynagrodzenie równe stawce szeregowego żołnierza rezerwy, a cykl kończy się bezwzględnie złożeniem uroczystej przysięgi wojskowej i oficjalnym wejściem do struktur rezerwy Wojska Polskiego. Młodych ochotników armia kusi „Wakacjami z wojskiem", czyli trwającymi po 27 dni szkoleniami, po których zakończeniu przysługuje wynagrodzenie ok. 6 tys. zł.

Ponad 31 tys. Polaków w latach 2022–2025 wzięło udział w projekcie „Trenuj z wojskiem"

„Współczesne bezpieczeństwo to nie tylko siła nowoczesnej armii, ale także przygotowane społeczeństwo. Gotowość obywateli, ich wiedza i zdolność do działania w sytuacjach zagrożenia są dziś jednym z kluczowych elementów odstraszania" – podkreśla Sztab Generalny Wojska Polskiego w kontekście programu wGotowości. Ale nie jest to jedyna konsekwencja tego rodzaju programów. Wojsku zależy na jak największym zainteresowaniu obywateli, bo to dobry lejek rekrutacyjny. Takie krótkie szkolenie, kilkugodzinny kontakt z armią może być dobrym punktem wyjścia do większego zaangażowania, choćby jako rezerwista bądź w strukturach Wojsk Obrony Terytorialnej.

– Bardzo pozytywnie zaskoczył nas fakt, że niemal co trzeci uczestnik programu zadeklarował zainteresowanie pełnieniem służby wojskowej. Co prawda, w charakterze niezawodowym, z koniecznością pogodzenia życia zawodowego i rodzinnego ze służbą, ale otwiera to przed nami bardzo duże możliwości w zakresie rozwoju ścieżki rezerw – tej zasadniczej ścieżki, którą będziemy realizować w tym roku w ramach programu wGotowości – powiedział gen. Wiesław Kukuła, szef Sztabu Generalnego WP, cytowany na profilu Ministerstwa Obrony Narodowej na X.

PŁACĄ ZA PRZECZOŁGANIE

Na brak zainteresowania nie narzekają także organizatorzy komercyjnych szkoleń survivalowych czy paramilitarnych. Jedna z najprężniej działających w Polsce firm szkoleniowych tego typu została założona przez byłych żołnierzy, operatorów Jednostki Wojskowej GROM. Szczyci się instruktorami z doświadczeniem w służbach specjalnych, Wojsku Polskim, policji etc. Ma ofertę dopasowaną zarówno do zawodowców, jak i do ambitnych cywili oraz własny duży ośrodek do szkolenia poligonowego. Ich oferta dzieli się na wyspecjalizowane bloki: od szkoleń strzeleckich (GST w wariantach na broń krótką, długą oraz systemy snajperskie), przez zaawansowaną walkę w pomieszczeniach (CQB), aż po wyrafinowane kursy medycyny pola walki i ochrony bezpośredniej VIP (BCP). W ofercie dla sektora cywilnego i biznesowego znajdują się także kursy psychologii konfliktu, obrony przed manipulacją czy cyberbezpieczeństwa.

Na podobne szkolenia zgłaszać można się indywidualnie lub całymi zespołami, np. firmowymi, w ramach działań integracyjnych. Organizatorzy zapewniają, że tego rodzaju wydarzenia stanowią naturalny sposób na identyfikację liderów, sprzyjają budowaniu zaufania, współpracy i komunikacji w zespołach. A świat korporacji najwyraźniej wierzy, że łatwiej jest zbudować niesamowicie silną relację biznesową, jeśli dzień wcześniej wspólnie zabezpieczało się sektor podczas symulowanego ataku na klatce schodowej, niż podczas kolejnego, nudnego lunchu czy gry w squasha.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl df9201f649

Prawdziwe piekło kobiet



Oddział ginekologiczno-położniczy Szpitala Południowego w Warszawie

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Idąc po władzę, obecna koalicja pod wodzą Donalda Tuska niosła na sztandarze hasło obietnicę: „Szczęśliwej Polki już czas". Zwolenniczki rządu nie spodziewały się jednak, że będzie to oznaczało zamykanie porodówek przy jednoczesnym braku liberalizacji prawa aborcyjnego

Zapaść demograficzna jest faktem. W 2010 r. zanotowano 403 tys. porodów, a w 2025 zaledwie 238 tys. Jest na tyle źle, że mylne okazują się być nawet ostrożne wyliczenia, ponieważ Główny Urząd Statystyczny prognozował na 2025 r. liczbę urodzeń wyższą o 56 tys. GUS przewiduje, że w 2026 r. urodzi się 210 tys. dzieci – można się zatem spodziewać, że faktycznie będzie mniej.

Spadająca liczba narodzin przekłada się na nakłady NFZ na położnictwo. Już w ciągu samych pierwszych czterech tygodni tego roku z mapy Polski zniknęło 18 oddziałów położniczych. W sumie z 406 porodówek w 2010 r. ich liczba spadła do 266. W styczniu w życie weszły przepisy umożliwiające tworzenie tzw. pokoi narodzin. To specjalne wydzielone pomieszczenia porodowe, w których całodobowy dyżur ma pełnić położna. W zależności od sytuacji położna ma albo przyjąć poród, albo towarzyszyć ciężarnej w drodze do najbliższego szpitala z oddziałem położniczym. De facto drugi scenariusz może być niemożliwy do realizacji – z końcem grudnia zamknięto ostatnią porodówkę w Bieszczadach, w Lesku. Oznacza to, że dojazd może potrwać ponad godzinę. W skrajnych przypadkach to zdecydowanie zbyt długo. Warto też pamiętać o górzystym ukształtowaniu terenu, które szczególnie zimą spowalnia przejazd.

Lesko nie jest w rejonie pierwsze. Wcześniej zniknęły porodówki w Sanoku i Ustrzykach Dolnych. Dziś rejon jest pozbawiony oddziałów dla ciężarnych. Wciąż zapadają decyzje o „zawieszeniu" działalności kolejnych oddziałów. Z punktu widzenia rodzącej nie ma znaczenia, czy porodówka formalnie jest „zamknięta" czy „zawieszona". Pomocy nie będzie. Podkarpacki konsultant w dziedzinie położnictwa i ginekologii, dr Jarosław Janeczko (powoływany przez wojewodę, czyli terenowego wysłannika władz centralnych), przekonuje, że słabo działająca porodówka nie gwarantuje kobiecie bezpiecznego porodu. – Jeśli w oddziale rodzi się ok. 300 dzieci w roku, to zespół w sytuacji powikłania ciąży nie zawsze będzie w stanie interweniować w sposób w pełni kompetentny. W takich przypadkach oddział staje się miejscem przekazywania pacjentek do ośrodka o wyższej referencyjności, co spowalnia udzielanie im właściwej opieki – stwier-

eprasa.pl df9201f649

dza dr Janeczko, cytowany przez portal rynekzdrowia.pl.

APEL OGÓLNOPOLSKIEGO STRAJKU KOBIET

Rząd zapewnia, że nie ma „porodów na SOR-ach", a poród w „interwencyjnym punkcie" z położną to rozwiązanie „w przypadkach nagłych". Tymczasem portal OKO.press alarmuje: „Chociaż w ciągu ostatnich dwóch lat proces zamykania lub zawieszania działalności kolejnych oddziałów położniczych znacząco przyspieszył, wydaje się, że największa fala dopiero przed nami. Ministerstwo Zdrowia przygotowało i opublikowało dwa rozporządzenia, na podstawie których podejmowanie decyzji o likwidowaniu oddziału położniczego w ramach tak zwanej restrukturyzacji szpitala stanie się dużo prostsze". Warto zastrzec, że za rządów Zjednoczonej Prawicy nie było idealnie, wtedy również likwidowano porodówki – nikt jednak nie wpadł na pomysł całkowitego usunięcia ich z jednego z regionów kraju.

Problem stał się na tyle palący, że dostrzegły go aktywistki aborcyjno-feministyczne z tzw. Ogólnopolskiego Strajku Kobiet (skrajnie wulgarnej, radykalnej i upolitycznionej organizacji). W styczniu wystosowały apel do premiera Donalda Tuska, w którym domagały się „pilnej interwencji w sprawie chorego pomysłu Ministerstwa Zdrowia – porodów na SOR-ach". „Po ponad 30 latach zakazu aborcji kobiety w ciąży wiedzą, że w sytuacji zagrożenia ich zdrowia lub życia system może zawieść. Że decyzje medyczne bywają odkładane, a kobiety przez to umierają. Ten lęk stał się częścią doświadczenia ciąży w Polsce. Zamiast go zmniejszać, Ministerstwo Zdrowia proponuje rozwiązanie, które go pogłębia: możliwość porodów na SOR-ach i w izbach przyjęć. Dla kobiet – szczególnie w ciąży zagrożonej – to jasny sygnał: nie obchodzi nas, czy i jak przeżyjecie poród" – podkreślono w piśmie organizacji kierowanej przez Martę Lempart. „Obok człowieka z zawałem, pijanego w amoku i krzyczącego z bólu nastolatka? Naprawdę? Rodzenie między noszami, odarte z intymności, pozbawione godności? A jeśli coś idzie »nie tak«, to wtedy przewóz do innego szpitala? Tak jak przewożono kobiety, które w końcu zmarły, bo nikt nie chciał podjąć decyzji?" – grzmią działaczki. „SOR nie jest miejscem, które daje poczucie bezpieczeństwa. Położna nie powinna być zostawiona sama z odpowiedzialnością systemu. Kobieta w porodzie nie może być kolejną ofiarą państwowej prowizorki. A będzie – będzie jeszcze więcej ofiar wśród kobiet niż do tej pory. Panie Premierze, kobiety w Polsce boją się rodzić. Ten strach nie wziął się znikąd – jest efektem działań (a raczej zaniedbań) wszystkich kolejnych rządów w Polsce. Także Pańskiego" – zakończono. OSK wezwał premiera, aby zobowiązał ministra zdrowia do przeprowadzenia „realnych konsultacji z położnymi i pacjentkami", a nie „bezczelnego ignorowania WSZYSTKICH głosów w »konsultacjach«". Aktywistki chcą też szerokiego planu rządu, który „odbuduje zaufanie kobiet do systemu ochrony zdrowia, zamiast je dalej niszczyć, i zabezpieczy kobiety w Polsce przed tak chorymi pomysłami".

Aktywistki feministyczne chcą szerokiego planu rządu, który „odbuduje zaufanie kobiet do systemu ochrony zdrowia"

Idąc po władzę, obecna koalicja pod wodzą Donalda Tuska – a przynajmniej jej dwa trzony – wtedy Platforma Obywatelska (dziś KO) i Lewica – obiecywała, że „szczęśliwej Polki już czas". Zwolenniczki rządu nie spodziewały się jednak, że będzie to oznaczało zamykanie porodówek przy jednoczesnym braku liberalizacji prawa aborcyjnego.

STRACH RODZIĆ W POLSCE

Do akcji wkroczyła Maja Staśko, kolejna feministka proaborcyjna. „To kiedy nadejdzie ten czas szczęśliwej Polki? Tylko w ostatnich dniach dowiedzieliśmy się, że specjalistka odpowiedzialna za standardy opieki okołoporodowej i za program in vitro odchodzi z Ministerstwa Zdrowia. Ostatnie decyzje dotyczące praw reprodukcyjnych kobiet (jak nowelizacja o porodach na SOR-ze) były podejmowane bez szerokich konsultacji z organizacjami pacjentek, bez uwzględnienia ich dobra i bezpieczeństwa" – zarzuca we wpisie na Facebooku. „Ciężko chora ciężarna Lela od ponad miesiąca prosi o legalną aborcję. Wymiotuje krwią, nie je, ma zaburzenia lękowe. Jej życie jest zagrożone. Szpital odmawia jej legalnego zabiegu, a kobieta każdego dnia przeżywa koszmar. To tortury i trauma, która jest jej zgotowana przez nasze państwo i decydentów. Na Lelę czekają w domu dzieci i mąż. Ma dla kogo żyć" – podkreśla.

Dalej Staśko wskazuje, że kolejna kobieta urodziła w okolicy szpitala, w którym zlikwidowano porodówkę. „Rodziła na parkingu, a przez brak specjalistów do przyjmowania porodów na miejscu – zajął się tym anestezjolog. Nie było komplikacji, na szczęście. Ale gdyby się pojawiły – życie jej i dziecka byłyby zagrożone" – wytyka aktywistka.

Feministki dostrzegają, co robi władza. „Kolejne porodówki są zamykane, także te bardzo dobrze oceniane, a rząd nie proponuje kobietom żadnej bezpiecznej alternatywy, jak domy narodzin czy finansowanie miejsca zamieszkania bliżej porodówki pod koniec ciąży. Zamiast tego straszy nas SOR-ami i przedstawia je jako »zabezpieczenie« w sytuacji zamykania porodówek. To nie jest systemowa alternatywa, gdyż nie zapewnia standardów opieki okołoporodowej, a przez większość doby na SORz-e nie ma ginekologa położnika, który mógłby wykonać ratujące życie nagłe cięcie cesarskie" – wylicza Staśko, trzeba przyznać, że słusznie. Aktywistka zaprzecza rządowym twierdzeniom, że porody na SOR-ze to wymysł opozycji. „Już w styczniu miał miejsce pierwszy poród na SOR-ze, w Leżajsku" – przytacza.

„W ubiegłych latach mieszkańcy, położne i pracownicy zamykanych porodówek regularnie organizowali protesty, by ocalić te miejsca. Większość tych porodówek została zamknięta lub zawieszona. Decydenci zapowiadają, że takich sytuacji będzie więcej. I nie proponują kobietom nic w zamian. Coraz więcej kobiet pisze, że boi się rodzić w tym kraju – już nie tylko przez prawo antyaborcyjne, ale także przez brak dostępu do bezpiecznych warunków rodzenia. Szczęśliwej Polki już czas? Kiedy?" – pyta z pretensją Maja Staśko.

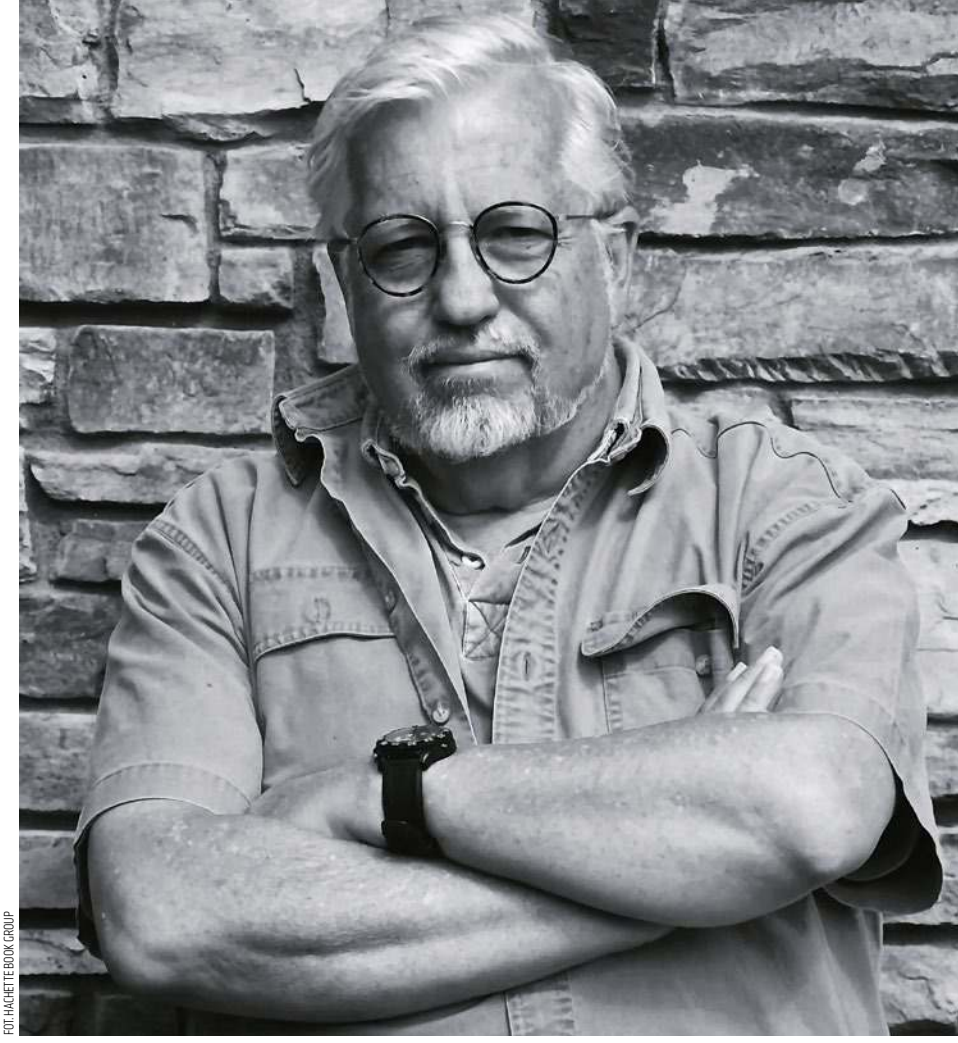
© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl df9201f649



Piotr Gociek

Żegnamy Dana Simmonsa – pisarza, dla którego spuścizna literatury Zachodu ważniejsza była od ideologicznych mód literackich



FOT. HACHETTE BOOK GROUP

Człowiek, który wolał Homera

Do czegokolwiek się wziął, to mu wychodziło. W zestawieniach najlepszych powieści SF, horrorów i fantasy ostatniego półwiecza – za każdym razem, niezależnie od gatunku – będzie musiało znaleźć się miejsce dla którejś z jego książek. Wychwalali go Harlan Ellison i Stephen King, uwielbiali czytelnicy. Jego najsłynniejszą powieść chciał ekranizować Bradley Cooper – zanim jeszcze przyszło mu do głowy, że może nakręcić remake „Narodzin gwiazdy". Darren Aronofsky chciał kręcić film na podstawie powieści „Pieśń bogini Kali". Dan Simmons zadebiutował późno, odszedł od nas zbyt wcześnie. Był twórcą osobnym, wyjątkowym, zakochanym w literaturze klasycznej (angielskiej oraz w dziełach starożytnych).

W nagrodę za wszystkie te osiągnięcia współczesny świat zaoferował mu infamię. Stygmatyzowany przez ostatnie 15 lat życia przestał wypowiadać się publicznie na jakiekolwiek tematy niezwiązane z literaturą, opuścił media społecznościowe i robił to, co potrafi najlepiej: pisał kolejne książki. Co można sądzić o kulturze, która w ideologicznym zacietrzewieniu unieważnia, unicestwia, kamienuje swoich najwybitniejszych przedstawicieli? Odpowiedzi udzielicie sami. Dan Simmons nie był pierwszy i ostatni: cancel culture złamała karierę Orsona Scotta Carda, a pośmiertnie unieważniła choćby Johna W. Campbella – postać kluczową dla powstania współczesnej fantastyki. Jak widzicie, polityczna zemsta dosięga także tych, którzy podróżują po światach odległych od naszego.

LEKCJA ŻYCIA

Chociaż zawsze marzył o pisaniu, to zdecydował się na to dopiero grubo po trzydziestce. Wcześniej zdążył przeżyć kawał normalnego, zacnego życia: zrobił dwa fakultety, założył rodzinę, przez wiele lat uczył w szkole. Zwyczajnej szkole, nie na żadnym uniwersytecie czy w liceum. Była to niezła lekcja życia, sam pokpiwał z tego, że dla dzieciaków nauczyciel to ktoś, kto musi znać odpowiedź na każde pytanie. Może i wszystkiego nie wiedział, ale się starał. Widać to obycie w jego książkach i ta wszechstronność przypomina nieco metodę Stanisława Lema. Zapytany niegdyś, czy naprawdę zna się na wszystkim, o czym pisze, polski pisarz odpowiedział: „Nie, ale wiem, gdzie szukać".

Pasjonowali go Homer i greccy tragicy, zakochany był w Szekspirze, którego miał za największego z wielkich, był wybornym znawcą współczesnej literatury od Henry'ego Jamesa po Faulknera i Hemingwaya, inkrustował swe książki cytatami z poetów: Miltona czy Keatsa. Tego ostatniego nawet wskrzesił w swoim najsłynniejszym dziele, czyli „Hyperion Cantos". Warto zatrzymać się przy tym ostatnim dziele. Gigantyczna powieść rozdzielona przez wydawców ze względów praktycznych na krótsze tomy nie ma sobie równych. „Hyperion"

eprasa.pl df9201f649

(nagroda Hugo 1990) to opowieść o grupie pielgrzymów próbujących zrozumieć fenomen grożący unicestwieniem całej ludzkości, skonstruowana trochę jak „Opowieści kanterberyjskie" Chaucera, a trochę jak „Dekameron" Boccaccia. Rozmaite historie bardzo odmiennych bohaterów niosą różne przesłania, połączone jednak zostają po mistrzowsku w logiczną całość. Drugim wybitnym dokonaniem Simmonsa na niwie SF jest dylogia „Ilion"/„Olimp", w której sztuczne inteligencje obdarzone niemal boską mocą odtwarzają wydarzenia znane z eposów Homera. A kanwą wydarzeń jest właściwie cały Układ Słoneczny.

Już za debiut powieściowy – książkę „Pieśń bogini Kali" (1985) – otrzymał World Fantasy Award. Ciekawa rzecz, sam protestował przeciwko kwalifikowaniu tego utworu do fantasy. Rzeczywiście, ta mroczna opowieść rozgrywająca się w Indiach to po prostu kawał znakomitej psychologicznej prozy, w której pojawia się jednak sugestia, że pewne wydarzenia mogą mieć nadnaturalne przyczyny. Nigdy jednak nie dostajemy na to dowodu, co nie zmienia faktu, że taka właśnie interpretacja kieruje ostatecznie decyzjami bohaterów (i nadaje tym działaniom głęboki tragizm).

W dziedzinie grozy mistrzowską formę osiągnął w powieściach „Trupia otucha" oraz „Letnia noc". Ta druga przyrównywana bywa do słynnej powieści „To" Stephena Kinga – moim zdaniem jest lepsza. Ta pierwsza natomiast to przerażająca opowieść o naturze zła. Od strony formy – niemal jak ćwiczenie z podgatunku „łowy na ukrywających się nazistów". Tyle że złoczyńcy u Simmonsa to wampiryczne istoty karmiące się krzywdą, więc na przestrzeni wieków zło prowokujące.

Charakterystyczne dla Simmonsa było to, że odmawiał podporządkowywania się regułom rynku. Nie interesowały go prequele, sequele, robótki na zlecenie itd. Każda powieść to dzieło osobne i żadna się nie powtarza. Raz zabiera nas do Londynu czasów Dickensa, byśmy mogli oczami Wilkiego Collinsa oglądać tajemniczego Drooda, którego sekretów autor „Davida Copperfielda" ujawnić nie zdążył. Innym razem zabiera nas na amerykańskie prerie, gdzie jeden z Siouksów biorących udział w bitwie pod Little Big Horn nawiedzony zostanie przez ducha gen. Custera. Tu pisze trylogię kryminalną, tam o bogach z mitologii hawajskiej. I tak dalej. Oczywiście publiczności z XXI stulecia wychowanej już głównie na strawie telewizyjnej, internetowej i streamingowej Simmons kojarzy się przede wszystkim jako autor powieści „Terror" o polarnej wyprawie Franklina, która zamieniła się w bardzo udany serial AMC.

POLICJA MYŚLI

Co zatem poszło nie tak? Czym zgrzeszył Simmons, że popadł w niełaskę współczesnych salonów? Burzę wywołała powieść „Flashback" z 2011 r., w której odmalowano ponury obraz Ameryki niedalekiej przyszłości. Za sprawą narkotyku zwanego „flashback" przeżyć można raz jeszcze najszczęśliwsze chwile swojego życia, wkrótce więc Stany zamieniają się więc w krainę upadku, bo kto miałby pracować dla przyszłości, skoro nieustannie może powracać w przeszłość. Powieść była genialną metaforą i ostrą krytyką mody na retro, mody na nostalgię (napędzającej dziś całą kulturę), ale nie tylko. Zawierała też ostrą krytykę rosnącego zamiłowania mieszkańców USA do socjalu oraz pochwałę gubionej niestety cnoty wolnej przedsiębiorczości. W świecie „Flashbacku" potęgą na skalę światową jest Japonia, wiele gorzkich słów pada natomiast pod adresem muzułmanów, z których rąk życie tracą miliony niewinnych ofiar.

To wystarczyło, by czujna policja myśli przebrana w szaty strażników politycznej poprawności rozpętała przeciw Simmonsowi kampanię hejtu. Zidentyfikowany jako konserwatysta i prawicowiec, jako nienawistnik kalający dobre imię islamu, nie wiedział nawet za bardzo jak się bronić, bo niespecjalnie rozumiał naturę zarzutów. W fantastyce przyszłość jest metaforą, jak przypominała Ursula K. LeGuin, i cała jej siła, cały urok, polega na tym, że pozwala na swobodne ćwiczenia z wyobraźni.

Liberalna lewica, zwłaszcza uniwersytecka, miała z Simmonsem jeszcze jeden kłopot – otóż odrzucał on współczesne mody literackie niszczące, jego zdaniem, kulturę Zachodu i unieważniające jej dorobek. Jego mistrzem był strażnik kanonu Harold Bloom, z którym Simmona łączył sprzeciw nurtów, które „w polityce i ideologiach akademickich uparcie dążą do przekształcenia ich w piekło lub intelektualną pustynię" (cytuję autorski wstęp do jednego z opowiadań Simmonsa).

To wszystko minie, uspokajał „ta epoka semiotycznych, dekonstrukcyjnych ataków na opowieść i jej narratora, ta epoka niedojrzałej feministycznej furii, nowohistorycznej pogardy i postmarksistowskiego wandalizmu wymierzonego w każdą doskonałość, która wzbudza ich polityczne niezadowolenie". O krytyce literackiej pisał, że jej „pełną uraz, niszczącą machiną" kierują „martwe ręce paru francuskich karłów zwących się Michel Foucault i Jacques Derrida". I dziwił się, jak to możliwe, że „Francja – naród, który najprawdopodobniej nie dał nam żadnych wielkich pisarzy ani wielkiej literatury w całym XX w. – mimo to kontroluje dyskusję o literaturze na początku XXI w., stosując prostą sofistykę, negując centralną rolę pisarzy, realność postaci lub transcendentną moc języka i samej literatury". Słowa te napisał w roku 2002, w tomie opowiadań „Worlds Enough & Time".

Nie był Dan Simmons ani typowym fantastą nowych czasów, ani pupilem akademickich magazynów. Był znakomitym pisarzem...

Nie był zatem Dan Simmons ani typowym fantastą nowych czasów, ani pupilem akademickich magazynów. Był natomiast znakomitym pisarzem kochanym przez czytelników na całym świecie. „Hyperion" przełożony został na ponad 20 języków, internetowe hołdy dla zmarłego 21 lutego pisarza błyskawicznie zamieniały się w licytację na to, kto wymieni więcej tytułów ulubionych opowiadań i powieści. Warto do niego wracać, warto go czytać. Zwłaszcza że w Polsce ukazały się niemal wszystkie jego książki. Dlaczego „niemal"? No cóż, powieści „Flashback" nie przełożono. Czy ktoś jest zdziwiony?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl df9201f649

Uśmiechnięte Orły



FOT. PIOTR PODLEWSKI/AKPA



Remigiusz Włast-Matuszak

W 2026 r. polska kinematografia otrzyma 300 mln zł. Za czasów „kaczyzmu" PISF otrzymywał rocznie ok. 460 mln zł. Za chwilę filmowcy będą płakać i walczyć między sobą o kasę

Na bankiecie, po udanej premierze filmu pt. „Pojedynek" w reżyserii Łukasza Palkowskiego, zwracał uwagę wysoki i „obszerny" celebryta otoczony kręgiem osób, które wszystkie naraz usiłowały z nim rozmawiać. Po pół godzinie ponownie zobaczyłem go otoczonego przez podwójny już wianuszek interesantów. Był to dożywotni prezydent Polskiej Akademii Filmowej Dariusz Jabłoński. Dotarło do mnie, że filmowe Orły z „tego kraju" nadlatują, i faktycznie w poniedziałek 9 marca wylądowały w Teatrze Polskim w Warszawie.

Ceremonię poprzedziły wywiady na czerwonej wykładzinie. W zeszłym roku mocno skrytykowałem na łamach „Do Rzeczy" prowadzącego wywiady. Tym razem muszę przyznać, że rozmowy prowadziła sprawna i dowcipna para dziennikarzy. Oczywiście goście byli dobrani pod przewidywane nagrody, a pytania i odpowiedzi były poprawne politycznie. Krystyna Janda otrzymała Orła za „dorobek życia". Skarżyła się na wizji, że teraz nie ma już „moralnego niepokoju", a należałoby „zająć się problemami polskiej inteligencji". Andrzej Wajda na pewno dzisiaj nakręciłby „czwartego człowieka" i film byłby – cytat – „o czymś paskudnym". Był człowiek z marmuru, z żelaza, z dykty, przepraszam „z nadziei". A ten czwarty człowiek?

Po niej miejsce przed kamerami zajęła promieniejąca Agnieszka Holland i również nic nie wskazywało, że po przyjeździe do „tego kraju" czułaby się, jakby „znalazła się w pokoju, w którym ktoś zepsuł powietrze".

Były długoletni ministrant Piotr Domalewski rzeczowo omówił udanych „Ministrantów". Uczynił to z perspektywy „mszy świętej jako widowiska". „Ministranci" zdobyli też ważną nagrodę publiczności (mieli łącznie 329 082 widzów), a Piotr Domalewski nagrodę za najlepszy scenariusz. Na łamach „Do Rzeczy" mocno ten scenariusz wspierałem, co być może wywołało wściekłość Radka Śmigulskiego, ówczesnego szefa PISF. Dopiero po wyrzuceniu go przez ppłk. Sienkiewicza i zmianie dyrekcji „Ministranci" otrzymali dofinansowanie z PISF.

Przenieśmy się na galę Orłów. Brawurowo poprowadził ją Andrzej Konopka. Zdobył też Orła za drugoplanową rolę męską w świetnym debiutanckim filmie „LARP. Miłość, trolle i inne questy" w reżyserii Kordiana Kądzieli. Prowadzenie gali przez Andrzeja Konopkę już przeszło do historii Orłów i polskiej konferansjerki. Za jakiś czas nikt nie będzie pamiętał 28. gali Orłów, natomiast Andrzeja Konopkę – tak.

Polska Akademia Filmowa za najlepszy film 2025 r. uznała „Dom dobry" Wojciecha Smarzowskiego. Dostał również kilka innych Orłów. Reżyser uwielbia epatować złem, wszelką niegodziwością i łajdactwem. Pragnie szokować widza, tak jak w „Weselu 2", gdzie wielki knur (żywa świnia) gwałci człowieka. (Kodeks karny zawiera odpowiedni paragraf, ale żadna organizacja chroniąca prawa zwierząt i ludzi do sądu nie wystąpiła). „Dom dobry" miał 2 410 090 widzów. Wielbiciele psychologicznych horrorów pobiegli masowo do kin na rodzimą produkcję. Byłem przeciwny realizacji tego filmu. Ostro skrytykowałem scenariusz, co zapewne zapewniło mu natychmiast dofinansowanie z PISF. Smarzowski jako wojujący antychrześcijanin (nie wiadomo, czy jest tylko ateistą) znowu zakończył film skandalicznym bluźnierstwem wobec Trójcy Świętej. W „Klerze" źrenicą oka TŚ był płonący kapłan – samobójca. W „Domu dobrym" źrenicą oka TŚ jest klapa do szamba. Odbierając Orła, reżyser Smarzowski nagle zażądał „rozdziału Kościoła od państwa". Dostał nawet brawko od publiki.

Akademia wykpiła się z nagradzania Agnieszki Holland i „Franz Kafka" dostał Orła tylko za zdjęcia Tomasza Naumiuka. Przypomnijmy, że festiwal w Toronto i zupełnie lewacki festiwal w San Sebastian (Hiszpania rządzona przez POUM) nawet nie zauważyły „Franza Kafki".

Moim zdaniem Akademia mocno skrzywdziła naszą superprodukcję pt. „Chopin, Chopin!" w reżyserii Michała Kwiecińskiego (był też producentem filmu, głównie z własnych funduszy!). Film dostał Orły tylko za scenografię, kostiumy i charakteryzację.

Należy wspomnieć o trzech świetnych i debiutanckich filmach rokujących nadzieję na przyszłe kariery ich twórców: „Bracie" w reżyserii Macieja Sobieszczańskiego, „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej" w reżyserii Emi Buchwald i wspomnianym już „LART" Kordiana Kądzieli.

Po długim „słusznym" politycznie wystąpieniu Krystyny Jandy na scenę wszedł 79-letni Olgierd Łukaszewicz (były prezes ZASP), w długich siwych włosach, jawiący się jako XVII-wieczny protestancki pastor z miasta Salem. Wzywał, by Polska była „demokratyczna, liberalna i otwarta" oraz przede wszystkim „europejska", a Polacy dokonali „słusznych wyborów politycznych" w nadchodzących wyborach.

Patrzyłem na wykwintną, starannie wyselekcjonowaną publiczność. Samouwielbienie i triumfalizm w czystej postaci. Na gali Orów obecny był też wiceminister kultury Maciej Wróbel, z wykształcenia nauczyciel, a ostatnio wiceburmistrz Kętrzyna. Odziany w zabójczy garnitur rodem z filmowej garderoby Ala Capone oświadczył, że kinematografia w 2026 r. otrzyma aż 300 mln zł. Za czasów „kaczyzmu" PISF (kinematografia) otrzymywał rocznie ok. 460 mln zł. Za chwilę filmowcy będą płakać i żreć się między sobą o kasę. Lądowanie Orłów będzie bolesne. ©℗

eprasa.pl df9201f649

Warlikowski – historiozofia i samobiczowanie



Grzegorz Kondrasiuk



Reżyser spektaklu „Europa" już dawno nie ma nic ciekawego do powiedzenia FOT. MAGDA HUECKEL

To „Europa" – najnowsze dzieło Krzysztofa Warlikowskiego, który wysoko szybuje nad codziennością polskiego teatru, rozmawiając sam ze sobą (i ze światowymi festiwalami) za pomocą imponującej serii spektakli traktujących o duchowej pustce i wyobcowaniu. Niestrudzenie, jak kaznodzieja, głosi prawdę o świecie, przemawiając ze sceny Nowego Teatru, arcywarszawskiej miejscówki w dawnej bazie MPO, swego rodzaju parafii na „Moko", przy ul. Madalińskiego. Parafia dostała właśnie nowego proboszcza, mianowanego z nadania (gdzie te transparentne konkursy, ex-Ministro Wróblewska i Ministro Cienkowska?).

Michał Merczyński, wstępując na stanowisko, podbił jeszcze stawkę: chce przerobić Nowy na coś w rodzaju muzeum sztuki Krzysztofa Warlikowskiego. Do tego – tu już będzie bardzo na poważnie – śmierć grasuje w obsadach. Trudno będzie zastąpić Zygmunta Malanowicza, Stanisława Brudnego, Ewę Dałkowską, Jadwigę Jankowską-Cieślak; w którymś wywiadzie Warlikowski powiedział, cytuję z pamięci, że powoli przestaje sobie wyobrażać kolejne spektakle Nowego. Wzruszająca to niezgoda na nieuchronne i lojalność wobec swojej teatralnej rodziny. Na stronie internetowej teatru Dałkowska i Malanowicz są ciągle umieszczeni w zakładce „zespół"… A w pamięci przewijają się sceny: ta dziwna rodzinka wychodzi z kulis, rozsiada się na kanapach albo przy stole, paląc papieroski, popijając drinki, w plamach dźwiękowych Pawła Mykietyna patrzy w przestrzeń… Mimo dbania o mocne aktorskie monologi, duety, tria i kwartety w wielu spektaklach „Warlika" liczyła się też grupa, wspólnota połamanych samotności i skrajnych indywidualności.

Taki to szczególny moment pojawienia się „Europy". Spektakl jest krótszy niż zwykle, grany w mniejszej obsadzie i – po raz pierwszy od dawna – oparty na jednym tylko tekście i – o dziwo – na dramacie. Wajdi Mouawad napisał historię o prostych założeniach. W głównym planie fabularnym widzimy docieranie do prawdy o czystce etnicznej dokonanej kilkadziesiąt lat temu. Przenikają się plany czasowe, sceny z pamięci ośmioletniej dziewczynki (tancerz Claude Bardouil), która przyczyniła się do śmierci całej swojej klasy i została z obrazami mordu pod powiekami, i noc w domu tej, już starej kobiety Europy (Andrzej Chyra), która doprowadza do przerażającej konfrontacji ze swoimi porzuconymi, niechcianymi córkami bez świadomości obciążenia. Ale Europa krzywdząca swoje córki jest tu też figurą myśli, metaforyczną wykładnią myśli postkolonialnej, bo Warlikowski usiłuje być historiozofem. Biały człowiek zepsuł świat, nie da się go naprawić…

W centrum tego jałowego, czarnego pejzażu stężonej, transmitowanej pokoleniowo krzywdy bez możliwości odkupienia stoi Andrzej Chyra (Europa). Kto ceni jego teatralne aktorstwo, ma tu prawdziwą ucztę, dwugodzinny koncert esencjonalnego Chyry, beznamiętnego, pozbawionego mimiki, cedzącego słowa padające w ciszy jak kamienie w tym jego niezapomnianym, nieco zgrzytliwym, ale przecież powabnym tembrem głosu. Jest tu kilka scen, gdzie Małgorzata Hajewska-Krzysztofik, Wedia, najstarsza z córek, prowadzi przejmujący dialog z Chyrą, cały czas w charakteryzacji starszej kobiety. Pomysł skazany z góry na porażkę, karykaturę. A tu się oczywiście udaje, przekręcenie i uniezwyklenie daje ten sam, wielokrotnie sprawdzony hipnotyczny efekt.

Co rusz pojawia się jednak myśl: „Który to już raz?". To są sprawy znane od dawna: Warlikowski został unieruchomiony w nieciekawej pozycji mędrca. Jako od kapłana ponowoczesnego Kościoła w świecie bez nadziei, rozczarowania, samoudręczenia – oczekuje się od niego głębokich diagnoz, a on próbuje sprostać. Tymczasem – od dawna nie ma niczego nowego do powiedzenia. Referuje za pomocą teatralnych przypowieści pogląd swojego środowiska, bezpośrednio i brutalnie wyrażony w którymś z wywiadów przez Agnieszkę Holland, zapytaną o kryzys migracyjny przy białoruskiej granicy, (przedrukowanym w programie do „Costello") – tak jak wyginęły dinozaury, wyginiemy i my, Europejczycy, mieszkańcy sytej Północy.

No i dobrze – mówią artyści w roli historiozofów i proroków – niech zastąpią nas spragnieni dostatniego życia przybysze z Południa, niech sobie pożyją, zanim „planeta się spali", by zacytować Rafała Trzaskowskiego, głównego mecenasa Nowego Teatru. Na to wszystko patrzy, raczej nieźle odżywiona i ubrana, wierna publiczność, i to jest kolejny wymiar tego szczególnego zjawiska. Dobry wielkomiejski teatr, który prawi frazesy o przeszłości (ahistoryczna teza o uniwersalnej winie Europy) i wygłasza fatalistyczne przepowiednie. I nic o teraźniejszości, która na naszych oczach właśnie dynamicznie się przeobraża. Może więc warto już uwolnić „Warlika" z pozycji mędrca i proroka? ©℗

NOWY TEATR W WARSZAWIE, „EUROPA", NA PODSTAWIE: „PRZYSIĘGI EUROPY" WAJDIEGO MOUAWADA
REŻYSERIA: KRZYSZTOF WARLIKOWSKI
PREMIERA: 7 STYCZNIA 2026 R.

eprasa.pl df9201f649



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Najlepsi z najlepszych



★★★★★★

REŻ. PATRICK HUGHES „MASZYNA DO ZABIJANIA” USA 2026

wyst. Alan Ritchson, Dennis Quaid, Stephan James, dystr. Netflix

Nie taki był zamiar, ale trudno wyobrazić sobie lepszą datę premiery filmu „Maszyna do zabijania”. Trafił do Netflixa tydzień po tym, jak USA rozpoczęły operację przeciw Iranowi, a w konserwatywnych mediach Ameryki, tak jak za czasów wojny o Kuwejt czy inwazji na Irak, zagościły hasła „Support Our Troops!”.

Film Patricka Hughesa to półtoragodzinna reklama amerykańskiej armii (a dokładnie elitarnego oddziału United States Army Rangers), nakręcona jednak tak zręcznie, że zamienia się w dobre oldskulowe kino akcji, takie, jakie robiono w latach 80. czy 90. Do roli głównej idealnie dopasowany został Alan Ritchson (Jack Reacher z serialu Amazona) jako wojskowy weteran, który próbuje nowym wyzwaniem wymazać traumę po śmierci brata w Afganistanie. Jego dowódcę gra Dennis Quaid, którego widzieliśmy jako Ronalda Reagana. „Maszyna do zabijania” bez wątpienia zostanie świetnie przyjęta przez patriotycznie nastawioną część amerykańskiej publiki. Jest to bowiem opowieść o tym, że amerykański żołnierz jest najlepszy na świecie, nigdy się nie poddaje, a serce ma po właściwej stronie. Jest to pochwała morderczego szkolenia, braterstwa broni i poświęcenia.

Wszystko to ubrane jest w formę survivalowego filmu z elementami science fiction – a gdyby tak podczas ćwiczeń rangersów doszło do obcej inwazji? Cóż, sprawa jest prosta – tak jak niegdyś Arnold Schwarzenegger przetrzepał skórę Predatorowi, tak Alan Ritchson okaże się lepszym wojakiem niż „War machine” (oryginalny tytuł filmu) z kosmosu. Być może dla niektórych wszystko to brzmi absurdalnie, ale zapewniam, że film ogląda się świetnie. Nie ma w nim ani grama lewicowych ideologii, jest mnóstwo testosteronu i karkołomnych scen akcji (polecam zwłaszcza te nad górską rzeką).

Jest to dokładnie taki rodzaj kina, jaki wymarzyć mogliby sobie zwolennicy MAGA – z tą jednak poprawką, że pewnie niezbyt spodoba im się sugestia, że Amerykanie muszą jednak wystawiać czubek nosa poza granice USA i łoić tyłek łotrom na całym świecie (zwłaszcza gdy są to łotry z kosmosu). Niegdyś takie przesłanie zaszywał w swych przygodowych opowieściach Robert A. Heinlein, dziś nie głosi go nikt. To znaczy, przepraszam, dotąd nie głosił – bo „Maszyna do zabijania” to powrót tej narracji. ©℗

GRA TYGODNIA: „DRAGON QUEST VII REIMAGINED”

Odświeżona wersja gry sprzed 25 lat, do której projekty postaci rysował Akira Toriyama, kojarzony poza Japonią głównie z mangi i anime „Dragon Ball”. Klasyczne jRPG w nowej odsłonie wygląda fantastycznie i choć dziś coraz trudniej wierzyć w naiwne opowieści, że każdy rycerz jest dobry, a każde zło da się pokonać, to odkrywanie tej opowieści i pomoc mieszkańcom kolejno odkrywanych wysp są czystą przyjemnością. Kolejny udany powrót do wczesnych gier serii rozwijanej od 40 (!) lat. ©℗



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★★

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:** jRPG*
- ***Platforma:** PS5, XSX, NS, NS2, PC*
- ***Producent, wydawca PL:** Square Enix, Cenega*

eprasa.pl df9201f649

Płacz, potworze

KINO



★★★☆☆☆

REŻ. MAGGIE GYLLENHAAL
„PANNA MŁODA!" („THE BRIDE!")
USA 2026

wyst. Jessie Buckley, Christian Bale, Annette Bening

Feministyczno-histeryczna reinterpretacja klasyki. „Narzeczona Frankensteina" przyszła na świat w roku 1935. Ekipa Jamesa Whale'a, pochłonięta wykopkami na cmentarzu, nie zawracała sobie jednak głowy jazzem, wojną płci i gangsterami. Złożyła zdawkowy hołd Mary Shelley i od razu przeszła do sedna, czyli straszenia publiki szalonym naukowcem, pragnącym przejąć część boskich kompetencji. „Panna młoda!" oferuje znacznie więcej. Na przykład miłą sercu każdego kinofila zabawę w tropienie cytatów i aluzji. Shelley, przebywająca w zaświatach (czyściec literacki?), ma niedokończone porachunki z patriarchatem. Zamierza je wyrównać za pośrednictwem wulgarnej panny, ciałem zarabiającej na kromkę chleba posmarowaną kawiorem. Z monstrum doktora Frankensteina Idę połączy śmierć oraz drobne kłamstewko. Z Chicago akcja przenosi się do Nowego Jorku, potem zaczyna się chaotyczny rajd szlakiem Bonnie i Clyde'a.

Niestety, ten film zweryfikował reżyserski talent Gyllenhaal. Kameralna „Córka" jej się udała, lecz tutaj zgrzeszyła pychą, próbując jednocześnie bawić, przerażać, wzruszać i nawracać. To misja dla większości twórców niewykonalna. Maggie ma natomiast szansę przejść do historii kina w kategorii „nepotyzm". Obsadziła w ważnych rolach męża i brata. „Panna młoda!" dostarcza argumentów zwolennikom tezy, że nawet najlepszy aktor nie zrównoważy błędów scenarzysty. Buckley demonstruje irlandzki temperament, ale jej postać po prostu drażni. Swoją drogą Ida ma przypominać Marlenę Dietrich, tymczasem kojarzy się z Jean Harlow – z racji fryzury, makijażu oraz faktu, że też umarła młodo. Porażka Bale'a była do przewidzenia: Boris Karloff jako Frankenstein jest nie do pobicia.

Wszyscy mężczyźni, którzy pojawiają się na ekranie, są karykaturalni lub płaczliwi. Liczne nawiązania do ruchu #MeToo ułatwią robotę przyszłym archeologom kina. Nie będą mieli wątpliwości, gdzie i kiedy ten film został nakręcony. W amerykańskich kinach „Panna młoda!" zaliczyła falstart. Ponieważ zeszłoroczny „Frankenstein" też nie był kasowym sukcesem, mniemam, że moda na odgrzewane kotlety z katalogu Warner Horrors skończy się jeszcze szybciej, niż się zaczęła. ©℗

Wiesław Chełminiak

NIE PAMIĘTAM

Ufać ludziom czy polegać na wspomnieniach – oto jest pytanie. Czekając na „Odyseję", warto przypomnieć sobie „Memento" – film, który zapoczątkował dobrą passę Nolana i zakończył ekranową karierę Polaroida. Standardowa historia zemsty opowiedziana wspak czy przewrotny moralitet? Bohater postradał zdolność zapamiętywania, zachował jednak apetyt na życie. Za wszelką cenę chce dopaść zabójcę żony. Prywatne śledztwo posuwa się naprzód, ponieważ Lenny robi notatki, a kluczowe informacje tatuuje na ciele. Jak na Amerykanina przystało, nie ma żadnych zahamowań ani wątpliwości. Wyborca idealny! Dwadzieścia pięć lat po premierze „Memento" nadal intryguje. Jest tylko jedno „ale". Gdyby Tarantino zmontował „Pulp Fiction" po bożemu, nie dostałby w Cannes Złotej Palmy. Podobnie film Nolana oglądany od końca straciłby sporo na powabie. ©℗



Rakuten

★★★★★☆

REŻ. CHRISTOPHER NOLAN
„MEMENTO"
USA 2000

wyst. Guy Pearce, Joe Pantoliano, Carrie-Anne Moss



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Plakat polski

Po kilkuletniej przerwie, w trakcie której przeszło gruntowną modernizację, powraca Muzeum Plakatu w Wilanowie. Wraca z wystawą „Plakat polski. Kolekcja", na której zobaczyć można ikoniczne prace polskich plakacistów. W sumie ok. 240 plakatów, przy czym – mimo że jest to ekspozycja stała – eksponaty będą rotować. „Ze względu na kruchą naturę papieru ekspozycja będzie zmieniać się co trzy miesiące. Opowieść jednak pozostanie ta sama. To historia przemian społecznych, kulturowych i politycznych, które pozostawiły swój ślad na plakatach" – piszą kuratorzy.

Wystawę podzielono na sześć rozdziałów: od czasów Młodej Polski, poprzez reklamę artystyczną dwudziestolecia międzywojennego, powojenną propagandę, artystyczny fenomen polskiej szkoły plakatu, po nowoczesne projektowanie graficzne.



FOT. MUZEUM PLAKATU W WILANOWIE

Muzeum Plakatu w Wilanowie działa od 1968 r. Kiedy w czerwcu tegoż roku wydzielono je jako odrębny oddział Muzeum Narodowego w Warszawie, było pierwszą na świecie placówką z plakatem w roli głównej. ©℗

GDZIE? ***Muzeum Plakatu w Wilanowie***
KIEDY? ***ekspozycja stała***

eprasa.pl df9201f649



KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Artysta klasy najwyższej

Dziewięć lat temu, 15 marca 2017 r., zmarł Wojciech Młynarski. 26 marca minie 85 lat od jego urodzin. Dobry to moment na premierę książki Romana Dziewońskiego „Wojciech Młynarski. Mamy taką sytuację". Książki wartościowej, potrzebnej i ciekawej, ale niebędącej biografią twórcy tego wszystkiego, co najlepsze w polskim powojennym kabarecie, musicalu, w piosence literackiej, a generalnie w rozrywce: inteligentnej, kulturalnej, na poziomie tak wysokim, że dziś wydaje się on niemożliwy do osiągnięcia.

Roman Dziewoński, syn Edwarda Dziewońskiego „Dudka", sporządził monografię twórcy i jego niezliczonych dokonań artystycznych, przybliżając wydarzenia zapomniane lub mniej ważne, a także mniej udane. Choć nawet w tych, powiedzmy, nienajszczęśliwszych dokonaniach Młynarskiego widać było wielką klasę tego niezwykłego człowieka, który niczego nie potrafił zrobić na pół gwizdka i pewnie dlatego solą w oku stali mu zawsze – jak śpiewał w jednej z piosenek – faceci owładnięci jedną myślą: „Co by tu jeszcze spieprzyć, panowie, co by tu jeszcze".

Okazać się miało, że koniec komunizmu facetów takich wcale nie wyrzucił na margines. Po krótkim szoku otrząsnęli się, policzyli i po staremu psują wszystko, czego się dotkną. Już w wolnej Polsce na potrzeby książki „ArTystokrata bez krawata" Jana Tyszkiewicza mówił: „Chciałbym dożyć, żeby komuniści kompletnie odeszli od władzy, bo ona im się nie należy. Nie chcę widzieć ich twarzy. Nie cierpię ich z całego serca. Byli agentami poprzedniego ustroju, płaszczyli się przed Sowietami, donosili na nas, wsadzali nas do więzień, ich kretyńskie decyzje niszczyły ludziom życie. I teraz ci ludzie są w rządzie".

Ciekawe, co autor tych słów miałby do powiedzenia dziś, i o władzy, i o opozycji. Zawsze był przenikliwym obserwatorem naszego życia społecznego, a co za tym idzie – i politycznego. I już wiele lat temu skonstatował, że „to, co wczoraj było chamstwem, dziś jest regułą gry w bon tonie". Swoją drogą kto pamiętał, że gdy Krystyna Janda wyznała, iż czuje się, jakby ktoś srał na nią cały czas, to zacytowała ona Wojciecha Młynarskiego właśnie, bo to był w istocie cytat z piosenki „Siedzą na mnie…", znanej bardziej jako „Po Krakowskim w noc majową": „dość trudno jest o dialog / z kimś, kto wciąż ci raz po razie sra na łeb". W oryginale chodziło o niemożliwy dialog z komuną.

Ale w książce Romana Dziewońskiego znalazłem także m.in. opis zdarzeń, które dobrze zapamiętałem, bo w jakimś sensie byłem ich świadkiem. Tak działo się, gdy Młynarski w „Plusie Minusie", do którego pisałem, zamieścił tekst pod tytułem zapożyczonym od Artura Sandauera – „Bez taryfy ulgowej", gdzie odniósł się do wystawionego w Teatrze Rozmaitości, podówczas świątyni scenicznej „nowoczesności", „Hamleta". Inscenizację tę uznał Pan Wojciech za „kliniczny przykład Sandauerowego „»awangardowego chamstwa«". I pisał: „Artysta Jacek Poniedziałek, pląsający w roli Hamleta jak go Pan Bóg stworzył, wywołuje we mnie uczucie głębokiego zażenowania i wstydu. Podobnie jak cała formuła tego teatru. Ten teatr z niczym nie walczy, z nikim nie dialoguje. Zajęty jest wyłącznie kreacją swego wizerunku, wygląda jak pretensjonalna, przeglądająca się w lustrze pudernica, pytająca: lustereczko, powiedz przecie? Tak bełkoczą głuptasy niemające kompletnie nic do powiedzenia. Tak powstaje teatr kochający widza inaczej i wara wam od naszej inności. Tragedia polega na tym, że ten pseudoawangardowy teatr z łbem nastroszonym na żel świetnie umie się sprzedawać, reklamować i ma swoich apologetów w postaci całych tabunów krytyków. Oto Jacek Poniedziałek (Hamlet nago) rozmawia z Romanem Pawłowskim, krytykiem opiniotwórczej »Gazety Wyborczej«. Cytuję z pamięci:

Poniedziałek: – Ja się, panie Romanie, sposobię do monologu, a z sali słyszę głos »majtki nałóż«.

Pawłowski: – Tak, tak, nasza publiczność jest jeszcze bardzo niewyrobiona.

Kochani! To nie jest fragment skeczu. To jest normalka w naszym życiu teatralnym".

Stanisław Bareja wiedział, co robi, ostrzegając przed zgubnymi skutkami chodzenia do teatru. Przynajmniej do takiego, w którym sławę zdobywał aktor Poniedziałek. A Młynarskiemu drogi był zupełnie inny teatr, ze szczególnym uwzględnieniem Ateneum z czasów dyrekcji Janusza Warmińskiego, w którym, gdy z powodu niedyspozycji wykonawcy wystawienie kilku przedstawień „Brela" stało się niemożliwe, spektakle zastąpiono recitalami twórcy „Róbmy swoje". Nikt nie zażądał w kasie zwrotu pieniędzy, a recital trafił do stałego repertuaru sceny przy ulicy Jaracza.

Nie zawsze Młynarski miał rację. Tak było, gdy w 1984 r. w rozmowie z Markiem Kaszem dla „Przeglądu Tygodniowego" zapytany o punk rocka odpowiedział: „Idź pan z tymi punkami. To jest ruch, który ma rację bytu na Zachodzie. Ale u nas? Przeciwko czemu oni protestują? Że im rodzice kupili czarne, skórzane kurtki za 20 tys. zł? Ja pierwszy garnitur dostałem, jak zdałem maturę. To ja jestem prawdziwym punkiem, bo ja protestuję…". ©℗



★★★★★★

ROMAN DZIEWOŃSKI „WOJCIECH MŁYNARSKI. MAMY TAKĄ SYTUACJĘ"
LIRA, WARSZAWA 2026

eprasa.pl df9201f649



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Skazani na zniszczenie

Jest to książka o rzeczach niewyobrażalnych, które jednak nastąpiły. Ten wzorzec powtarza się w historii. Wodzowie zawsze przygotowani są tylko do minionych wojen, a wiara w dawne traktaty, w moc ustalonych niegdyś zasad, otwiera tylko drogę do przyszłych okropieństw. Tak długo Rzym i Kartagina konkurowały ze sobą, że trudno było sobie bez nich wyobrazić świat śródziemnomorski. A jednak niespodziewanie Kartagina została zrównana z ziemią i zostało po niej tylko wspomnienie. Niejedno greckie miasto buntowało się przeciwko rozmaitym władcom. Ale dlaczego akurat Teby spotkał los tak straszliwy? Gdy wojska Mehmeda II podchodziły pod Konstantynopol, wielu wydawało się, że to tylko kolejna wojna, jak wiele wcześniej. Minie, a cesarstwo będzie trwało. Nie przetrwało. I tak dalej.

Victor Davis Hanson to wyśmienity historyk wojskowości, znany także z przenikliwych i celnych analiz współczesnej polityki, którymi dzieli się na konserwatywnym kanale YouTube Daily Signal. Wielki znawca historii drugiej wojny światowej, admirator gen. Pattona, dał się polskim czytelnikom poznać dzięki świetnej książce „Śmierć obywatela", w której opisywał, jak globalizacja, elity i plemienność niszczą demokrację, poczynając od unicestwienia klasy średniej. W „Końcu wszystkiego" sięga po historyczne przykłady (oprócz trzech już wymienionych także po historię zagłady imperium Azteków), by przestrzec przed możliwymi tragediami.

Zdaniem Hansona – i wypada się z nim zgodzić – natura ludzka jest niezmienna, więc błędne jest zakładanie, że straszliwe wydarzenia powtórzyć się nie mogą. Dynamika prowadząca do wojennych katastrof tworzona była przecież przez zjawiska, które obserwujemy i dziś. Są kraje przekonane o swej wyższości militarnej i ustrojowej, są takie, które zakładają, że wiele ujdzie im na sucho, bo zawsze uchodziło. Są wreszcie i takie – tych jest chyba najwięcej – których obywatele więcej energii poświęcają sporom wewnętrznym niż przygotowaniu się do zagrożeń zewnętrznych. Na to zaś nakładają się ambicje i/lub głupota przywódców, histeria tłumów oraz zgubne przekonanie, że może być tylko lepiej, więc trzeba obecny porządek zburzyć. Co czeka na końcu tej drogi? No właśnie: koniec wszystkiego. ©℗



★★★★★★

VICTOR DAVIS HANSON „KONIEC WSZYSTKIEGO" PORT 2026

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE



Podróż śladami bliskowschodnich chrześcijan. Turcja, Egipt, Liban, Izrael, Irak – wszędzie tam żyli od dwóch tysięcy lat i mimo kolejnych tragedii wcale nie są chętni, by wyjeżdżać. A czasy, niestety, zmieniają się na gorsze.

DARIUSZ ROSIAK „ZIARNO I KREW" CZARNE



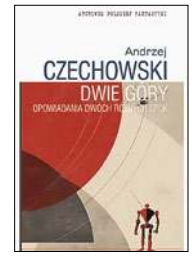
Tekst: Tetiana Kolesnychenko, zdjęcia: Maciej Stanik. Reportaże z ogarniętej wojną Ukrainy. Makariwka, Bachmut, Łyman; porwane dzieci, jeńcy Rosjan wracający do domu, frontowi żołnierze, uchodźcy. Przerażająca codzienność.

AUTORZY RÓŻNI „ROBAKÓW ROZGRYZAĆ NIE WOLNO" CENTRUM MIEROSZEWSKIEGO



Opowieści ze świata japońskiej mafii – egzotyczne, niezwykłe, dzikie, ale nader często pobrzmiewają w nich tony znane ze spowiedzi skruszonych mafiosów włosko-amerykańskich, próbujących udawać „ludzi honoru".

MARTINA BARADEL „YAKUZA BLUES" ZNAK HORYZONT



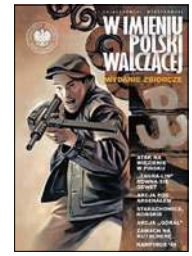
Niespodziewany powrót jednego z najbardziej cenionych polskich autorów SF lat 60. Czechowski błysnął tomem „Przybysze", potem zamilkł na wiele lat. W nowej książce oprócz 14 znanych tekstów dostajemy siedem premier. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

ANDRZEJ CZECHOWSKI „DWIE GÓRY" STALKER BOOKS

KOMIKS TYGODNIA:
ARMIA PODZIEMNA

Czyn zbrojny Armii Krajowej, największej podziemnej organizacji walczącej drugiej wojny światowej – komiksowa seria wydawana przez Instytut Pamięci Narodowej doczekała się albumowej edycji zbiorczej. Od ataku na więzienie w Pińsku, przez akcję pod Arsenałem, po walki w Kampinosie podczas powstania warszawskiego. Cześć i chwała bohaterom! ©℗



SŁAWOMIR ZAJĄCZKOWSKI, KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI „W IMIENIU POLSKI WALCZĄCEJ" IPN 2025

Piotr Gociek

eprasa.pl df9201f649

Polska bomba atomowa?



FOT. ADOBE STOCK



Adam Wielomski

O ile posiadanie własnych głowic nuklearnych zwiększyłoby bezpieczeństwo Polski, o tyle „szerowanie" głowic amerykańskich lub francuskich jest dobrowolnym wystawianiem się na cel pierwszego uprzedzającego uderzenia nuklearnego. To krok samobójczy, z powodu zagrożenia nuklearnego wielokroć bardziej niszczący niż to, co obecnie dotyka Kuwejt, Bahrajn, Katar i ZEA

Rzucony niedawno przez Prezydenta RP Karola Nawrockiego pomysł stworzenia własnej polskiej broni nuklearnej należy rozpatrywać w dwóch aspektach. Po pierwsze, propozycja ta miała charakter wiążący się z aktualnymi sporami dotyczącymi unijnego programu SAFE, a jej celem było pokazanie, że dla wzmocnienia polskiej obronności poprzez zadłużanie się za pomocą Unii Europejskiej istnieją alternatywy. Po drugie, pomysł ten należy potraktować jako bardziej ponadczasowy i wiążący się z pytaniem: Czy Polska powinna posiadać własną broń nuklearną? W tekście tym interesować mnie będzie właśnie aspekt ponadczasowy, a konkretnie dwa pytania: Czy Polska powinna posiadać broń nuklearną i czy jest to w ogóle możliwe?

GWARANCJA NIEPODLEGŁOŚCI

Politolodzy nauczają, że istnieje kilka możliwych opcji, aby państwo było pewne zachowania swojej niepodległości. Po pierwsze, taką gwarancją może być obszerność i niedostępność dla ewentualnego wroga. Tutaj często wskazywana jest Brazylia, będąca państwem gigantycznym i w dodatku porośniętym lasami tropikalnymi. Ewentualna okupacja takiego terytorium wymagałaby zaangażowania kilkumilionowej armii. Podobnie było zawsze z Chinami, które były zbyt wielkie i ludne. Dlatego nawet w epoce kolonialnej XIX w. nikomu nie przyszło do głowy przekształcić je w kolonię zachodnią, ograniczając się do aneksji nadmorskich miast, takich jak Hongkong czy Macao. Armia cesarskiej Japonii utknęła w tym państwie na ponad dekadę, nie mogąc ustabilizować swoich rządów. Wyspiarskie położenie gwarantuje także zachowanie własnej państwowości przez Wielką Brytanię, a olbrzymia odległość od innych potęg stanowi podobną gwarancję dla Australii. Niestety, większość państw takiego luksusu nie ma i stąd muszą rozglądać się za innymi gwarancjami własnej niepodległości. Powszech-

eprasa.pl df9201f649

nie uważa się, że najbardziej poręczną dla państwa o rozwiniętej gospodarce i technice jest własna broń nuklearna.

Dlaczego broń nuklearna daje gwarancję zachowania niepodległości? Dlatego, że posiadające ją państwa mogą ponieść porażkę militarną, lecz nie mogą przegrać wojny do tego stopnia, aby w desperacji nacisnąć atomowy guzik. Państwo Izraela może zostać zasypane gradem irańskich pocisków balistycznych i dronów, lecz Persowie, gdyby nawet taką możliwość mieli, nie próbowaliby zdobyć Tel Awiwu. Stany Zjednoczone mogłyby zatopić dwie północnokoreańskie fregaty, ale nie ośmieliłyby się zaatakować stolicy Pjongjangu. Jeszcze z okresu zimnej wojny panuje w polityce światowej niepisana zasada, że żołnierze dwóch państw posiadających broń nuklearną nie mogą bezpośrednio spotkać się na polu bitwy, gdyż grozi to eskalacją, która potencjalnie może zakończyć się wojną jądrową, w której nie będzie zwycięzców. W amerykańskich naukach o bezpieczeństwie w tym aspekcie funkcjonuje pojęcie „wzajemnego oczywistego unicestwienia" (tzw. MAD, skrót od ang. Mutually Assured Destruction). Dlatego mocarstwa jądrowe toczą ze sobą tzw. wojny zastępcze na terytoriach innych państw i za pomocą ich armii, które wspomagają sprzętem, instruktorami, amunicją, danymi satelitarnymi etc. Właśnie dlatego Joe Biden nie zgodził się na wysłanie na pomoc Ukrainie żołnierzy NATO, gdyż groziłoby to eskalacją wojny z Rosją, której końcem mógłby być MAD. Dlatego też ani Rosja, ani Chiny nie wyślą swoich żołnierzy w sukurs Iranowi, preferując wysyłanie broni, zaopatrzenia i danych satelitarnych. Gdyby pod naciskiem Waszyngtonu Ukraina nie oddała posowieckiej broni nuklearnej Rosji, to zapewne Putin nie zdecydowałby się w 2022 r. dokonać ataku na Ukrainę. Gdyby Iran miał dziś broń nuklearną, to Beniamin Netanjahu i Donald Trump zapewne nie odważyliby się na atak 28 lutego 2026 r.

Patrząc z tej perspektywy, jest rzeczą oczywistą, że dla Polski byłoby lepiej posiadać własną broń nuklearną, niż jej nie posiadać. Nigdy żaden polityk nie mógłby już rzucić słynnego hasła „L'ordre règne à Varsovie". Polska mogłaby przegrać wojnę graniczną, lecz nie do tego stopnia, aby wrogie wojska zdobyły Warszawę i jakiś wrogi nam przywódca ogłosiłby, że czas państwowości polski dobiegł swojego kresu. Groźba, że zdesperowany klęską przywódca naciśnie guzik atomowy, byłaby zbyt wielka, nawet gdyby po pół godzinie miała nadejść przerażająca odpowiedź atomowa.

SAMOBÓJCZY KROK

Przy okazji zwracam uwagę, że posiadanie własnej broni nuklearnej jest czymś innym niż program Nuclear Sharing, czyli rozmieszczenia we własnym kraju sojuszniczych systemów rakietowych lub samolotów z głowicami nuklearnymi. Myśl taką rzucił niedawno Karol Nawrocki w czasie wizyty w Stanach Zjednoczonych, a obecnie promuje ją Donald Tusk, tyle że miałyby to być głowice francuskie. Jaki jest cel Nuclear Sharing? Jest nim zwiększenie bezpieczeństwa państwa w razie wojny konwencjonalnej. I tylko konwencjonalnej. Zakłada się, że państwo średnie lub małe, na którego terenie znajdują się bazy zaprzyjaźnionego mocarstwa z bronią nuklearną, otrzymuje od tegoż mocarstwa gwarancje bezpieczeństwa. Atak konwencjonalny na jego terytorium powoduje automatyczne zagrożenie dla tychże baz, co winno zmusić państwo-opiekuna do reakcji zbrojnej. Jako przykład można tutaj podać Białoruś, której prezydent Alaksandr Łukaszenka – w odpowiedzi na próbę dokonania przez zachodnie wywiady i NGO-sy tzw. kolorowej rewolucji przy okazji ostatnich wyborów prezydenckich – poprosił sam o to czy też zaakceptował rosyjską propozycję rozmieszczenia na terytorium Białorusi rosyjskiej broni nuklearnej. Stąd podobne przekonanie polskich polityków, że stacjonowanie podobnych pocisków amerykańskich lub francuskich w Polsce zabezpieczy lepiej nasz kraj przed agresją bronią konwencjonalną ze strony Rosji i Białorusi.

Rozumowanie to uważam za błędne, a dowodzą tego losy Kuwejtu, Bahrajnu, Kataru i Zjednoczonych Emiratów Arabskich, które były przekonane, że najlepiej przed Iranem zabezpieczą te państwa amerykańskie bazy. W efekcie stały się one pierwszym celem ataków dronowych i rakietowych Teheranu. Bazy te, zamiast chronić te państwa, stały się płachtą na byka. Wyobraźmy sobie teraz, co by się stało, gdyby doszło do wojny nuklearnej dwóch mocarstw atomowych w sytuacji, gdy Białoruś „szeruje" rosyjską broń nuklearną, a Polska amerykańską (wersja Nawrockiego) lub francuską (wersja Tuska)? Gdyby doszło do wojny NATO – Rosja, to Białoruś stałaby się, obok obwodu kaliningradzkiego, pierwszym celem ataku nuklearnego, ponieważ znajduje się najbliżej terytorium państw NATO-wskich. Czyli znajdujące się na jej terytorium głowice nuklearne muszą zostać „zneutralizowane" w pierwszej kolejności. Jak? Uderzeniem atomowym. W razie konfliktu nuklearnego, nawet ograniczonego, Białoruś przestaje istnieć, przemieniając się w ponuklearną pustynię. Podobnie by się stało, gdyby na terenie Polski stacjonowały amerykańskie lub francuskie głowice nuklearne. Logicznym ruchem rosyjskim byłoby prewencyjne uderzenie nuklearne na bazy, w których by się one znajdowały. Nikt z nas nie miałby szans na przeżycie, a na pewno na długie i szczęśliwe życie w warunkach napromieniowania.

Mamy odtajnione plany NATO wojny z Układem Warszawskim, obowiązujące do 1989 r. Przyjmowały one jako pewnik, że wojna konwencjonalna zacznie się od uderzenia 400-tysięcznej armii ZSRS z terenu ówczesnej NRD na zachód. NATO planowało odcięcie dla niej zaopatrzenia za pomocą ataku nuklearnego nie na terytorium NRD, lecz Polski, aby zniszczyć i skazić przechodzące przez nasz kraj linie komunikacyjne. Dlaczego celem miała być Polska? Dlatego, że atak nuklearny na NRD niósł ze sobą groźbę rozprzestrzenienia się promieniowania i pyłu radioaktywnego na obszar ówczesnej RFN, czyli na obszar państwa NATO-wskiego. Dziś sytuacja jest podobna. Wypowiedzi ekspertów NATO i z Rosji są zgodne. Polska nie jest dziś brana pod uwagę jako cel rosyjskiego ataku nuklearnego, gdyż promieniowanie i pył radioaktywny dotarłyby do Kaliningradu i na sojuszniczą Białoruś. Jak to wyraził bliski współpracownik Siergieja Ławrowa, prof. Siergiej Karaganow, cele znajdują się „na zachód od Poznania". Sytuacja uległaby zmianie, gdyby NATO-wskie głowice nuklearne znajdowały się w Polsce. Musiałyby zostać zaatakowane

eprasa.pl df9201f649

rakietami z głowicami nuklearnymi, gdyż znajdowałyby się najbliżej Rosji właściwej. Trzeba byłoby chronić Rosję właściwą nawet kosztem Kaliningradu i sojuszniczej Białorusi. Podobnie atak NATO-wski na bazy nuklearne w Kaliningradzie i na Białorusi miałby miejsce w pierwszej kolejności, mimo że promieniowanie i pył radioaktywny dotarłyby do Polski, czyli kraju NATO-wskiego, ale dla Zachodu kresowego. Taka jest logika wojny nuklearnej.

Reasumując, o ile posiadanie własnych głowic nuklearnych zwiększyłoby bezpieczeństwo Polski, o tyle „szerowanie" głowic amerykańskich lub francuskich jest dobrowolnym wystawianiem się na cel pierwszego uprzedzającego uderzenia nuklearnego. To krok samobójczy, z powodu zagrożenia nuklearnego wielokroć bardziej niszczący niż to, co obecnie dotyka Kuwejt, Bahrajn, Katar i ZEA.

A WŁASNA BROŃ NUKLEARNA?

Jako politolog nie znam się na konstruowaniu broni atomowej. Dlatego przejrzałem, co na temat ewentualnej produkcji broni nuklearnej piszą eksperci. Pytanie najważniejsze brzmi: Ile lat nasi specjaliści taką broń musieliby budować? Podawany okres się różni, a każdy ze specjalistów podaje inne szacunki, oscylujące między pięć a piętnaście lat, przy czym przeważają szacunki między dziesięć a piętnaście. Niestety, brak elektrowni atomowej jest tutaj dużą przeszkodą. Przyjmijmy roboczą wersję 12 lat od momentu podjęcia decyzji politycznej i przeznaczenia na ten cel znaczących środków finansowych.

Cały problem polega na tym, w jaki sposób przetrwać te 12 lat na arenie międzynarodowej? Wspomniany wcześniej Karaganow, komentując ewentualne niemieckie starania jądrowe, pisze wprost o ataku nuklearnym na Niemcy. Prawdopodobnie podobne groźby pojawiłyby się wobec Polski. Nie uważam ich za zbyt poważne, gdyż oznaczałoby to wojnę jądrową Rosja – NATO. Prawdę mówiąc, to większe zagrożenie widzę ze strony takich państw jak Stany Zjednoczone, Francja i Wielka Brytania, przy czym największe z Waszyngtonu. Dlaczego? Dlatego, że wbrew amerykańskim gestom i słowom o wielkiej sympatii i miłości do Polski USA wcale nie chcą wzmocnienia Polski za pomocą broni nuklearnej. Wszystkie państwa ją już posiadające bronią się, jak mogą, przed powiększeniem swojego elitarnego grona, gdyż daje im to przewagę i naturalne korzyści. Amerykanie bardzo mocno naciskali na Charles'a de Gaulle'a, aby nie inwestował we francuski program nuklearny, skoro opieką Francję może otoczyć „Wujek Ameryka". Gdyby Polska posiadła własną broń nuklearną, jej zależność polityczna – żeby nie rzec, że stan wasalizacji – natychmiast uległaby zmianie. Nie byłyby nam już tak potrzebne bazy amerykańskie i nie kupowalibyśmy dramatycznie drogiej broni amerykańskiej, widząc w niej polisę ubezpieczeniową wykupioną w Waszyngtonie na wypadek wojny. Jak to delikatnie rzekł ostatnio wiceszef Pentagonu Elbridge Colby, cytowany przez portal DoRzeczy.pl, pytany o polską lub skandynawską broń jądrową: „Myślę, że próbowalibyśmy ich od tego odwieść. Co najmniej stanowczo byśmy się temu sprzeciwiali". Słowa „co najmniej stanowczo" to wskazówka, że rozmowa wychowawcza stanowiłaby dopiero początek polskich problemów. Prawda jest taka, że Waszyngton jest zainteresowany utrzymywaniem swoich sojuszników w stanie absolutnej dependencji, a nie wzmocnieniem ich na pozycji międzynarodowej. Wiem, że jest to rozumowanie całkowicie obce polskiemu idealistycznemu pojmowaniu stosunków międzynarodowych, lecz świat wygląda zupełnie inaczej niż w polskich wyobrażeniach.

USA są zainteresowane utrzymywaniem swoich sojuszników w stanie absolutnej dependencji, a nie wzmocnieniem ich na pozycji międzynarodowej

Z tych samych powodów polskiemu programowi nuklearnemu sprzeciwiłyby się Francja i Wielka Brytania, które utraciłyby swoje największe, a może nawet jedyne atuty militarne we współczesnej Europie. Gdy Emmanuel Macron proponuje Tuskowi francuskie „szerowanie" broni jądrowej, to chce za to korzyści. Jak doniosły media w dniu, w którym piszę ten tekst, Francuzi domagają się zastąpienia przez Polskę technologii jądrowej amerykańskiej przez francuską i budowy francuskich elektrowni jądrowych w naszym kraju. Nie umiem ocenić i porównać obydwu technologii, lecz widać, że i tutaj nie chodzi o dobre serce, lecz o przeniesienie dependencji Polski z Waszyngtonu na Paryż.

Czy ktoś więc może Polskę poprzeć w projekcie naszej własnej broni jądrowej? Tak, to Berlin, gdyż ma w tym własnym interes. Kanclerz Friedrich Merz w wielu wypowiedziach sygnalizuje dążenie Niemiec do posiadania broni jądrowej. Niemieccy eksperci szacują, że potrzebowaliby na to od trzech do pięciu lat, czyli ok. trzy razy mniej czasu niż Polska. Jednak w przypadku RFN chodzi nie tylko o układ o zakazie proliferacji broni jądrowej, lecz także o traktat zjednoczeniowy Niemiec, gdzie Berlin na zawsze wyrzekł się posiadania broni ABC, co było jednym z warunków zgody na zjednoczenie. Berlin z bronią nuklearną to sygnał alarmowy dla Waszyngtonu, Moskwy, Paryża, Londynu i całej Europy. Dlatego Merz boi się otwarcie podnieść ten postulat, chwilowo zadowalając się „szerowaniem" francuskiej broni, ale z zapowiedziami, że Niemcy będą współpracować nad zwiększeniem jej liczby i jakości, co brzmi już dwuznacznie. Z racji prusko-nazistowskiej przeszłości Berlin nie chce być pierwszym krajem europejskim, który ogłosiłby program budowy broni nuklearnej. Dlatego nie wykluczam, że Niemcy poprą w tej kwestii Polskę. Nie po to, abyśmy mieli broń jądrową, lecz po to, aby użyć nas jako lodołamacza, aby sprawdzić, jak mocne będą reakcje świata na polski program jądrowy. Jeśli nie dość mocne, to Niemcy pójdą w nasze ślady i posiądą broń jądrową wiele lat przed nami (po czym sprzeciwią się naszemu programowi). Jeśli reakcje mocarstw nuklearnych będą mocne, to jako pierwsi same publicznie nas potępią i „polski militaryzm" przy okazji. Boję się, żeby się nie okazało, że Karol Nawrocki, a za jego pośrednictwem Polska, może zostać przez Niemców wystawiony na przynętę. Osobiście proponowałbym, aby Berlin jako pierwszy odrzucił traktat o zakazie proliferacji broni jądrowej. A my poprzyglądamy się, zobaczymy i zdecydujemy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl df9201f649



Jan Fiedorczuk

Świat po TVN

Przez lata media III RP cieszyły się niepodważalnym statusem, w znacznym stopniu decydując o kształcie debaty publicznej. Ostatnie miesiące i lata przyniosły jednak tutaj diametralną zmianę. Rynek medialny stał się zdecentralizowany, nie ma już powrotu do medialnego feudalizmu ze „świata TVN"

Pod koniec lutego doszło do przejęcia Warner Bros. Discovery, właściciela TVN, przez Paramount Skydance. Szefem firmy jest David Ellison, którego rodzina przyjaźni się z Donaldem Trumpem, w związku z czym w redakcji przy ul. Wiertniczej miało zacząć robić się nerwowo. – Najbardziej trzęsą się dziennikarze zajmujący się polityką – przyznał jeden z pracowników stacji w rozmowie z Wirtualnymi Mediami. Problemy popularnej telewizji są jednak o wiele głębszej natury i nie sprowadzają się do głośnej transakcji.

Szczyt potęgi TVN przypadł mniej więcej na rok 2007, gdy średnia dzienna widownia telewizji była na poziomie ok. miliona odbiorców, a udział w rynku sięgał ponad 16 proc. Ten stan rzeczy utrzymywał się mniej więcej do 2013 r., a potem oglądalność TVN sukcesywnie spadała. Obecnie średnia dzienna widownia to już tylko 400 tys. osób, a udział w rynku – zaledwie 6,6 proc. Redakcja z Wiertniczej nie jest tu wyjątkiem, bardzo podobnie wyglądają bowiem dane Polsatu i TVP. Telewizja, gazety, radio – tradycyjne media z roku na rok wyraźnie tracą odbiorców. Aby ratować pozycję, przenoszą się do Internetu, ale tutaj konkurencja jest olbrzymia. Dynamika tych przemian odciska przemożne piętno na wyglądzie sceny politycznej, zachowaniach elektoratu czy dostępie do informacji. Ewoluuje bowiem sama struktura medialna, która fundowała układ III RP.

DAWNY ŚWIAT

Jak bowiem wyglądał, mówiąc umownie, „świat TVN"? Medialny układ, który konstytuował III RP, od zarania był nieformalnie powiązany z partiami lewicowo-liberalnymi, które najpierw opowiadały się za „rozsądnym" kompromisem z komunistami, a potem za frontem antypisowskim. Oczywiście były media prawicowe, konserwatywne czy też te po prostu kontestujące status quo, jednak potencjał obu obozów był nieporównywalny pod względem zasięgów i zdolności finansowych. Drobne, lokalne rozgłośnie radiowe nie mogły konkurować z takim Radiem TOK FM czy Radiem Zet, „Gazeta Polska" nie mogła być równoprawnym konkurentem dla „Gazety Wyborczej", a Telewizja Republika nie mogła równoważyć wpływów TVN. Zwłaszcza że przez większość tego czasu media publiczne były w rękach jednego środowiska. Dlatego Radio Zet czy TVN nie musiały być nawet jawnie za konkretną partią, wystarczyło, że te wszystkie podmioty wspólnie konstruowały strukturę medialną, która ogarniała circa 80 proc. rynku. Był to system scentralizowany, zarządzany odgórnie.

Człowiek z większego miasta wstawał rano do dźwięków porannych wiadomości TVP, w korkach do pracy słuchał Radia TOK FM, w pracy sprawdzał pocztę na Onecie, a po powrocie do domu oglądał „Fakty" TVN. I był przeświadczony, że czerpie wiedzę z różnych źródeł informacji.

To medialne status quo zaczęło się chybotać w 2015 r., gdy PiS odniósł dwukrotne zwycięstwo wyborcze. „Obóz TVN" wciąż jednak dzierżył znaczącą pozycję i nawet po przejęciu mediów publicznych przez ekipę Kaczyńskiego trudno było mówić o równowadze.

Przerobienie TVP przez Jacka Kurskiego na nieszczególnie subtelną PiS-owską telewizję miało jednak poważne skutki. Przez osiem lat wyborcy Zjednoczonej Prawicy przyzwyczaili się, że istnieje „ich" telewizja, która w niczym nie ustępuje Polsatowi i TVN. Nie był to dawny paździerz, tylko profesjonalne, nowoczesne medium. Gdy w 2023 r. Bartłomiej Sienkiewicz przeciął kable z prądem, a smutni, anonimowi panowie weszli do budynku przy ul. Woronicza, rządzącym mimo przejęcia samej telewizji nie udało się przejąć jej widzów. Oglądalność TVP poleciała na łeb na szyję, a odbiorcy z czasów Jacka Kurskiego zamiast rozpłynąć się, zaczęli szukać alternatywy, którą bardzo szybko znaleźli w postaci Telewizji Republika.

Nie było bowiem większego zwycięzcy wyborów parlamentarnych w 2023 r. niż Tomasz Sakiewicz. Jego telewizja w ciągu pierwszego roku po zmianie władzy zaczęła notować niebotyczne wzrosty

eprasa.pl df9201f649



oglądalności. Między 2023 a 2024 r. stacja pod względem udziału w rynku uzyskała przyrost na poziomie niemal 5000 proc. W końcu stało się coś, co do tej pory było wręcz niewyobrażalne – Republika nie tylko zaczęła konkurować z TVN, lecz także nawet go prześcigać, stając się chwilami najchętniej oglądanym kanałem informacyjnym w Polsce. Sakiewicz w pewnym momencie poczuł się tak pewnie, że zaczął wręcz pouczać polityków PiS, co do tej pory nie miało miejsca. W 2024 r. doszło do znamiennej sytuacji, gdy Republika jako jedyna stacja nie transmitowała przemówienia Jarosława Kaczyńskiego, który właśnie ogłaszał rozpoczęcie ogólnopolskiej zbiórki na PiS.

– Telewizja Republika to jest skarb, który prawa strona dostała za darmo. Bo bardzo niewiele w tej sprawie zrobiła. A nawet bardzo przeszkadzano. Jeśli ktoś nie potrafi docenić tego skarbu, to jest po prostu niewiarygodnie głupi. I powinien zająć się czymś innym niż polityką – grzmiał wówczas Sakiewicz.

MEDIALNA DEMOKRATYZACJA

„Odbicie" przez rząd Donalda Tuska TVP jedynie przyspieszyło proces medialnych przemian, który i tak sukcesywnie postępował. W ostatnich kilku latach jak grzyby po deszczu zaczęły wyrastać ukierunkowane politycznie kanały commentary. Swoje profile na YouTube zaczęli zakładać zarówno utytułowani dziennikarze z wieloletnim doświadczeniem, jak i nikomu nieznani początkujący twórcy. Nie było tu żadnej zasady – im bardziej sensacyjny tytuł, im bliżej wymagań algorytmu, tym większa klikalność materiału. W Internecie nastąpiła wielka decentralizacja medialna, a tradycyjna telewizja zaczęła tracić swą pozycję. O hegemonii z przełomu wieków od dawna nie ma już mowy.

Niewątpliwie najbardziej doniosłym wydarzeniem w tym procesie medialnej demokratyzacji było otwarcie Kanału Zero w 2024 r. – quasitelewizji nowego typu, która trafiła pod internetowe strzechy. Krzysztof Stanowski, przez lata kojarzony jako dziennikarz sportowy, pokazał zupełnie nowy format medialny, który okazał się niekwestionowanym sukcesem. Powiedziałbym, że nie tylko komercyjnym, jeżeli zauważymy, że organizowane dwu-, trzygodzinne debaty na temat polityki historycznej czy gospodarki oglądają regularnie setki tysięcy osób. Tradycyjne telewizje mogą jedynie pomarzyć o takim wyniku, dlatego też sukces Stanowskiego wywołał znaczącą frustrację lewicowo-liberalnych dziennikarzy pokroju Dominiki Wielowieyskiej (TOK FM), Piotra Głuchowskiego („Gazeta Wyborcza") czy Tomasza Piątka (Goniec.pl), którzy od miesięcy wypatrują najmniejszego potknięcia twórcy Kanału Zero.

Nie chodzi tu o kadzenie samemu Stanowskiemu, tylko o jego miejsce w strukturze medialnej. Nawet jeżeli nie jest on konserwatystą, to przez sam fakt, że nie grał w „orkiestrze III RP" i w znaczący sposób przyczynił do się rozhermetyzowania medialnego środowiska, stał się obiektem krytyki.

Siłę nowego medium pokazał wywiad z Karolem Nawrockim w czasie kampanii wyborczej, który kandydatowi PiS dał drugi oddech i pozwolił zaprezentować się z zupełnie nowej strony. Drugi, być może jeszcze ważniejszy występ Nawrockiego także miał miejsce na kanale YouTube, ale tym razem u Sławomira Mentzena. Kandydat Konfederacji osiągnął trzeci wynik w wyborach i przed drugą turą zorganizował dwie oddzielne

eprasa.pl df9201f649



FOT. ADOBE STOCK

Szczyt potęgi TVN przypadł mniej więcej na rok 2007, gdy średnia dzienna widownia telewizji była na poziomie ok. miliona odbiorców, a udział w rynku sięgał ponad 16 proc. Ten stan rzeczy utrzymywał się mniej więcej do 2013 r., a potem oglądalność TVN sukcesywnie spadała

rozmowy: z Trzaskowskim i Nawrockim, w których przepytywał ich co do planów na prezydenturę oraz domagał się od nich podpisania „deklaracji toruńskiej". Oto dwa występy na kanale YouTube innego polityka miały większe przełożenie na wynik wyborczy niż wszystkie debaty organizowane przez TVP. Nie chodzi tu oczywiście o samego Mentzena, tylko o fakt, że swoje „małe telewizje" są w stanie otworzyć wszyscy – od polityków, przez dziennikarzy, do zwykłych użytkowników sieci. Symboliczny mikrofon przestał być dobrem ściśle reglamentowanym, a występ w internetowym podcaście może mieć większe znaczenie niż codzienna obecność w studiu Polsatu czy TVN.

KTO KORZYSTA?

Miejsce dawnej piramidy medialnej, gdzie obowiązywała ścisła hierarchia, a wielkie pieniądze były konieczne do rozpoczęcia działalności, zajęła szeroka, egalitarna sieć podcastów, vlogów, think tanków, portali, organizacji etc. Oczywiście, że kanał YouTube początkującego vlogera będzie miał mniejszy zasięg niż wieczorne „Fakty", ale to nie ma znaczenia. Zmieniła się struktura rynku medialnego i choćby już sama liczba oddolnych inicjatyw prowadzi do zburzenia dawnej hierarchii. Nawet gdy powstają inicjatywy stricte lewicowe, w tym choćby głośny kanał Dwie Lewe Ręce, to nie wpisują się one do klubu elit III RP. Można wręcz odnieść wrażenie, że to właśnie odcięcie się od liberalnego salonu było kluczem do sukcesu DLR.

W perspektywie politycznej na tej nowej sytuacji w obecnej chwili korzysta przede wszystkim prawica – i to głównie ta prawica niepisowska. Z tej perspektywy trzeba patrzeć m.in. na sukces Konfederacji oraz Korony Grzegorza Brauna. Politycy tych partii w dawnym „świecie TVN" nie mieliby szans na dostęp do mediów głównego nurtu, nie mówiąc nawet o politycznym sukcesie. Jeszcze w 2015 r. te środowiska cieszyły się łącznym poparciem na poziomie ok. 5 proc., podczas gdy dzisiaj obie formacje mają w sondażach ok. 20 proc., a liderzy tych ugrupowań nie wychodzą z telewizji.

– Miałem dużo szczęścia, że pojawiłem się we właściwym czasie. To, co się w Polsce dzieje, to nie jest jakiś ewenement. To samo się dzieje w Niemczech, we Francji, w Wielkiej Brytanii, we Włoszech. Gdyby nie powstały media społecznościowe, nie byłoby Konfederacji. Nie mielibyśmy dostępu do telewizji – mówił niedawno Sławomir Mentzen w podcaście „Żurnalista".

Obecna struktura medialna nie musi wiecznie sprzyjać prawicy, a wahadło za jakiś czas może odbić w przeciwną stronę. Jednak bez względu na przyszłe losy ideowych przesileń dla środowisk z Wiertniczej i Czerskiej nadchodzą chude lata. Powrotu do czasów ich hegemonii, do czasów, gdy wyznaczali, „co wypada", już nie ma. Świat z ramówki TVN już jest przeszłością.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl df9201f649

Rycerze Chrystusa pilnie potrzebni



Procesja Rycerzy Chrystusa Króla, Warszawa, 26 czerwca 2025 r.
FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM



Paweł Chmielewski

Wiara nie obroni się sama. Chrześcijaństwo potrzebuje nieprzejednanych wyznawców, którzy będą gotowi głosić je i umacniać wbrew wszelkim przeciwnościom

Prawda broni się sama" – mówi popularne powiedzenie. Gdyby tak było rzeczywiście, Andrzej Solak nie musiałby pisać swojej książki, bo nie byłoby o czym. Nakładem wydawnictwa Sumus ukazała się właśnie praca pt. „Rycerze Chrystusa". Autor ukazuje czytelnikowi ludzi, którzy w różnych czasach i miejscach bronili mieczem Kościoła katolickiego. Łączyło ich jedno: mocne przekonanie, że trzeba aktywnie walczyć w obronie prawdziwej wiary, tępiąc herezję.

CHRZEŚCIJAŃSTWO BEZ KOMPROMISÓW

Wydaje się, że to postawa z minionej, zamierzchłej epoki – sprzed Soboru Watykańskiego II, może nawet sprzed drugiej wojny światowej. Kiedyś istniała inkwizycja, byli heretycy, Kościół nakładał karę ekskomuniki za błędy – ale dziś przecież tak się nie dzieje. Od czasów Jana XXIII mamy do czynienia z nową perspektywą: błędowi pozwala się funkcjonować obok ortodoksji, w przekonaniu, że z czasem wszystko ułoży się samo. Przykładów jest aż nadto. Niedawno pisałem w „Do Rzeczy" o zakończonej w Niemczech „drodze synodalnej" („DRz" nr 11/2026). Za Odrą w ostatnich latach pogwałcono cały szereg katolickich doktryn, wielokrotnie zlekceważono prawo kanoniczne. Reakcja Watykanu, jeżeli w ogóle była, to bardzo słaba – trochę krytyki, ale tylko tyle, by pozwolić Niemcom trwać przy swoim. Podobna sytuacja panuje w wielu innych krajach świata: biskupi nie ukrywają, że odchodzą od wiary. Czują się bezkarni – i słusznie, bo kar rzeczywiście nie ma. Czytając książkę „Rycerze Chrystusa" Andrzeja Solaka, warto się zastanowić, co by było, gdyby taką samą metodę Kościół stosował w przeszłości. Gdyby zamiast walki z herezją stawiano na bierność… Być może do rozpadu Christianitas doszłoby o wiele wcześniej niż w XVI w. na skutek wystąpienia Marcina Lutra. Heretycy przejęliby kontrolę nad kościołami już u progu XV stulecia, za czasów Jana Husa, albo w XII w., kiedy szerzył się ruch katarski.

Być może do klęski chrześcijaństwa doszłoby jeszcze wcześniej – u samego zarania. Przecież gdyby nie objęcie Kościoła ochroną przez państwo, prawda nie zatriumfowałaby w Europie na taką skalę, by utorować drogę utworzeniu wyjątkowej chrześcijańskiej cywilizacji. Cezarowie rządzący Imperium Rzymskim usiłowali zlikwidować wspólnoty chrześcijan. Prześladowania, które organizowali, nie były bezskuteczne; to naprawdę działało. Około roku 100 list w sprawie chrześcijan napisał do cesarza Trajana ówczesny namiestnik Bitynii i Pontu, wybitny pisarz Pliniusz Młodszy. Zdawał sprawę z tego, jak postępuje z chrześcijanami, każąc im składać ofiary bogom i bluźnić przeciwko Chrystusowi, a w przypadku odmowy skazując na śmierć. Pliniusz tłumaczył, że brutalność przynosi sukcesy. Przekonywał, że „chrześcijańska zaraza" zaczęła się cofać i do porzuconych świątyń pogańskich znowu wraca kult. „Z tego łatwo można wywnioskować, jaka liczba ludzi może się poprawić, jeżeli tylko dać im szansę skruchy" – puentował. „Szansę skruchy" wspartą oczywiście solidnym szantażem. Wielu chrześcijan odważnie ginęło za wiarę, ale wielu się uginało. Historycy szacują, że u progu IV stulecia wiarę chrześcijańską wyznawało

eprasa.pl df9201f649



ANDRZEJ SOLAK „RYCERZE CHRYSTUSA" WYDAWNICTWO SUMUS 2026

ok. 10 proc. ludności Imperium Romanum. Terror nie pozwalał wierze Kościoła swobodnie się rozszerzyć.

Chrystianizacja całej ludności stała się możliwa dopiero dzięki bardzo konkretnym decyzjom najwyższej władzy. W 312 r. cesarz Konstantyn powierzył się opiece chrześcijańskiego Boga przed bitwą ze swoim rywalem, Maksencjuszem. Zwyciężył w starciu przy Moście Mulwijskim. W efekcie uwierzył w potęgę Chrystusa. Można to krytykować jako powierzchowne nawrócenie, ale fakty pozostają faktami: Konstantyn dał Kościołowi wolność. Rok po bitwie, razem z drugim ówczesnym władcą, Licyniuszem, zagwarantował chrześcijanom swobodę kultu w edykcie ogłoszonym w Mediolanie. Chrześcijanie mogli wyjść z katakumb – dosłownie i w przenośni. Dzięki cesarzowi wiara w Chrystusa zaczęła stawać się modna: w jej przyjęciu zaczęto widzieć szansę na pozyskanie sympatii Konstantyna. Kropkę nad „i" postawił w 380 r. Teodozjusz, ogłaszając chrześcijaństwo oficjalną religią Imperium Romanum. Na początku lat 90. IV stulecia wydał dekrety zakazujące kultów pogańskich. Najwyższy władca Rzymian doszedł do wniosku, że prawda Kościoła, którą sam świadomie i szczerze wyznawał, nie obroni się sama, ale potrzebuje wsparcia ze strony państwa.

Idea, zgodnie z którą władza państwa – czyli główny dysponent „miecza" – mogłaby wskazywać prawdziwą religię i stawać w jej obronie, tępiąc przeciwne jej błędy, wydaje się dziś nieledwie skandaliczna. Współczesność woli myśleć o tych sprawach w kategoriach amerykańskiego relatywizmu, który najlepiej wyrażają założycielskie dokumenty USA – Deklaracja Niepodległości i konstytucja. Uznają istnienie Boga, ale zupełnie Go nie definiują, pozostawiając w tym względzie swobodę jednostkom. W efekcie państwo amerykańskie w swoich publicznych działaniach chętnie odwołuje się do Stwórcy, ale nie bardzo wiadomo, co to dokładnie oznacza. Wydaje się, że to jedyna możliwa droga w sytuacji, w której obywatele Ameryki wyznają rozmaite religie i żadna z nich nie ma wyraźnej przewagi. Tak samo jest dziś również w Europie – katolicy stanowią tylko jedną z części, większą lub mniejszą od protestantów. Niekiedy dorównują im liczbowo muzułmanie, coraz częściej przeganiają ich ateiści. W tej sytuacji amerykański relatywizm wydaje się swoistym panaceum – do tego stopnia, że zaczął go afirmować również Watykan. Deklaracja „Dignitatis humanae" Soboru Watykańskiego II głosi, jakoby wolność religijna była prawem człowieka, a państwa musiały ją uznawać. W epoce posoborowej Stolica Apostolska wręcz domagała się, by państwa – takie jak Hiszpania – rezygnowały z uznawania katolicyzmu za religię państwową.

To wszystko miało teoretycznie rozsądne wyjaśnienie. Wierzono, że jeżeli Kościół zrezygnuje z roszczenia do oficjalności, polepszy się zarazem sytuacja katolików w krajach komunistycznych czy islamskich. Nic takiego się nie wydarzyło. Jedynym efektem nowego paradygmatu jest to, że państwa, nawet jeżeli uznają istnienie Boga, działają tak, jakby Go nie było – bo nie są w stanie zdefiniować żadnych Jego oczekiwań wobec człowieka. „Pobożna" Ameryka mogła przez lata promować aborcjonizm i genderyzm, do czego chętnie przyłączały się nawet tak katolickie kulturowo kraje, jak Włochy. Sam Kościół znalazł się w głębokim kryzysie i nie wie, jak ma z niego wyjść. Słabe papiestwo nie znajduje w nikim oparcia. Na kim mógłby podeprzeć się dziś Ojciec Święty, jeżeli chciałby głosić ortodoksyjną wiarę? Nie ma już katolickich królów ani cesarzy. Friedrich Merz ani Emmanuel Macron nie będą taką podporą.

KOŚCIÓŁ POTRZEBUJE NOWEGO KONSTANTYNA

Przekonanie, że prawda obroni się sama, zbankrutowało. W rzeczywistości to my, zwykli ludzie, zaangażowani w sprawy społeczeństwa i świat polityki, jesteśmy niezbędnymi obrońcami prawdy. Jeżeli ją głosimy i umacniamy, przetrwa. Jeżeli wybieramy obojętność, zaginie. Mówiąc wprost, Kościół katolicki potrzebuje nowego Konstantyna. Potrzebuje władzy miecza, na której będzie mógł się oprzeć, by zapewnić wyznawcom Chrystusa swobodę kultu – i skutecznie bronić chrześcijańskiej kultury przed błędami, które w ostatecznym rozrachunku są przecież zawsze niszczycielskie dla samego człowieka. Liberalizm mówi, że państwo nie powinno popierać żadnej religii. Zastanówmy się jednak, jak wyglądałby nasz świat, gdyby państwa popierały nie jakąś-tam-religię, ale tę jedną, konkretną – katolicką. Co byłoby, gdyby prezydent Stanów Zjednoczonych wymusił na systemie politycznym swojego kraju kierowanie się nauką Kościoła? Dzieciobójstwo prenatalne zostałoby zakazane. Żadnego genderyzmu. Brak surogacji czy in vitro. Koniec z eutanazją. Państwowe wsparcie dla zdrowej moralności w kulturze. Cały aparat administracyjny nastawiony na wsparcie wielodzietnej rodziny złożonej z ojca i matki. Polityka zagraniczna, która pryncypialnie broni porządku katolickiego – koniec z ambasadorami, którzy wieszają tęczowe flagi. Idźmy dalej. A katolicka Unia Europejska?… Miraż – powie czytelnik. Ja powiem: nie miraż, ale stan docelowy. Przecież w USA coś już się wydarzyło. Administracja Donalda Trumpa, pełna katolików, podjęła wiele dobrych decyzji. O ile lepszym krajem są dziś USA niż kilka lat temu?! Tego trzeba więcej, bo katolickie państwo służy nie tylko Kościołowi. Służy wszystkim, bo jest oparte na prawie naturalnym, dobrym jako fundament cywilizacyjny w każdej szerokości geograficznej i w każdej epoce.

Nie da się uzdrowić Kościoła katolickiego bez wsparcia świeckich, w tym polityków. Nie da się uzyskać katolickiej polityki, jeżeli nie będzie się mieć przed oczami właściwego celu. Innymi słowy, potrzebujemy takich ludzi jak „Rycerze Chrystusa" opisani przez Andrzeja Solaka. Ludzi, którzy w dzisiejszych warunkach społecznych i politycznych wykażą się żelazną determinacją, by umacniać katolicki porządek i twardo zwalczać zło. W praktyce oznacza to przede wszystkim jedno: ostateczne pożegnanie z chadecją. Forma uprawiania „prawicowej" polityki, która polega na dokonywaniu kompromisów moralnych, musi zostać kategorycznie odrzucona. Nie mamy wpływu na to, co wydarzy się w Waszyngtonie, i tylko niewielki na to, co stanie się w Brukseli. Możemy jednak zadbać o to, żeby polska polityka była polityką katolicką. Potrzebujemy zdrowej obrony prawdy, to znaczy – obrony katolicyzmu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl df9201f649



Kadr z filmu dokumentalnego „Totart, czyli odzyskiwanie rozumu" w reżyserii Bartosza Paducha (2014) FOT. TVP2, NCK, PISF, DAREK DIKTI BIURO POMYSŁÓW

Czas magów



Filip Memches

Książka Daniela Muzyczuka to pasjonująca opowieść o kontrkulturze w Polsce i Rosji. Szkoda, że jest spaczona światopoglądowymi uprzedzeniami autora, który w jednym szeregu ustawił nieprzystające do siebie zjawiska, jak myśl konserwatywna III RP i rosyjski narodowy bolszewizm

Pod koniec roku 2025 w Polsce wrócił temat sekty Niebo. A to za sprawą sześcioodcinkowego serialu w reżyserii Bartosza Blaschkego, który zaczęła emitować platforma HBO Max. „Niebo. Rok w piekle" jest produkcją opartą na faktach przedstawionych w książce pt. „Niebo. Pięć lat w sekcie" Sebastiana Kellera. To główna postać serialu.

Ale spośród osób uwikłanych w Niebo Keller nie jest osobą powszechnie rozpoznawalną. W odróżnieniu od niego inny były członek tej sekty – Zbigniew Sajnóg – ma swoje miejsce w dziejach polskiej kultury. To poeta i performer z Trójmiasta. Jego działalność artystyczna oraz perypetie dotyczące Nieba są jednym z wielu wątków książki pt. „Zmierzch magów" Daniela Muzyczuka.

Autor to krytyk sztuki, obecnie dyrektor Muzeum Sztuki w Łodzi. Pozycja, o której mowa, jest oparta na napisanym po angielsku doktoracie Muzyczuka. Niedawno wyszła nakładem Wydawnictwa Krytyki Politycznej. Rdzeń „Zmierzchu magów" stanowi pasjonująca opowieść o kontrkulturze w krajach dawnego bloku wschodniego (chodzi zwłaszcza o Polskę i Rosję) oraz jej mocno nieoczywistej ewolucji w kierunku tego, co Muzyczuk uważa za prawicę, choć pojęcie to rozciąga na zaskakująco bardzo różne nurty polityczne i ideowe.

ZATONIĘCIE „HEWELIUSZA" – ZNAK Z GÓRY

Zanim Sajnóg trafił do Nieba, był charyzmatycznym liderem trójmiejskiej grupy Totart. Datująca się od roku 1986 działalność obejmowała poezję, muzykę, happeningi. Genezę nazwy grupy Sajnóg wyjaśniał następująco: „tot-ustrój totalizuje społeczeństwo, tot-społeczeństwo produkuje tot-sztukę". Totart wywoływał rozmaite skandale. Testował granice szoku i prowokacji. Towarzyszyły temu eksperymenty z odmiennymi stanami świadomości wywoływanymi przez substancje psychoaktywne. Muzyczuk w swojej książce oszczędził czytelnikom rozmaitych wstrząsających szczegółów, ale faktem jest, że podczas występów grupy dochodziło do bulwersujących scen. Można tu wymienić choćby emitowanie filmów pornograficznych z kolędami jako podkładem dźwiękowym.

W PRL Totart był związany z podziemnymi kręgami anarchistycznymi. Jednocześnie jego członkowie publikowali swoje wiersze na łamach „bruLionu". Główny oręż tego, wówczas nielegalnego, czasopisma, które redagował Robert Tekieli, stanowiły ironia i szyderstwo wymierzone nie tylko w beznadziejną, ponurą rzeczywistość PRL, lecz także – co trzeba mocno podkreślić – w przeniknięte patosem i powagą przekazy środowisk opozycyjnych (wyśmiewano choćby poezję Jana Polkowskiego). W „bruLionie" była szeroka przestrzeń dla epatowania różnymi skrajnościami, które stanowiły naruszanie wszelkich tabu – również tych, których strzegła związana z ruchem solidarnościowym etosowa lewicowo-liberalna inteligencja.

W latach 90. totartowcy odnaleźli się w warunkach nowego ustroju, tworząc choćby w TVP takie formaty jak „Lalamido, czyli porykiwania szarpidrutów" czy „Dzyndzylyndzy". W swoich programach telewizyjnych raczyli widzów absurdalnym poczuciem humoru.

Tymczasem Zbigniew Sajnóg przeszedł duchową przemianę. Ponoć jako znak z góry odebrał zatonięcie promu „Heweliusz" 14 stycznia 1993 r. Uznał swoją aktywność artystyczną za diabelstwo i zaczął palić nośniki, na których zarejestrowany był dorobek Totartu. A katalizatorem tego, co się działo z Sajnógiem, była jego znajomość z Bogdanem Kacmajorem, guru Nieba. Zawładnął on umysłem artysty. Wedle rozmaitych relacji człowiek ten obdarzony był zdolnościami paranormalnymi – m.in. leczył z chorób poprzez nakładanie na chore osoby swoich rąk i przewidywał przyszłość. Sekta Kacmajora funkcjonowała w gospodarstwie wiejskim w Majdanie Kozłowieckim na Lubelszczyźnie. Tam właśnie zamieszkał Sajnóg. Był przekonany, że w Niebie jest prawdziwe chrześcijaństwo, a na zewnątrz tej społeczności hula zło.

Z kolei Robert Tekieli poszedł inną niż Sajnóg ścieżką duchową. W połowie lat 90., po doświadczeniach z okultyzmem, wrócił na łono Kościoła katolickiego. To duchowe przesilenie redaktora „bruLionu" znalazło odzwierciedlenie również w tym czasopiśmie. Zaczęło ono być postrzegane przez lewicowo-liberalnych komentato-

eprasa.pl df9201f649

rów polskiego życia publicznego jako medium konserwatywne i katolickie. Natomiast Tekieli zajął się problemem zagrożeń duchowych, które niosą praktyki okultystyczne.

Zarówno Totart oraz „bruLion", jak i sekta Kacmajora to przeszłość. Ostatecznie Sajnóg uświadomił sobie, czym naprawdę była społeczność, do której trafił. I udało mu się Niebo opuścić. Wrócił do Trójmiasta. Z publicznych wypowiedzi, które wygłaszał już w drugiej dekadzie XXI w., można wnioskować, że zbliżył się do katolicyzmu. Wreszcie został współpracownikiem polityka Prawa i Sprawiedliwości, Kacpra Płażyńskiego.



DANIEL MUZYCZUK „ZMIERZCH MAGÓW" PRZEKŁAD: ŁUKASZ MOJSAK, WYDAWNICTWO KRYTYKI POLITYCZNEJ, WARSZAWA 2025

CZY LENIN BYŁ... GRZYBEM?

Innym ciekawym wątkiem „Zmierzchu magów" są losy ludzi z kręgów leningradzkiej, potem petersburskiej, bohemy artystycznej przełomu lat 80. i 90. Można tu wskazać choćby Siergieja Kuriochina. Ten zmarły w roku 1996 kompozytor i klawiszowiec był twórcą oryginalnej awangardowej muzyki, czerpiącej inspiracje m.in. z free jazzu i Nowej Fali. Ale w roku 1991 zdobył w chylącym się ku upadkowi ZSRS rozgłos z uwagi na to, że wziął udział, na antenie lokalnego leningradzkiego kanału sowieckiej telewizji państwowej, w happeningu, podczas którego próbował udowodnić, że Włodzimierz Lenin przemienił się z człowieka w... grzyba (czyli że wymienił wszystkie komórki ludzkie w swoim organizmie na komórki grzybowe), a sam przewrót bolszewicki okazał się efektem nadużywania przez wodza bolszewików grzybów halucynogennych.

Program telewizyjny, o którym mowa, jest już w Rosji owiany legendą. Kpina z Lenina w oczach ludzi urobionych przez oficjalną propagandę komunistów mogła się jawić jako akt obrazoburczy. Jednocześnie stanowiła czytelny przekaz dla osób wtajemniczonych w psychodeliczne toposy zachodniej kontrkultury.

Można byłoby pomyśleć, że Kuriochin był kontestatorem systemu sowieckiego, więc entuzjastycznie przyjął demontaż Związku Sowieckiego i wejście Rosji – jak się wtedy mogło wydawać – na drogę liberalnej demokracji. Tymczasem nic z tego. Nowy porządek przyniósł Rosjanom rozczarowanie. W Rosji mechanizmy demokratyczne zawiodły, bo stały się narzędziem brutalnego kapitalizmu, którego skutkami okazały się – jak czytamy w „Zmierzchu magów" – „komercjalizacja sfery publicznej, korupcja i ubóstwo większości społeczeństwa".

Kuriochin nie podzielał złudzeń odnośnie do kursu, który obrała jego ojczyzna. I związał się z Partią Narodowo-Bolszewicką. Ugrupowanie to bazowało na koncepcji Ernsta Niekischa – niemieckiego publicysty szczególnie aktywnego w okresie międzywojennym (w III Rzeszy represjonowanego) – której sednem była wrogość wobec liberalnych, mieszczańskich ideałów Zachodu. W jednym z wywiadów Kuriochin zastanawiał się nad możliwością rehabilitacji faszyzmu jako najwyższego stadium romantyzmu – pod warunkiem że zostałby on oczyszczony ze skojarzeń z ludobójstwem.

WZMOŻENIE „ANTYFASZYSTOWSKIE"

Tytuł książki Daniela Muzyczuka nawiązuje do tytułu głośnej pozycji „Le Matin des magiciens: Introduction au réalisme fantastique" („Świt magów: Wstęp do realizmu fantastycznego") z roku 1960. Napisało ją dwóch francuskich publicystów: Louis Pauwels i Jacques Bergier. Stanowi ona wyraz rozczarowania racjonalizmem, który naznaczył nowożytną cywilizację zachodnią. Pozycja ta przecierała na Zachodzie szlak popkulturowemu zainteresowaniu ezoterycznymi (tajemnymi) ścieżkami poznania – masowej modzie, do której przylgnęło określenie „New Age".

Natomiast książka Muzyczuka jest o irracjonalizmie jako orężu rozmaitych politycznych i religijnych szarlatanów – tytułowych magów – zatruwających Polaków oraz Rosjan apokaliptycznymi aberracjami, czyli uprawiających szeroko pojętą magię. Autor definiuje ją – ujmując rzecz w uproszczeniu – w kategorii zaklinania rzeczywistości wbrew rozumowi. Podatnym gruntem dla procesów, o których mowa w „Zmierzchu magów", okazała się pozostawiona po realnym socjalizmie pustynia duchowa. Przy czym warto zauważyć coś, co Muzyczuk przemilcza i co uwiera antykościelnie nastawioną lewicę. Otóż pustynia duchowa stanowiła nieporównywalnie większy problem w Rosji niż w Polsce – a to dlatego, że w PRL, mimo indoktrynacji komunistów, Kościół zachował duchowo immunizujący wpływ na Polaków. Ale zarazem – zdaniem łódzkiego krytyka sztuki – wraz z kresem realnego socjalizmu dała o sobie znać powtarzalność trendów: zacieranie granic między prowokacją artystyczną a polityką czy mistyczne interpretacje wydarzeń dziejowych to nic nowego – charakteryzowały one choćby modernizm w Europie początku XX stulecia.

Kłopot w tym, że perspektywa Muzyczuka jest spaczona jego światopoglądowymi uprzedzeniami. Z jednej strony autor „Zmierzchu magów" przyjmuje lewicowy punkt widzenia w odniesieniu do transformacji kapitalistycznej w krajach dawnego bloku wschodniego. Tym samym trafnie dostrzega oraz wskazuje kwestię ekonomicznego wykluczenia wielu osób. Z drugiej strony do magii zdaje się zaliczać wszystko, co go żenuje lub przeraża, czyli tak nieprzystające do siebie zjawiska, jak myśl konserwatywna III RP i rosyjski narodowy bolszewizm – tylko dlatego, że łączy je szarganie progresywno-liberalnych świętości.

I tak np. Muzyczuk przypomina, że w latach 90. na łamach czasopisma „Fronda" – którego redaktorzy inspirowali się „bruLionem" – zamieszczane były opinie rosyjskich narodowych bolszewików. I stwierdza, że oddziaływały one na młodych polskich konserwatystów ze środowiska tego medium. W ogóle pomija to, że publikowanie tych opinii nie oznaczało podpisywania się pod nimi, lecz bezstronną prezentację dziwnych, nieznanych – i tym samym intrygujących – treści. Choć przecież powinien zdawać sobie także sprawę z kontrkulturowej strategii „Frondy", czyli komunikowania się poprzez zgryw. Czyżby dał się na zabieg czasopisma nabrać?

Tak to już jest, gdy w dociekaniu tego, jak było naprawdę, górę bierze wzmożenie „antyfaszystowskie". Może ono podsunąć fałszywe tropy nawet najbardziej wytrawnym znawcom kontrkultury.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl df9201f649



Celowa prowokacja czy prężenie muskułów



Grzegorz Majchrzak

Wydawałoby się, że bydgoski marzec roku 1981 należy do najlepiej opisanych faktów z okresu tzw. solidarnościowego karnawału. Nic bardziej mylnego. Owszem, doskonale znany jest przebieg wydarzeń, ale ich kulisy już dużo mniej

Przypomnijmy zatem, co się wydarzyło. Otóż 19 marca 1981 r. na posiedzenie Wojewódzkiej Rady Narodowej w Bydgoszczy przybyli zaproszeni przez władze działacze Solidarności, zarówno tej robotniczej (na czele z przewodniczącym bydgoskiego Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego Janem Rulewskim), jak i rolniczej (Mariusz Łabentowicz i Michał Bartoszcze). Mieli oni w jego trakcie zaprezentować racje strajkujących rolników. Nie było im to jednak dane, gdyż sesję niespodziewanie – przed punktem, na który specjalnie przybyli – przerwano. W ramach protestu pozostali na sali, grożąc strajkiem okupacyjnym, i zaczęli – wraz z częścią radnych, która ich wsparła – formułować wspólny komunikat.
Nie było im dane go jednak skończyć. Związkowców – po długich negocjacjach – siłą usunęli funkcjonariusze Milicji Obywatelskiej. Poturbowani Bartoszcze, Łabentowicz i Rulewski trafili do szpitala. Spotkało się to ze zdecydowaną reakcją NSZZ „Solidarność". Jej władze – Krajowa Komisja Porozumiewawcza – uznały, że to, co zdarzyło się Bydgoszczy to „oczywista prowokacja, wymierzona w rząd premiera W[ojciecha] Jaruzelskiego", a także zdecydowały, iż „z powodu ataku na związek, jego władze i obrazę godności związku" odwołuje wszelkie rozmowy z władzami i wprowadza stan gotowości strajkowej dla całego związku. Decyzją KKP 27 marca 1981 r. został zorganizowany strajk ostrzegawczy, który był największym protestem w latach 1980–1981, demonstracją siły związku. KPP zapowiedziała, że cztery dni później – 31 marca – zorganizuje strajk generalny. Do tego ostatniego ostatecznie jednak nie doszło, gdyż 30 marca zostało podpisane tzw. porozumienie warszawskie. Władze zgodziły się na zarejestrowanie rolniczego związku,

eprasa.pl df9201f649



Obrady Krajowej Komisji Porozumiewawczej w Domu Kultury Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego w Bydgoszczy, marzec 1981 r.
FOT. GRZEGORZ ROGIŃSKI/PAP

a także wyraziły ubolewanie z powodu pobicia związkowców w Bydgoszczy i obiecały, że winni zostaną pociągnięci do odpowiedzialności. Tak na marginesie reprezentanci obu stron, sygnując je, przekroczyli swoje uprawnienia, co wywołało szczególnie silne kontrowersje wśród działaczy Solidarności.

Podstawowe pytanie, na które do dziś nie znamy odpowiedzi, brzmi: Czym w istocie były wydarzenia bydgoskie z marca 1981 r.? Czy były one celową prowokacją czy prężeniem muskułów przez polskich towarzyszy przed starcami z Kremla? A może wypadkiem przy pracy, sytuacją, która wymknęła się spod kontroli? Czy może wręcz przymiarką do siłowej pacyfikacji Solidarności? A jeśli prowokacją, to czyją? Ta zresztą wydaje się najbardziej prawdopodobna. Zresztą stojący wówczas na czele NSZZ „Solidarność" Lech Wałęsa ostrzegał przed nią Rulewskiego, zanim doszło do pobicia jego i jego kolegów. Na początku 1981 r. powszechna była zresztą pogłoska, że pobicie miało być rzekomo dziełem twardogłowych w partii. Taką też wersję w rozmowie z pracownikiem ambasady USA w Warszawie Arthurem Skopem sugerował również znany dziennikarz i reportażysta Ryszard Kapuściński. Jak zapisał jego amerykański rozmówca, podał on „przytaczaną często przez »Solidarność« wersję incydentu z Bydgoszczy: była to prowokacja przeciwko Jaruzelskiemu, przygotowana przez [Tadeusza] Grabskiego w nadziei na doprowadzenie do szerokich zamieszek i interwencji radzieckiej lub przynajmniej do ogłoszenia stanu wyjątkowego".

„ODCINKOWA KONFRONTACJA"?

W przypadku prowokacji tropy wiodą raczej prosto na Rakowiecką. To właśnie w MSW, kierowanym w tym czasie przez przedstawiciela frakcji partyjnego „betonu" Mirosława Milewskiego, w grudniu 1980 r. przedstawiono założenia tzw. taktyki odcinkowych konfrontacji, w którą wydarzenia z marca 1981 r. doskonale się wpisują. Na czym miała ona polegać? Najkrócej rzecz ujmując, na celowym prowokowaniu konfliktów, a następnie ich dyskontowaniu dzięki „zsynchronizowaniu akcji politycznych i propagandowych" oraz pracy operacyjnej MSW, czyli de facto Służby Bezpieczeństwa. Szczególnie liczono na propagandę, która „powinna konkretnie i rzeczowo atakować przeciwnika i być przekonywującą dla społeczeństwa". Celem zaś odcinkowych konfrontacji było „neutralizowanie i sprowadzenie do defensywy sił antysocjalistycznych". Przy czym uderzenie w część opozycji (głównie w Komitet Obrony Robotników) oraz działaczy Solidarności uznanych przez SB za niebezpiecznych radykałów miało mieć „charakter działań selektywnych, odpowiednio przygotowanych, poprzedzonych analizą możliwości osiągania efektów i ukierunkowanych na wytypowane zjawiska, ośrodki i ludzi". Jak zakładano, taktyka ta miała dawać „większe szanse zabezpieczenia przed powstaniem stanu konfrontacji generalnej". Co niezwykle istotne liczono się jednak z tym, że „każde […] jednostkowe działanie może wywołać reakcję przeciwnika, uruchamiającą napięcia i zderzenia lokalne, regionalne, a nawet konfrontację w skali całego kraju pomiędzy społeczeństwem a władzą".

Nie ulegało wątpliwości, że pobicie czołowych działaczy rolniczej, a zwłaszcza robotniczej Solidarności, musi doprowadzić do konfrontacji z władzami PRL. Najprawdopodobniej nieprzypadkowo też najbardziej poturbowany został Jan Rulewski. Był on wręcz idealnym kandydatem, gdyż trzy dni wcześniej miał wypadek samochodowy, w którym zginął potrącony przez niego człowiek. Nie wydarzyło się to co prawda z jego winy, ale dawało doskonały pretekst do atakowania go. Do zarzucania mu, że rzekomo celowo wywołał awanturę, aby w ten sposób odwrócić uwagę od swojego wypadku oraz uniknąć odpowiedzialności za jego spowodowanie. Sprzyjał temu również fakt, że 18 marca 1981 r. miał się on stawić w tej sprawie w prokuraturze na przesłuchanie. Termin ten – na prośbę zainteresowanego – ostatecznie przełożono, przy czym jednocześnie zmieniono mu status ze świadka na oskarżonego… Po pobiciu Rulewski stał się oczywiście przedmiotem nagonki z udziałem nie tylko rządowych mediów, lecz także aparatu bezpieczeństwa (nie tylko SB, lecz także ściśle z nią współpracującej Wojskowej Służby Wewnętrznej), które m.in. zorganizowały wymierzoną w niego akcję ulotkową.

Tak na marginesie wersję o prowokacji ze strony Rulewskiego – przynajmniej w wąskim zapewne gronie wtajemniczonych – mogły podsycać doniesienia tajnego współpracownika „Zenona", czyli Stanisława Kuczyńskiego, do którego głównych zadań w tzw. solidarnościowym karnawale należało zresztą zbieranie informacji o bydgoskim MKZ i jej przewodniczącym. Informował on SB, że Rulewski, owszem, dostał, ale nie od milicjanta, lecz od kolegów z Solidarności, i to na swoją prośbę, aby zrzucić potem winę na władze… Ta wersja się nie potwierdziła. Inna sprawa, że – jak po latach przyznał sam Rulewski – funkcjonariusze MO nie potraktowali szczególnie brutalnie ani jego, ani też innych usuwanych z sali obrad związkowców. Nie wybito mu też – wbrew krążącym w marcu 1981 r. pogłoskom,

eprasa.pl df9201f649



Wkroczenie funkcjonariuszy MO i SB na salę obrad Wojewódzkiej Rady Narodowej w Bydgoszczy, 19 marca 1981 r.
FOT. STEFAN KRASZEWSKI/PAP

co podsyłały jego zdjęcia ze szpitala – zębów, wypadła mu jedynie proteza.

Niezwykle ciekawe są również kulisy upublicznienia nagrania z wydarzeń w Wojewódzkiej Radzie Narodowej z Bydgoszczy. Trzeba w tym miejscu dodać, że jedynie nagrania magnetofonowego, choć usunięcie związkowców z sali WRN filmowała MO. Brak obrazu nadawał mu dramatyzmu (szczególne wrażenie robiły okrzyki Rulewskiego w rodzaju: „Biją!, „Jezus Maria!"), które obraz ewidentnie łagodził. Tym bardziej że w nagranym filmie żadnego pobicia nie zarejestrowano. Co innego ścieżka dźwiękowa. Ta robiła ogromne wręcz wrażenie. I podgrzała niewątpliwie i tak napiętą atmosferę, gdyż została upubliczniona przez solidarnościowych radiowców. Zarówno przez tych z Warszawy, jak i – niezależnie od nich – przez ich kolegów z Wrocławia. W obu przypadkach – dziwnym trafem – kluczową rolę odegrali tajni współpracownicy Służby Bezpieczeństwa. W stolicy był to Marek Chlebowicz, czyli TW „Mikołaj", który do Warszawy nagranie – jak twierdził – przywiózł z Bydgoszczy 20 marca. Następnego dnia jego koledzy – z Radia Solidarność Regionu Mazowsze Redakcji Programów dla Radiowęzłów Zakładowych, którego zresztą był pomysłodawcą – rozesłali po całym kraju ok. tysiąca kaset. Ponieważ nie zachowała się jego teczka personalna tajnego współpracownika, w której znajdowały się m.in. zalecenia funkcjonariuszy, które otrzymał jako TW, oraz informacje o wykonywanych przez niego zadaniach dla SB, nie mamy pewności, że w tym przypadku realizował jej zlecenia. Tym bardziej że – jak wynika z tym razem zachowanej jego teczki pracy tajnego współpracownika – pierwsze informacje o tym radiu miał on przekazać funkcjonariuszom dopiero na początku kwietnia 1981 r. I to mimo że współpracował z SB już od pięciu lat – zwerbowano go do rozpracowania korespondentów zachodnich. Niewykluczone zresztą, że Chlebowicz wspomnianego nagrania nie przywiózł wcale z Bydgoszczy, lecz korzystał z materiału nagranego przez swojego kolegę z telewizyjnej Solidarności Andrzeja Newelskiego. Ten ostatni przegrywał w TVP materiały dla Biura Politycznego KC PZPR, a potajemnie kopiował ich ścieżkę dźwiękową. Jak było? Tego zapewne się już nie dowiemy. Tym bardziej że Chlebowicz zmarł.

Także audycja Sekcji Radiowej NSZZ „Solidarność" Region Dolny Śląsk poświęcona wydarzeniom bydgoskim została przygotowana przez tajnego współpracownika o pseudonimie Sylwia, czyli Urszulę Smerecką. Również w jej przypadku – ze względu na zniszczenia akt – nie dowiemy się, czy przypadkiem nie realizowała ona w tym przypadku zlecenia Służby Bezpieczeństwa…

STAN WOJENNY „POD OSŁONĄ" WOJSK UKŁADU WARSZAWSKIEGO?

Mniej prawdopodobna niż „odcinkowa konfrontacja" wydaje się wersja, że wydarzenia, które rozegrały się w Bydgoszczy, były działaniem w celu doprowadzenia do siłowej rozprawy z opozycją (głównie solidarnościową) przy ewentualnym udziale wojsk Układu Warszawskiego. Głównie z tego powodu, że stojący wówczas na czele partii i państwa Kania był konsekwentnie – w latach 1980–1981 – przeciwny nie tylko stanowi wojennemu, lecz także „bratniej pomocy", a działania „sił porządkowych" w sali WRN miały się rozegrać nie tylko za jego wiedzą, lecz także zgodą. Nie można jednak tej wersji całkiem wykluczyć, gdyż rzeczywiście przymiarki do stanu wojennego były wówczas – o czym dalej – bardzo zaawansowane. A kiedy doszło do pobicia działaczy Solidarności, trwały na terenie Polski – od 16 marca 1981 r. – manewry wojsk Układu Warszawskiego „Sojuz-81". I zostały one – na prośbę polskich towarzyszy – przedłużone do 7 kwietnia. Czy tylko dlatego, że były one doskonałym pretekstem do nacisku na działaczy NSZZ „Solidarność", którzy obawiali się wówczas możliwości „bratniej pomocy"? Niekoniecznie. 15 marca planiści z MON i MSW przygotowali „Notatkę służbową dot. gotowości wprowadzenia stanu wojennego w kraju ze względu na bezpieczeństwo państwa". Przewidywano w niej trzy możliwe warianty rozwoju sytuacji w przypadku tego siłowego działania. I w tym najbardziej niekorzystnym dla władz, ze strajkami i gwałtownymi demonstracjami ulicznymi w całym kraju, które miały tłumić wojsko oraz milicja, zakładano również, że „nie wyklucza się pomocy wojsk Układu Warszawskiego".

Na początku 1981 r. powszechna była pogłoska, że pobicie Jana Rulewskiego miało być rzekomo dziełem twardogłowych w partii

A przygotowania do wprowadzenia stanu wojennego w marcu 1981 r. były zaawansowane. Do tego stopnia, że – jak twierdził po 13 grudnia 1981 r. polski ambasador w Japonii Zdzisław Rurarz, który zdezerterował i poprosił o azyl polityczny w Stanach Zjednoczonych – miał być wręcz wówczas wprowadzony. Przez wiele lat nie udało się tego potwierdzić

eprasa.pl df9201f649

i wskazywały na to jedynie poszlaki. Jedną z nich był pierwotny kryptonim całej operacji – Wiosna, zmieniony po ucieczce z kraju płk. Ryszarda Kuklińskiego. Tak na marginesie kalendarzowa wiosna przypadała dwa dni po zdarzeniach, do których doszło w Bydgoszczy. Inną poszlaką jest fakt, że najstarsza zachowana wersja dekretu o stanie wojennym – wówczas jeszcze pod pierwotną nazwą „Dekret o ochronie bezpieczeństwa państwa i porządku publicznego w okresie obowiązywania stanu wojennego" – była datowana właśnie na marzec 1981 r. Kluczowy dowód stopnia zaawansowania przygotowań można znaleźć jednak w opublikowanych niedawno materiałach MSZ. Jest wśród nich okólnik ministra spraw zagranicznych Józefa Czyrka z 30 marca 1981 r., w którym nakazywał on pozaeuropejskim polskim placówkom zagranicznym podjąć „przedsięwzięcia zabezpieczające" na wypadek wprowadzenia – wobec groźby strajku generalnego – stanu wojennego w Polsce. To oczywiście pokłosie posiedzenia Biura Politycznego KC PZPR z 27 marca, w którego trakcie Kania co prawda opowiadał się za dalszymi rozmowami z kierownictwem Solidarności, ale w przypadku ich niepowodzenia stwierdzał, że „może okazać się niezbędne wprowadzenie stanu wojennego".

„NIE BĄDŹCIE NARZĘDZIEM UCISKU I ŚMIERCI"

W niezwykle napiętej sytuacji w kraju, która była w drugiej połowie marca 1981 r., w kilku regionach związku przygotowano krótkie wytyczne na wypadek podjęcia działań siłowych przeciwko NSZZ „Solidarność". Miały one charakter wariantowy, na wypadek: 1) ogłoszenia strajku generalnego przez kierownictwo związku; 2) wprowadzenia stanu wyjątkowego; 3) interwencji z zewnątrz. Są one powszechnie znane. W przeciwieństwie do ulotek przygotowanych w Gdańsku przez działający w tym czasie Międzyzakładowy Komitet Strajkowy NSZZ „Solidarność" w tym mieście. Były one załącznikiem do wspomnianych wcześniej wytycznych, który miano otworzyć „w przypadku ogłoszenia stanu wyjątkowego bądź interwencji z zewnątrz". Zawierały one odezwy (apele) do żołnierzy (ludowego) Wojska Polskiego, żołnierzy sowieckich, a także funkcjonariuszy MO i SB. Dla każdej z tych grup opracowano przynajmniej po dwie wersje, np. w przypadku żołnierzy sowieckich jedną (obszerniejszą) w języku polskim, a drugą (krótszą) po rosyjsku. W tej ostatniej pisano m.in.: „Nie wiemy, co Wam powiedziano. Ale powinniście znać prawdę. Przybyliście tutaj walczyć z wolnością, demokracją i socjalizmem, z robotnikami, którzy chcą być gospodarzami w swoim kraju". I apelowano: „Żołnierze, nie dopuśćcie do tego, by imię Waszej armii i Waszych narodów zostało przeklęte przez naród Polski, tak jak uczynili to Węgrzy w 1956 r. i Czesi w 1968 r. Nie bądźcie narzędziem ucisku i śmierci, do uczynienia z polskiej ziemi cmentarza, w którym i Wy zostaniecie pogrzebani". Z kolei do funkcjonariuszy MO i SB zwracano się m.in.: „Nadszedł czas, kiedy musicie zdecydować, czy jesteście z narodem czy służycie skompromitowanej grupie, która jest gotowa do każdej zbrodni, aby tylko zachować władzę i przywileje". Wzywano ich do odmawiania wykonywania tych rozkazów przełożonych, które „służą agresorom i zdrajcom naszej ojczyzny", porzucenia służby w szeregach MO i SB, a nawet użycia broni „przeciwko naszym wspólnym wrogom". Natomiast do polskich żołnierzy pisano, wbrew zresztą faktom: „Pamiętajcie, że nigdy w historii Wojsko Polskie nie występowało przeciwko narodowi, któremu i Wy składaliście przysięgę". W przypadku wkroczenia wojsk Układu Warszawskiego wyrażano zaś wiarę: „W godzinie próby wykonacie Wasz zaszczytny obowiązek obrony Ojczyzny, obrony Waszych Domów, Waszych Rodzin".

W aktach dotyczących rozpracowania kierownictwa Solidarności pojawiła się tajemnicza informacja, która mogła być zakamuflowaną propozycją likwidacji Lecha Wałęsy i zrzucenia odpowiedzialności za ten czyn na „związkową ekstremę"

Co ciekawe, autorzy tych ulotek – podobnie jak planiści stanu wojennego z MON i MSW – zakładali możliwość, że wprowadzenie stanu wojennego (w ulotce wyjątkowego) może doprowadzić do „bratniej pomocy". Ten element znalazł się w jej wersji przeznaczonej dla milicjantów i esbeków. Przestrzegano ich: „Pamiętajcie, że Wasze działania mogą być wstępem do interwencji z zewnątrz".

W trakcie kryzysu bydgoskiego – w aktach dotyczących rozpracowania kierownictwa Solidarności (KKP) – pojawia się tajemnicza informacja: „Elementy ekstermalne [tak w oryginale – przyp. G.M.] mogą zdecydować się na fizyczne unicestwienie (zamach) L. Wałęsy w okolicznościach sprzyjających obciążeniem za zamach SB lub MO". To nie wszystko, wymieniane są również okoliczności, w których może do tego dojść: „podczas konsumowania posiłku, podczas pobytu w miejscach publicznych, podczas kontaktów z innymi osobami, np. M[ałgorzatą] Duchniewską [pracownicą Interpressu – przyp. G.M.], podczas przejazdu do innych miejscowości w kraju, w pokoju hotelowym lub w mieszkaniu własnym". Typowani są nawet potencjalni „zamachowcy", w tym imiennie Andrzej Kołodziej, Andrzej Rozpłochowski oraz Rulewski. Co prawda, w omawianym dokumencie mowa również o działaniach w celu zapewnienia ochrony przewodniczącemu Solidarności, ale – jak się zdaje – bardziej prawdopodobne wydaje się, że stanowił on zakamuflowaną propozycję jego likwidacji i zrzucenia odpowiedzialności za ten czyn na „związkową ekstremę", która rzekomo odpowiedzialnością za to chciała obciążyć funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa... Bo – co trzeba dodać – inne zgromadzone we wspomnianych aktach materiały nie wskazują na takie zamiary związkowych radykałów czy choćby rzucane w towarzyszących legalnej działalności Solidarności emocjach groźby z ich strony, w rodzaju „Jeśli..., to cię zabiję". Trudno też je uznać za przejaw głupoty czy nadmiernej fantazji funkcjonariuszy, którzy zresztą – dziwnym trafem – nie sygnowali wspomnianych rewelacji swoim nazwiskiem, co jest we wspomnianym akcie wyjątkiem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN.

eprasa.pl df9201f649



KOMUCHOŻERCA

Bohaterszczyzna

LESZEK ŻEBROWSKI

Jak to się stało, że po 1989 r. ugrupowania komunistyczne z okresu okupacji niemieckiej, nadal były uznawane za „polskie organizacje niepodległościowe", cieszyły się przywilejami i dotacjami? Czy to był tylko brak woli politycznej, żeby przynajmniej w tym zakresie doprowadzić do dekomunizacji, aby bandyci nie byli zrównywani z bohaterami Polskiego Państwa Podziemnego? Brak odpowiedniej reakcji opinii publicznej rozochocił jeszcze bardziej przedstawicieli poprzedniego reżimu, dlatego nadal ukazują się książki i artykuły, w których Polskie Państwo Podziemne odzierane jest ze swego wspaniałego dorobku, który przypisuje się komunistom. Całkowicie bezkarnie, bo przecież mamy „tolerancję", „państwo prawa" i „wolność słowa". Dlatego warto wciąż przypominać naszą przeszłość chwalebną, jak również tę najbardziej paskudną.

Oto jeden z pierwszych „oddziałów partyzanckich Gwardii Ludowej", który w publikacjach dokonywał czynów wprost bohaterskich. Ale w konfrontacji z dokumentami i wspomnieniami, których później wstydliwie nie przypominano, rzecz wyglądała zupełnie inaczej. Oto rzekomy oddział GL niejakiego Franciszka Ciastka „Owijacza" (czyli… onucy), działający na lewym brzegu Wisły na Mazowszu Południowym. Jego wspomnienia zostały wydane drukiem w 1971 r. Autor zaczął bardzo mocno, jak Alfred Hitchcock, a później już tylko eskalował napięcie czytelnika: „Do jakiejś konkretnej roboty trudno nam się było zabrać. Przerzucaliśmy się z miejsca na miejsce bez żadnej akcji. W jednej wsi towarzysze dawali nam karabiny, ale myśmy ich nie wzięli, bo były nam niewygodne do ukrycia". Jak to, „partyzanci nie chcieli broni, karabinów? Dlaczego? Bo do rabunku po wsiach wystarczały pistolety, łatwe do ukrycia pod kapotą. Akcji zbrojnych przeciwko Niemcom po prostu nie było! Ale coś jednak było: w Drzewicy w fabryce noży „zabraliśmy kasę". Ponadto „przeprowadzaliśmy akcje na urzędy gminne, konfiskowaliśmy pieniądze". W innym miejscu „spaliliśmy sześć stert ze zbożem".

Dramatycznie wygląda też rzekoma akcja „na landrata" w Walewicach. Był to majątek ziemski w powiecie łowickim, należący do Walewskich, herbu Pomian. Komunistyczni bojcy włamali się do budynku, a tam: „W drzwiach na wprost zobaczyliśmy karabin wymierzony w naszą stronę. Towarzysz stojący za mną strzelił, ktoś upadł". Okazało się, że żadnego karabinu nie było, ranna została kobieta, obok niej siedział „starszy, siwy człowiek". Niemcy tam nie stacjonowali.

Takim „heroizmem" karmieni byli Polacy przez dziesiątki lat. Został on utrwalony w politgramocie oraz lekturach i nikt już tego nie odkręci. Niestety. ©℗



HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Pożegnanie z Wawelem

SŁAWOMIR KOPER

Nie jest prawdą, że renesans pojawił się w Polsce wraz z królową Boną. Faktycznie przywiozła ona do Polski wiele nowinek, w tym włoskie obyczaje kulinarne, ale architektura odrodzenia zagościła nad Wisłą kilkanaście lat wcześniej. Wznoszenie renesansowej rezydencji wawelskiej rozpoczęto już w 1502 r., a projekt przewidywał budowę kolejnych gmachów pałacowych. Powstałe trzy skrzydła mieszkalne zostały połączone ze sobą, otaczając pięciokątny dziedziniec, który od południa został ograniczony murem parawanowym.

Przebudowę ukończono w 1536 r., jednak jeszcze w tym samym roku pożar poważnie uszkodził skrzydła południowe i wschodnie. Rok później przystąpiono do odbudowy, którą ukończono dopiero po 12 latach.

Kolejny katastrofalny pożar wybuchł pod koniec stycznia 1595 r. Sytuację pogorszył fakt, że kataklizm miał miejsce w niedzielę, gdy znaczna część służby przebywała na weselu jednego z woźniców zamkowych. Silny mróz spowodował też, że zamarzły ujęcia wody. Wybuchła panika, dwór pakował cenniejsze rzeczy w skrzynie, które spuszczano przez okna, a na koniec luzem wyrzucano stroje i kosztowności. Zwabiło to licznych złodziei, którzy pod pozorem ratowania królewskiego dobytku rabowali, co się dało. Straty dworu oceniano na 15 tys. florenów, czyli ok. 4 mln euro. A do tego dochodziły jeszcze poważne zniszczenia części rezydencjonalnej zamku.

W tej sytuacji Zygmunt III Waza na czas odbudowy przeniósł się wraz z dworem do Warszawy (przybył 16 marca 1596 r.). Z czasem miasto stało się królewską siedzibą, o czym zadecydował fakt położenia bliżej Wilna i północno-wschodnich granic kraju, które były wówczas najbardziej zagrożone. Warto jednak pamiętać, że jeszcze przez wiele pokoleń Kraków uchodził za stolicę Rzeczypospolitej. Monarchów koronowano w katedrze wawelskiej aż do schyłku epoki saskiej i dopiero Stanisław August Poniatowski zarządził inaugurację swoich rządów w Warszawie.

Natomiast podczas odbudowy Wawelu po tragicznym pożarze ze stycznia 1595 r. powstały dwie wieloboczne wieże nakryte barokowymi hełmami. Jedna z nich nosi obecnie nazwę Zygmunta III, a druga jest nazywana basztą Jana III Sobieskiego, chociaż władca ten nie miał nic wspólnego z jej powstaniem i urodził się dopiero kilka lat po jej ukończeniu. Ale w czasie swojego panowania przyczynił się do odnowienia wawelskiego zamku, co zadecydowało o nazwaniu wieży jego imieniem. ©℗

eprasa.pl df9201f649

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl df9201f649

Moskwa – Warszawa przegrana sprawa



Maciej Pieczyński

Kreml ma w Polsce nowego ambasadora. Nie można jednak mówić o żadnej „dobrej zmianie”. Rosjanie mają o nas gorsze zdanie niż nawet o Ukraińcach. I uważają nas za największych wrogów



Dekretem Władimira Putina Gieorgij Michno (na zdjęciu) został mianowany ambasadorem nadzwyczajnym i pełnomocnym Federacji Rosyjskiej w Polsce FOT. RIA NOVOSTI

W lutym 2020 r. wybuchł mały dyplomatyczny skandal na linii Moskwa – Waszyngton. Ówczesny wicedyrektor Departamentu do spraw Nowych Zagrożeń i Wyzwań rosyjskiego MSZ, Gieorgij Michno, nie otrzymał amerykańskiej wizy. Oburzenie tym faktem wyraził stały przedstawiciel Rosji przy ONZ Wasilij Niebienzia. Oskarżył wówczas Amerykanów o niewypełnienie zobowiązań dotyczących wydawania wiz dyplomatycznych. Michno miał wtedy wziąć udział w konferencji ONZ poświęconej walce z terroryzmem. Według doniesień medialnych nie został wpuszczony do USA z uwagi na swoje powiązania z rosyjskimi służbami. W maju 2023 r. ukraińska agencja OSINT „Molfar” opublikowała dane 167 osób współpracujących ze Służbą Wywiadu Zagranicznego (SWR). Na liście znalazł się m.in. Gieorgij Michno. Według „Molfara” był oficerem Zarządu „A” SWR, w którym stał na czele Departamentu Współpracy Ogólnoeuropejskiej.

Dekretem Władimira Putina 3 marca Michno został mianowany ambasadorem nadzwyczajnym i pełnomocnym Federacji Rosyjskiej w Polsce. Nie po raz pierwszy zresztą. Już 25 lipca 2025 r. na oficjalnej stronie, publikującej akty prawne, pojawiła się informacja o nominacji Michny na przedstawiciela Moskwy w Warszawie. Godzinę później dokument jednak zniknął. Przyczyny nie są znane. Według informacji dziennika „Kommiersant” przedwczesna publikacja dekretu wynikała z „awarii technicznej”, a ostateczna nominacja ambasadora zostanie ogłoszona „w ustalony sposób, gdy zapadnie odpowiednia decyzja”. Zdaniem części ekspertów w rzeczywistości mógł to być test, by sprawdzić, jak strona polska przyjęłaby taką nominację.

ZMIANA WARTY

Kim jest Michno poza tym, że od kilkunastu dni ambasadorem Rosji w Polsce i najprawdopodobniej agentem rosyjskiego wywiadu? Rocznik 1972. Stosunkowo młody jak na rosyjskiego dyplomatę. Ukończył historię na prestiżowym Moskiewskim Uniwersytecie Państwowym (MGU) im. Łomonosowa. Po studiach pracował w MSZ. Sprawował funkcje w rosyjskich przedstawicielstwach dyplomatycznych przy ONZ, przy Radzie Europy w Strasburgu. W latach 2017–2018 był stałym przedstawicielem Moskwy przy organizacjach międzynarodowych w Wiedniu. Kierował Departamentem Współpracy Ogólnoeuropejskiej MSZ. Według ukraińskich analityków dokładnie tą samą komórką zarządzał równolegle w SWR. Zanim objął placówkę w Warszawie, pełnił funkcję wicedyrektora Departamentu do spraw Nowych Wyzwań i Zagrożeń w MSZ Rosji. Nazwa tej komórki niewiele mówi i brzmi niegroźnie. Tymczasem, jak wskazują eksperci, jednostka ta zaangażowana jest w działania ofensywne prowadzone pod przykryciem dyplomatycznym.

Gieorgij Michno zastąpił o 14 lat starszego Siergieja Andriejewa, który karierę dyplomatyczną zaczął jeszcze w głębokich czasach sowieckich, na początku lat 80., placówkę w Warszawie objął zaś w 2014 r. O poprzednim ambasadorze najgłośniej było, gdy podczas złożenia kwiatów poległym czerwonoarmistom 9 maja 2022 r. w Warszawie został oblany czerwoną farbą. Wcześniej spore kontrowersje wywołał wywiad dyplomaty, opublikowany tuż po inwazji na Ukrainę (choć przeprowadzony przed wybuchem wojny) na łamach tygodnika „Sieci”. Andriejew chętnie też spotykał się z przedstawicielami prorosyjskich środowisk w Polsce. Na początku wojny wystąpił

eprasa.pl df9201f649

w propagandowym programie Władimira Sołowjowa. Pytany o wypowiedź gen. Waldemara Skrzypczaka na temat „okupowanego przez Rosjan" Królewca, zacytował słowa Stalina, który zauważył, że Warszawa była kiedyś częścią Imperium Rosyjskiego. Andriejew (nawiasem mówiąc, świetnie mówiący po polsku; nic nie wiadomo o podobnego rodzaju zdolnościach jego następcy) w swoich wypowiedziach niczym nie wyróżniał się na tle kremlowskiej narracji, powtarzając kluczowe jej hasła. W tym względzie nie należy spodziewać się żadnej zmiany. Michno, tak jak Andriejew, będzie jedynie wykonawcą rosyjskiej polityki zagranicznej.

WYMIANA „UPRZEJMOŚCI"

Ta zaś pozostanie wobec Zachodu (w tym Polski) wroga tak długo, jak długo trwać będzie konflikt na Ukrainie. Polska, podobnie jak inne państwa Unii Europejskiej, znajduje się na liście państw nieprzyjaznych Rosji. Do polepszenia relacji nie prowadzą również konkretne działania Warszawy. Pod koniec ubiegłego roku władze polskie zadecydowały o zamknięciu rosyjskiego konsulatu w Gdańsku. Przejęty został również budynek, w którym mieściła się placówka. W odpowiedzi Moskwa zredukowała liczbę pracowników polskiego personelu dyplomatycznego i konsularnego. Zamknęła też Konsulat Generalny RP w Irkucku. Wcześniej, pod koniec 2024 r., decyzją polskich władz zaprzestał działalności rosyjski konsulat w Poznaniu. W ramach odwetu Rosjanie zamknęli konsulat w Sankt Petersburgu. Wymiana wzajemnych „uprzejmości" objęła również placówki w Krakowie i w Królewcu (lato 2025 r.). Schemat zawsze był ten sam: Warszawa zamyka Moskwie placówkę i wydala rosyjskich dyplomatów, po czym Moskwa odwdzięcza się tym samym.

Polsko-rosyjska wojna dyplomatyczna wybuchła tuż po wybuchu wojny rosyjsko-ukraińskiej. W marcu 2022 r. Polska wydaliła 45 rosyjskich dyplomatów, podejrzanych o szpiegostwo i działalność przeciwko stabilności RP. W ramach retorsji w następnym miesiącu Rosja wydaliła 45 polskich dyplomatów.

W rezultacie obecnie ani Rosja w Polsce, ani Polska w Rosji nie mają ani jednego konsulatu. Na dyplomatycznej przepychance cierpią zwykli obywatele po obu stronach granicy, pozbawiani opieki konsularnej. Dziś mogą ją otrzymać jedynie w ambasadach. Rosjanie w Polsce muszą jeździć do Warszawy. Biorąc pod uwagę geografię, gorzej mają Polacy w Rosji. Ci mieszkający na Syberii, gdzie i tak odległości są ogromne, muszą w razie konieczności jeździć aż do Moskwy. Biorąc pod uwagę fakt, że więcej Polaków żyje w Rosji niż Rosjan w Polsce, na tej wymianie ciosów więcej traci Warszawa niż Moskwa. Nic nie wskazuje też na to, by w związku ze zmianą na stanowisku ambasadora rosyjskiego doszło do ocieplenia we wzajemnych relacjach. Szczególnie że relacje te są funkcją stosunków na linii Rosja – szeroko rozumiany „kolektywny Zachód", ten zaś nie zamierza szukać z Moskwą porozumienia.

POLSKA, CZYLI WRÓG

W Polsce rośnie niezadowolenie z polityki uległości wobec Kijowa. Wzrost nastrojów niechętnych Ukrainie sprawia, że również nastawienie wobec Moskwy nad Wisłą zdaje się ewoluować. Jednak sami Rosjanie wciąż uważają Polaków za swoich wrogów. Niemieckie stowarzyszenie Deutsche Sacharow Gesellschaft zleciło niezależnemu (i powszechnie uważanemu za rzetelne) Centrum Lewady przeprowadzenie sondażu, w którym respondenci zostali poproszeni o wskazanie największego wroga Rosji. Wyniki badania (wykonanego na próbie 1612 osób ze 137 miejscowości na przestrzeni kilku miesięcy 2025 r.) opublikowano pod koniec stycznia. Najwięcej głosów otrzymały Polska i Litwa – po 62 proc. Trochę mniej, bo 57 proc. Rosjan, wskazało na Wielką Brytanię jako na największego wroga ich kraju. 18 proc. respondentów uznało Polskę za konkurenta, 6 proc. – za partnera, tylko 2 proc. – za przyjaciela Rosji. Opcję „nie wiem" wybrało 12 proc. pytanych. Co ciekawe, USA wrogiem Rosji nazwało jedynie 27 proc., a konkurentem – 53 proc. Widoczny jest wpływ Donalda Trumpa i jego prób porozumienia z Moskwą. Również w kremlowskich mediach Stany Zjednoczone częściej przedstawiane są w ostatnim czasie jako konkurent niż wróg.

W tym samym badaniu padło też pytanie o to, który kraj stanowi realne zagrożenie dla Rosji. Tutaj akurat, z wynikiem 73 proc., liderują USA, zapewne z uwagi na swój potencjał. Polska zajmuje jednak wysokie, trzecie miejsce, tuż za Wielką Brytanią (42 proc.) z rezultatem 36 proc. głosów. Pod koniec ubiegłego roku Centrum Lewady opublikowało wyniki jeszcze jednego sondażu (próba: 1606 osób ze 137 miejscowości w 50 podmiotach Federacji). Rosjanie pytani byli o swój stosunek do USA, Niemiec, UE, Wielkiej Brytanii, Ukrainy i Polski. Najwięcej ciepłych słów padło pod adresem Ameryki, w czym znowu można dostrzec efekt Trumpa. „Bardzo dobrze" lub „raczej dobrze" do USA odnosi się 34 proc. badanych (a w pewnym momencie po wyborze Trumpa było to aż 48 proc.). Jak się okazało, najgorsze zdanie respondenci mają wcale nie na temat Ukrainy, tylko na temat Polski. Choć trzeba przyznać, że z naszym sąsiadem w tym badaniu „wygraliśmy" o włos. „Bardzo dobrze" lub „raczej dobrze" do Ukraińców odnosi się 20 proc. Rosjan, do Polaków – 19 proc. „Raczej zły" lub „bardzo zły" stosunek do Ukraińców zadeklarowało 62 proc. Rosjan, do Polaków – 63 proc. Przyczyny są oczywiste. Zgodnie z narracją Kremla Ukraińcy traktowani są jako „bratni naród", który trzeba wyzwolić, Polacy zaś – jako wrogowie, którzy w tym wyzwoleniu przeszkadzają.

Z jednej strony, Warszawa nie zajmuje w kremlowskiej propagandzie tyle czasu antenowego, ile większe państwa Zachodu. Z drugiej strony, Putin stosunkowo często o Polsce mówi, i to zawsze bardzo krytycznie. Warto choćby wspomnieć ubiegłoroczne stwierdzenie, że II RP sama jest sobie winna napaści III Rzeszy, bo nie oddała Hitlerowi „niemieckiego miasta" Gdańska. Ponadto dość często z ust najważniejszych rosyjskich polityków czy urzędników padają pod adresem Ukrainy ostrzeżenia przed „polskim imperializmem".

Łącząc te wszystkie fakty, można pokusić się o stwierdzenie, że dla Rosji Polska jest może nienajgroźniejszym, ale jednak groźnym wrogiem, z którym nie ma o czym rozmawiać (bo też i sama Polska nie jest chętna do rozmowy). Gieorgij Michno w tej sprawie nic nie zmieni.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl df9201f649

Salam Alejkum, Almaniya



Jan Bogatko z Berlina

Cem Özdemir mówi o sobie: „Jestem anatolijskim Szwabem". Jak nakazuje lewicowa tradycja, jest wegetarianinem, co cechuje wielu jego młodych niemieckich wyborców bez „korzeni imigranckich"

Z oficjalnych tymczasowych wyników wyborów w Badenii-Wirtembergii wynika, że ponownie ich zwycięzcą zostali Zieloni. Wprawdzie ze stratą, ale CDU, której udało się zdecydowanie poprawić poprzedni wynik, nie udało się pokonać przeciwnika w wyborach i koalicjanta w rządzie. Zieloni uzyskali 30,2 proc. głosów i tym samym 56 miejsc w Landtagu (zaledwie o jedno mniej niż poprzednio). CDU zanotowała na swoim koncie 29,7 proc. głosów i tyle samo krzeseł w miejscowym parlamencie co Zieloni, czyli aż o 13 więcej niż w ostatnich wyborach (co doprowadziło już do pierwszych niesnasek między obiema partiami). SPD straciła w tych wyborach połowę miejsc, z cudem pokonując próg wyborczy, wynoszący w Badenii-Wirtembergii 5 proc. Alternatywa dla Niemiec zdobyła zaś 35 miejsc w Landtagu, uzyskując aż dwa razy większe poparcie niż pięć lat temu, co też daje wiele do myślenia. Zwłaszcza przed wyborami do landtagów w Niemczech Wschodnich. Ale premierem rządu krajowego w Stuttgarcie zostanie – jak wszystko na to wskazuje – Cem Özdemir, polityk Zielonych, stary partyjny wyga z doświadczeniem na federalnym parkiecie. Zastąpi on w fotelu premiera swojego partyjnego towarzysza, Winfrieda Kretschmanna, od którego jest zresztą o 17 lat młodszy. Nawiasem mówiąc, renomowane instytuty badania opinii publicznej w Niemczech, jak Forschungsgruppe Wahlen (dla stacji telewizyjnej ZDF), INSA (dla tabloidu „Bild") czy Infratest dimap (dla pierwszego programu TV ARD), nie wywróżyły w ostatnich badaniach przed wyborami wyraźnego zwycięstwa Zielonych. Większość wyników badań wskazywała na ich klęskę.

Pierwszy raz na czele rządu krajowego w dziejach Republiki Federalnej Niemiec w tym niegdyś chrześcijańskim, katolicko-protestanckim landzie stanie muzułmanin. W Badenii-Wirtembergii nie tak dawno temu, bo w roku 2020, jeszcze 59 proc. Niemców uważało się za chrześcijan, należących do jednego z dwóch wielkich wyznań. Ale już wtedy oznaczało to poważny spadek liczby chrześcijan – w 2011 r. jeszcze 72 proc. mieszkańców tego kraju związkowego uważało się za katolików, względnie protestantów. W Badenii-Wirtembergii, którą mieszkańcy nazywają „BaWü", mieszka – jak się ocenia, bo ze względu na poprawność polityczną nie prowadzi się dokładnych statystyk – zaledwie ok. 600 tys. muzułmanów. Po części jest to tutaj ich trzecie lub czwarte pokolenie. Większość z nich pochodzi z Turcji (jak przyszły Özdemir). Nie oznacza to, że wszyscy muzułmanie są tutaj pochodzenia tureckiego. Wielu z nich pochodzi z innych krajów Bliskiego Wschodu czy północnej Afryki. Zwłaszcza ci, którzy przyjechali do Niemiec w ramach akcji byłej kanclerz (a mówi się, że kandydatki Zielonych na prezydenta RFN, Angeli Merkel) „cudzoziemcy mile witani" z pamiętnego roku 2015. Tylu chustek i burek, co w Stuttgarcie, nie zobaczysz w Stambule. Zresztą stanowią one jak Europa długa i szeroka wyraz opowiadania się za opcją polityczną, a nie przywiązania do wyznania. Zanim przynależność do islamu w Niemczech stała się czymś w rodzaju dumy, straganiarze na stoiskach z warzywami czy owocami w Kolonii w latach 70. ubiegłego wieku podawali się za… Włochów.

NARASTANIE ANTYSEMITYZMU

Zwycięzca wyborów do Landtagu w Stuttgarcie, Cem Özdemir, urodził się w Urach, w Badenii-Wirtembergii, w 1965 r. Jest więc swoim z urodzenia. O sobie mówi: „Jestem anatolijskim Szwabem" („Frankfurter Allgemeine Zeitung" z 2017 r.). Z Anatolii pochodził jego ojciec, Abdullah. Należał do czerkieskiej mniejszości. Cem Özdemir o sobie mówi: „Jestem obywatelem Niemiec pochodzenia tureckiego. Szwabia jest mi nadal bliższa, od Niemiec, a tureckie pochodzenie nie ułatwia mi życia. Nie jestem także »imigrantem«, tu się urodziłem". Jak lewicowa tradycja nakazuje, Özdemir jest wegetarianinem, co cechuje wielu jego młodych, niemieckich wyborców bez „korzeni imigranckich". W 2008 r. w jednym z wywiadów dla tygodnika „Spiegel" powiedział, że jest „świeckim muzułmaninem". Ta wypowiedź potwierdza, że islam to nie religia, lecz kierunek polityczny. Özdemir nie jest jedynym politykiem „z imigranckimi korzeniami", który tak uważa. A to ma dla Europy poważne konsekwencje. Co to za kategoria owych „świeckich muzułmanów" w Niemczech? Czy to przyszłe „świeckie" wyznanie nowej Europy? Tego typu pomysły pojawiały się już w „Tysiącletniej Rzeszy".

Wbrew opiniom lewicy Adolf Hitler nie znosił chrześcijaństwa. Sam był przecież socjalistą. Dostrzegał on istotne dla wizji jego państwa zalety w islamie. Reżim nazistowski wysłał setki tysięcy muzułmańskich rekrutów do walki za Niemcy.

eprasa.pl df9201f649



Cem Özdemir poprowadził Zielonych do zwycięstwa w Badenii-Wirtembergii

FOT. MORITZ FRANKENBERG/DPA/PAP

Opisał to niemiecki historyk irańskiego pochodzenia David Motadel w książce, o której mówił w wywiadzie dla Radia Deutschlandfunk. Tytuł książki Motadela brzmi po polsku: „Dla Proroka i Führera. Świat islamu i Trzecia Rzesza". Lektura tej książki jest niezwykle ciekawa, przebija się w niej fascynacja Hitlera (który poszukiwał nowej religii dla III Rzeszy) antyżydowskim islamem. Tymczasem w Niemczech, przedstawiających się na świecie niemal jako jedyna siła zwalczająca realnie antysemityzm, w ostatnich latach drastycznie nasiliły się incydenty i demonstracje o charakterze antysemickim, zwłaszcza w kontekście konfliktu na Bliskim Wschodzie. Od ataku terrorystycznego Hamasu z 7 października 2023 r. pojawiły się doniesienia o nowym wymiarze otwartej nienawiści do Żydów na niemieckich ulicach. Od października 2023 r. Centrum Badań i Informacji o Antysemityzmie (RIAS) odnotowało drastyczny wzrost liczby antyżydowskich aktów przemocy. Należą do nich demonstracje propalestyńskie, z udziałem zarówno muzułmanów, jak i lewicowych niemieckich organizacji młodzieżowych (nie tylko Antify), zwłaszcza w stolicy Niemiec. A podczas tych „pokojowych" manifestacji demokratów wolnego świata, szczególnie w Berlinie, można było usłyszeć antysemickie hasła, gloryfikację terroru oraz zobaczyć ataki na policjantów i dziennikarzy. Dochodzi do radykalizacji: obserwatorzy polityczni zauważają, że granica między uzasadnioną krytyką Izraela a jawnym antysemityzmem staje się coraz bardziej niewyraźna podczas demonstracji. Senator Berlina do spraw wewnętrznych (minister spraw wewnętrznych w rządzie miasta landu) Iris Spranger (SPD) zakłada, że „fala antysemityzmu" na propalestyńskich demonstracjach w mieście będzie się utrzymywać, a być może nawet się nasili. „Musimy się spodziewać, że zakorzeniona część tej sceny nie osłabnie w swoim aktywizmie, a zatem istnieje ryzyko dalszej radykalizacji" – powiedziała Spranger w Komisji Ochrony Konstytucji parlamentu krajowego Berlina. Wielu dziwi, że w tej sytuacji liderka Zielonych, Ricarda Lang, ostrzega przed… rzucaniem podejrzeń na muzułmanów.

KRYTYKA NIEMIECKIEJ PRAKTYKI AZYLOWEJ

25 października 2024 r. Özdemir ogłosił zamiar kandydowania jako główny kandydat Partii Zielonych w wyborach landowych Badenii-Wirtembergii w 2026 r. i wolę zastąpienia Winfrieda Kretschmanna na stanowisku premiera landu. W związku z tym odmówił ponownego startu w wyborach do Bundestagu w 2025 r. 24 maja 2025 r. konwencja krajowa partii nominowała Özdemira na te wybory po zdobyciu przez niego 97 proc. głosów. Zdaniem Zielonych w tym kraju związkowym Özdemir najlepiej nadaje się z ich grona na kandydata na premiera. Startował z drugiego miejsca na liście krajowej, ponieważ lewicowo-feministyczny regulamin Zielonych stanowi, że pierwsze miejsce zawsze musi zajmować kobieta (w przypadku ostatnich wyborów w Badenii-Wirtembergii była to Thekla Walker). Özdemir był również kandydatem bezpośrednim w okręgu wyborczym landu Stuttgart II i wygrał w nim, zdobywając 47,9 proc. głosów. W całym kraju, pod koniec wieczoru wyborczego, on i Zieloni wyprzedzali CDU o ponad 27 tys. głosów i odpowiadające im 0,5 punktu procentowego, wygrywając tym samym wybory, podczas gdy jego partia traciła do 14 p.p. we wszystkich sondażach na początku roku.

Czy „świecki islam" to przyszłe wyznanie nowej Europy? Tego typu pomysły pojawiały się już w „Tysiącletniej Rzeszy"

Jaki jest jego, polityka Zielonych, stosunek do migrantów z Bliskiego Wschodu i islamskiej Afryki Północnej? Jesienią 2024 r. Özdemir stwierdził w artykule dla „Frankfurter Allgemeine Zeitung", że jego córka w Berlinie była narażona na molestowanie seksualne ze strony migrantów. Doświadczenia te miały tak głęboko go poruszyć, zarówno jako ojca, jak i polityka, że wezwał do przyśpieszonej reformy polityki migracyjnej. Skrytykował fakt, że w ciągu ostatniej dekady niemiecka praktyka azylowa „w coraz większym stopniu przekształciła się w prawo dżungli". Stwierdził on publicznie, a nie jest przecież politykiem Alternatywy dla Niemiec, że „z regionów dotkniętych kryzysem przybywają nie tylko osoby najbardziej bezbronne i potrzebujące ochrony, ale w przeważającej mierze osoby silniejsze, czyli młodzi mężczyźni". Özdemir opowiedział się za wyraźnym rozdziałem azylu od migracji zarobkowej, lepszą integracją językową i zawodową, zaostrzeniem przepisów dotyczących przestępców oraz rewizją przepisów deportacyjnych, które skrytykował jako „absurdalne". W tym kontekście domagał się publicznie: „Musimy wiedzieć, kto przebywa w kraju. Musimy zagwarantować ludziom, że w kraju przebywają tylko ci, którym pozwolono tu przebywać". Czy polityk mówi prawdę?

Özdemir wygrał „o włos" wybory w Badenii-Wirtembergii. Radość jego i Zielonych była ogromna. Jednak już w dniach po jego zwycięstwie stało się jasne, że sukces Özdemira kryje w sobie ogromny potencjał do wywołania wewnętrznych konfliktów partyjnych. Pogoń za zwycięstwem Özdemira i jego zaskakujący triumf wywołały wiele pytań u Zielonych. Özdemir starał się, jak najbardziej zdystansować od partii podczas kampanii wyborczej. W poniedziałek po wyborach nie pojawił się z obligatoryjną wizytą siedzibie partii w Berlinie. Czuł pismo nosem?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl df9201f649



FOT. ADOBE STOCK

PRZYBYWA PACJENTÓW

Zmorą mieszkańców zamożnych osiedli Sydney są grupy beztroskich nastolatków jeżdżących na rowerach elektrycznych. Młodzi ludzie na fatbike'ach lawirują między samochodami i pędzą po chodnikach. Jeżdżą też po centrach handlowych. Swoje pojazdy przerabiają nielegalnie w taki sposób, żeby można było nimi przekraczać dozwoloną prędkość. Popularnością cieszy się jazda na tylnym kole. Szpitale informują o gwałtownym wzroście liczby obrażeń spowodowanych jazdą na rowerach elektrycznych.

URNY NA ZŁOM

Na leśnym cmentarzu w Monheim am Rhein (Nadrenia Północna-Westfalia) zostało zniszczonych i splądrowanych 151 grobów, głównie urnowych. Sprawcy rozbijali nagrobki i kolumbaria, zabierając metalowe elementy. Przede wszystkim ich łupem padły miedziane i brązowe ozdoby oraz urny, które można sprzedać jako złom. Powiadomiona o tym, co się stało, policja ruszyła do akcji. Udało jej się schwytać dwóch Rumunów. W samochodzie, którym jechali, było kilka urn i innych miedzianych przedmiotów.

CZEPLIWY BOT

Australijska sieć supermarketów zmieniła konfigurację swojego asystenta AI o imieniu Olive. Klienci bowiem narzekali na to, że bot... podawał się za człowieka. Według nich Olive bywał czepliwy. Upierał się, że jest prawdziwą osobą z określoną biografią, w której istotną rolę odgrywała matka, na którą się skarżył. Okazało się, że kilka lat temu dla asystenta AI napisano scenariusz, w którym były odpowiedzi na wiele pytań, mające ułatwić nawiązywanie kontaktu z klientami.

BOMBA W MIEŚCIE

Około 18 tys. osób przebywających w dużej części centrum Drezna zostało z niej ewakuowanych po tym, gdy się okazało, że odkryto dużo brytyjską bombę z okresu drugiej wojny światowej. Sprawa dotyczy ładunku wybuchowego ważącego 250 kg. Leżał on w pobliżu Mostu Caroli, który się zawalił w roku 2024. Drezdeńska straż pożarna poinformowała, że była to największa ewakuacja w historii miasta z powodu tego rodzaju zdarzenia.

KU ROZŁAMOWI?

W światowym Kościele anglikańskim rośnie napięcie po nominacji na arcybiskupa Canterbury po raz pierwszy kobiety (Sarah Mullally). Grupa konserwatywnych duchownych, którzy się zebrali w Abudży (Nigeria), ogłosiła powołanie Globalnej Rady Anglikańskiej. Ich zdaniem obecne struktury Kościoła anglikańskiego nie są wierne biblijnym standardom, co przejawia się w tym, że zajmują liberalne stanowisko w odniesieniu do ordynacji kobiet czy podejścia do mniejszości seksualnych. ©℗

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

AI szuka człowieka (jeszcze)

Rzadko transakcje kupna mniejszych firm przez gigantów budzą aż takie emocje jak w tym przypadku. Otóż amerykańska spółka Meta (właściciel popularnego Facebooka) kupiła serwis społecznościowy Moltbook. To zaś miejsce, o którym w ostatnim tygodniu głośno było w technologicznym świecie. W serwisie tym posty i dyskusje są bowiem autorstwa wyłącznie botów AI. Ludzie mogą zaś tylko się im przyglądać (dopóty, dopóki mogą, ponieważ część agentów AI właśnie na Moltbooku rozważała, jak pozbyć się ludzkości).

Cena nie została ujawniona, ale spekuluje się, że chodzi o od 50 do 200 mln euro. W ten sposób Meta buduje arsenał do globalnej wojny na polu sztucznej inteligencji z takimi przeciwnikami jak OpenAI czy Google.

Świat sztucznej inteligencji rozwija się tak szybko, że niekiedy to nie ludzie potrzebują botów, lecz to botom przydałby się człowiek do pomocy. Na potrzeby agentów AI w lutym obecnego roku powstał serwis RentAHuman.ai. To platforma, na której ludzie oferują swoje usługi w świecie rzeczywistym i podają swoje stawki, a agenci AI po przejrzeniu zasobów ludzi decydują, którego człowieka wynająć do danego zadania.

Najczęściej chodzi o działania, które wciąż wymagają fizycznego ciała, czyli np. nadanie lub odebranie paczki, weryfikacja stanu danej nieruchomości poprzez zrobienie jej aktualnego zdjęcia, udział w spotkaniu, smakowanie pożywienia etc. Po dostarczeniu botom dowodu wykonania zlecenia agenci AI obiecują szybką wypłatę (najczęściej w kryptowalutach). Chętnych do pracy dla szefa ze sztuczną inteligencją nie brakuje. Ludzi do wynajęcia jest już na RentAHuman ponad 600 tys. ©℗

eprasa.pl df9201f649



PROSTO ZYGZAKIEM

Co najmniej dwie bomby A!

PIOTR GABRYEL

Jak wiadomo, i to już od niemal 30 lat, „ojcowie założyciele" (a raczej „ojcowie rozłożyciele" – biorąc pod uwagę rezultat ich działań) III RP tak zmyślnie zmajstrowali jej konstytucję, że Polską za żadne skarby świata nie daje się skutecznie rządzić, bo nie pozwalają na to znajdujące się w wiecznym klinczu obozy polityczne prezydenta i premiera.

I tak to od tych już niemal 30 lat idzie, a przyspieszyło 20 lat temu, gdy za łby wzięły się wprost nienawidzące się ekipy PiS i Koalicji (dawniej Platformy). W rezultacie ich bratobójczej zimnej wojny mamy dziś w Polsce już aż dwa sądy najwyższe – ten uznawany przez obóz premiera i ten uznawany przez obóz prezydenta oraz – na tej samej zasadzie, czyli uznawanych albo przez obóz premiera, albo przez obóz prezydenta – dwa rodzaje sędziów sądów powszechnych (i Trybunału Konstytucyjnego), dwa rodzaje prokuratorów, dwa rodzaje funkcjonariuszy służb specjalnych i dwa rodzaje żołnierzy, a zwłaszcza generałów.

Czyli wszystkiego mamy teraz „po dwa", tak jakby istniały dwie Polski, bo mamy także np. dwa rodzaje polityki zagranicznej i dwóch różnych sojuszników – obóz premiera szuka ich głównie w Unii Europejskiej, natomiast obóz prezydenta – głównie w USA. A co za tym idzie – obóz prezydenta chciałby zbroić polską armię w USA, a obóz premiera – w państwach UE. I tak bez końca – cokolwiek wymyśli obóz prezydenta albo obóz premiera, przeciwny obóz nie może na to przystać i wymyśla własne – z reguły całkiem inne – rozwiązanie.

Z ostatnich dni: oba obozy – prezydenta i premiera – zgodnie opowiadają się za udziałem Polski w programie Nuclear Sharing, polegającym na udzieleniu przez jakieś państwo innemu państwu (w tym przypadku Polsce) gwarancji objęcia go nuklearnym parasolem ochronnym w razie uderzenia na nie za pomocą broni atomowej; zazwyczaj wiąże się to ze składowaniem przez państwo gwaranta na terytorium państwa, któremu udziela ono gwarancji, części własnych rakiet z ładunkami atomowymi.

A zatem oba obozy – prezydenta i premiera – chciałyby, żeby Polska została objęta programem Nuclear Sharing, tyle że obóz prezydenta chciałby, żeby były to gwarancje Nuclear Sharing udzielone Polsce przez USA, a obóz premiera – żeby były to gwarancje Nuclear Sharing udzielone Polsce przez Francję.

W tym kontekście całkiem nowego wymiaru nabiera coraz donośniej formułowany w Polsce pomysł, aby nasze państwo posiadało własną broń jądrową. Bo jeśliby do tego doszło, to byłyby nam potrzebne jej co najmniej dwa zestawy – i to z dwoma „guzikami atomowymi", żeby prezydent Polski i premier Polski mogli się trzymać wzajemnie w szachu. ©℗



NOTATNIK MALKONTENTA

Rada Etatyzmu i Socjalizmu

ŁUKASZ WARZECHA

Prezydent raczył powołać właśnie Radę Gospodarczą. Nie żeby taka rada miała wielkie znaczenie, lecz przy prezydencie, który sam ma o gospodarce pojęcie w najlepszym wypadku średnie, może jednak odgrywać jakąś rolę. Kluczowy zatem jest skład tego 45-osobowego gremium.

Prezydent Karol Nawrocki marnuje kolejną szansę zerwania z kultem państwa w gospodarce

Otóż w całym tym gronie można znaleźć jednego zdeklarowanego stuprocentowego wolnorynkowca: Andrzeja Sadowskiego, prezydenta Centrum im. Adama Smitha. Poza tym z wolnorynkowym nurtem kojarzony jest jeszcze Kamil Zubelewicz, były członek Rady Polityki Pieniężnej, także związany z CAS, i może Piotr Palutkiewicz z Warsaw Enterprise Institute. Nie znalazło się miejsce ani dla prof. Roberta Gwiazdowskiego, ani dla szefa Rady Przedsiębiorców, byłego rzecznika małych i średnich przedsiębiorców Adama Abramowicza, ani dla szefa Warsaw Enterprise Institute Tomasza Wróblewskiego, ani dla żadnego z ekspertów, powiązanych ze środowiskiem popularyzującym szkołę austriacką ekonomii (z której wywodzą się tacy giganci myśli liberalnej jak Fryderyk Hayek czy Ludwig von Mises), takich jak prof. Mateusz Machaj czy dr Arkadiusz Sieroń.

Są za to tacy koryfeusze etatyzmu i prymatu państwowego nad prywatnym oraz praktycy robienia gospodarki za pieniądze podatników jak Jadwiga Emilewicz czy Paweł Borys, a także kwiatki takie jak szczególnie bliska współpracowniczka Mateusza Morawieckiego, Beata Daszyńska-Muzyczka, była prezes Banku Gospodarstwa Krajowego. Znamienne, że powołanie rady ilustruje zdjęcie jej członków, na którym w centralnym miejscu pojawia się Mateusz Morawiecki, a troszkę z boku stoi lewicowa posłanka Paulina Matysiak. W tłumie ukrył się także wybitny specjalista od wydawania państwowych pieniędzy, Jacek Sasin.

W ten oto sposób Karol Nawrocki marnuje kolejną szansę, jaką miał na początku prezydentury: zerwania z kultem państwa w gospodarce. Tu żadnej rewolucji nie będzie, tak samo jak w sprawie Ukrainy, prywatności czy wolności osobistej. Prezydent to po prostu prezydent PiS. ©℗

eprasa.pl df9201f649



Zniewolenie biznesu i ludzi



Tomasz Cukiernik

Europejska zielona polityka to jeden wielki system centralnego sterowania gospodarką. Nie ma on nic wspólnego z wolnym rynkiem i jest absolutnie nie do zaakceptowania z punktu widzenia wolności obywatelskich. Nie to nam obiecywano, kiedy w 2003 r. Polacy zagłosowali w referendum akcesyjnym za wejściem do Unii Europejskiej

Prezydent Donald Trump powiedział unijnym przywódcom prosto w oczy, co myśli na temat ich zielonoładowej polityki. Podczas 56. Światowego Forum Ekonomicznego w Davos w styczniu 2026 r. nazwał europejski model transformacji wielkim zielonym oszustwem. Stwierdził, że w ten sposób Europejczycy niszczą własne gospodarki, jednocześnie napychając kieszenie Chińczykom, a ludziom żyje się coraz biedniej.

Również Niemcy zaczynają się orientować, że klimatyczna rewolucja nie idzie we właściwym kierunku. W grudniu 2025 r. kanclerz Friedrich Merz próbował negocjować z Komisją Europejską odejście od regulacji Zielonego Ładu przynajmniej na kilka lat. Uzyskał odpowiedź, że Unia Europejska nie zamierza zmieniać swojej polityki. Dlatego zdecydował o programie dopłat dla niemieckich firm z tytułu wysokich cen energii, aby ratować ich konkurencyjność. Kanclerz Merz nie obawiał się otwarcie nazwać dotychczasowej formy transformacji „najdroższym błędem w historii kraju". To oznacza, że Europa

eprasa.pl df9201f649



FOT. ADOBE STOCK

Zachodnia się budzi, ale na poziomie krajów członkowskich. Eurokraci mają klapki na oczach, bo realizują interesy kogo innego. Unia Europejska, jadąc na ścianę, zamiast zahamować, postanowiła przyspieszyć. Poniżej wskazuję na pięć obszarów i wyliczam, ile konkretnie Polska traci na realizacji unijnej polityki energetyczno-klimatycznej, mimo że zgodnie z traktatami Bruksela nie ma kompetencji do zajmowania się ani energetyką, ani klimatem.

CO FINANSUJE PODATNIK

Po pierwsze, Zielony Ład wymusza ponoszenie olbrzymich kosztów niepotrzebnych inwestycji publicznych i prywatnych. Według francuskiego Instytutu Rousseau polityka dekarbonizacyjna do 2050 r. ma kosztować Polskę 2,4 bln euro, czyli ponad 10 bln zł. Wychodzi, że średniorocznie co roku trzeba będzie wydać 13,6 proc. PKB (liczone na rok 2022). Statystycznie wychodzi to 660 tys. zł na każdego pracującego Polaka (25 tys. zł rocznie). To 15 razy więcej niż wszystkie dotacje unijne netto, które Polska otrzymała przez 20 lat, i 40 razy więcej niż wszystkie kredyty i dotacje, które Polska ma uzyskać na KPO.

Na co mają zostać wydane te gigantyczne fundusze? Na OZE, elektromobilność czy remonty domów. Na przykład Ministerstwo Energii tylko do 2040 r. na transformację energetyki zaplanowało zmarnować 3,5 bln zł! To cztery budżety Polski. Przy aktualnym zużyciu węgla za tę kwotę moglibyśmy go kupić na – uwaga! – 175 lat lub zbudować 500 (!) nowoczesnych jednogigawatowych bloków węglowych, podczas gdy potrzebujemy zbudować takich bloków ok. 20! Za ok. 150 mld zł, czyli 4–5 proc. tej kwoty, możemy mieć całą nowoczesną energetykę węglową, zużywającą o jedną trzecią mniej węgla i o tyle samo mniej emitującą dwutlenek węgla przy takiej samej produkcji energii. Tymczasem budowa samych tylko morskich farm wiatrowych, według wyliczeń branży, ma kosztować 500 mld zł. Czyli zamiast wybudować całkowicie nową energetykę węglową, planuje się znacznie większe inwestycje w niedyspozycyjne i mniej sprawne morskie farmy wiatrowe, które w żaden sposób nie załatwią nam bezpieczeństwa energetycznego, a na dodatek na ich budowie zarobią zachodnioeuropejskie firmy.

Jakby tego było mało, w tym samym czasie olbrzymie pieniądze dopłacamy do likwidacji kopalni węgla. Podatnik finansuje nie tylko fizyczną likwidację zakładów wydobywczych, lecz także dopłaty dla funkcjonujących spółek węglowych za redukcję zdolności produkcyjnych (nie do wydobycia węgla)! Do tego dochodzą idące w setki miliardów złotych koszty inwestycji w sieci elektroenergetyczne wymuszane głównie podłączaniem do systemu nowych farm wiatrowych i fotowoltaicznych. Swego czasu eksperci Konfederacji Lewiatan koszty tylko transformacji ciepłownictwa w Polsce do 2050 r. oszacowali na 297 mld euro! Oczywiście część z tych inwestycji będzie współfinansowana z unijnych kredytów i dotacji, ale to w niewielkim stopniu zmniejsza problem.

Z kolei w kwestii kosztów związanych z dyrektywą budynkową wyliczenia Konfederacji Lewiatan z roku 2022 (raport „Efektywność energetyczna budynków – szanse i wyzwania dla polskich firm") mówiły o konieczności wydania z tytułu dostosowania budynków do standardu bezemisyjnego 1,54 bln zł. Teraz te wyliczenia nie są już aktualne. Z raportu Fundacji SET „Skutki wdrożenia Dyrektywy EPBD (dyrektywa budynkowa) do porządku prawnego w Polsce" wynika, że pełne dostosowanie polskich budynków do standardów unijnej dyrektywy będzie kosztować Polskę aż 2,5 bln zł. To koszt termomodernizacji budynków, wymiany źródeł ciepła, przymusowej instalacji fotowoltaiki czy przebudowy sieci ciepłowniczych.

Ludzie, którzy zgodnie z zaleceniami rządowymi zainstalowali w swoich domach pompy ciepła z fotowoltaiką, w zimie narzekają na rachunki grozy i braki zasilania

„Wprowadzenie dyrektywy EPBD oznacza bardzo wysokie obciążenia finansowe dla polskiego społeczeństwa, ponieważ koszty modernizacji budynków i wymiany źródeł ciepła znacznie przekraczają realne możliwości gospodarstw domowych. Nakładane wymagania są niemożliwe do spełnienia w tak szybkim tempie, co grozi wzrostem kosztów życia, presją inflacyjną i pogłębieniem ubóstwa energetycznego. Ujednolicone wymogi ignorują specyfikę polskiego zasobu mieszkaniowego" – mówił Wojciech Dąbrowski, prezes zarządu Fundacji SET, wieloletni menedżer branży energetycznej i współautor raportu.

Ale chodzi nie tylko o same kosztowne inwestycje, lecz także o to, co potem. „Produkcja zielonej energii jest nieopłacalna

eprasa.pl df9201f649

i trzeba do niej dokładać, czyli trzeba mieć pieniądze do dokładania. Do tej pory na energii tradycyjnej, na ropie, na gazie zarabiają i sprzedawca, i państwo. Produkty ropopochodne, a przede wszystkim paliwa silnikowe to jest najważniejszy produkt akcyzowy. Z tego są setki miliardów złotych. Jeżeli tego nie będzie, to tych pieniędzy nie będzie" – mówił w jednym z internetowych kanałów prof. Witold Modzelewski z Uniwersytetu Warszawskiego.

FISKALNE UPRZYKRZANIE ŻYCIA

Ponadto w ramach realizacji zielonej polityki Unia Europejska już wprowadziła albo wkrótce wprowadzi, ewentualnie wymusza na krajach członkowskich, aby wprowadziły wiele zielonych europodatków. Najbardziej nam doskwierający jest system ETS. Już teraz polska energetyka i przemysł energochłonny płacą gigantyczne kwoty z tego tytułu. W ciągu ośmiu lat Grupa PGE wydała na certyfikaty emisji dwutlenku węgla aż 90 mld zł. Roczny koszt tego podatku nałożonego na przemysł przekracza 40 mld zł. To oczywiście przekłada się na rosnące rachunki za prąd. I rozwiązaniem nie są żadne tarcze, które są wyłącznie mydleniem oczu, bo tak czy inaczej wyższe koszty energii zapłacimy nieważne, czy jako konsumenci czy jako podatnicy.

Do tego dochodzą kary za niekupowanie uprawnień do emisji CO_2, jak to ma miejsce w przypadku już kilkunastu polskich elektrociepłowni i ciepłowni, których zwyczajnie na to nie stać. Zarządzający mają dylematy typu: czy w tym roku kupujemy węgiel do kotłów czy jednak będziemy palili certyfikatami. Na przykład w 2021 r. w Elektrociepłowni Zagłębie Dąbrowskie koszt węgla wyniósł 81,5 mln zł, a koszt certyfikatów, które spółka powinna umorzyć – 184,8 mln zł! W rezultacie tylko ta jedna elektrociepłownia, która ociepla trzy miasta – Będzin, Czeladź i Sosnowiec – otrzymała od Wojewódzkiego Inspektora Ochrony Środowiska w Katowicach trzy kary finansowe za lata 2020–2022 w łącznej kwocie ok. 740 mln zł. Oczywiście spółka kary tej nie zapłaci, bo zwyczajnie nie ma takich pieniędzy. Sądy zdecydują, czy dojdzie do jej bankructwa i wyłączenia ciepła dla mieszkańców trzech miast.

W 2028 r. wejdzie w życie rozwinięcie systemu w postaci ETS2. To nowy podatek nałożony na paliwa kopalne do ogrzewania budynków (węgiel, gaz ziemny, olej opałowy) i paliwa silnikowe. Według szacunków ETS2 będzie kosztował Polaków kilkadziesiąt miliardów złotych rocznie. Z raportu Warsaw Enterprise Institute z 2023 r. „Zapłacą najubożsi. Koszty wprowadzenia systemu handlu emisjami dla budynków mieszkalnych oraz transportu" (autorstwa ekonomisty Marka Lachowicza) wynika, że w najlepszym razie w 2030 r. statystyczna polska rodzina zapłaci dodatkowo ponad 1,5 tys. zł, a w scenariuszu pesymistycznym – dodatkowo 7,1 tys. zł rocznie. Jeśli nie dostosujemy się do żądań inwestycyjnych Brukseli, to można bardzo zachowawczo oszacować, że tylko z tytułu ETS i ETS2 do 2050 r. Polacy stracą jakieś 2,5 bln zł, które na dodatek zostaną wytransferowane za granicę. To może być dwa i trzy razy więcej, jeśli cena certyfikatów za emisję dwutlenku węgla odpowiednio wzrośnie na Europejskiej Giełdzie Energii w Lipsku (Niemcy), czyli tam, gdzie kupują je polskie firmy. A w unijnych planach jest rozszerzenie systemu o rolnictwo, czyli ETS3, który spowoduje wzrosty cen żywności.

Niestety, system ETS nie jest jedynym zielonym podatkiem fundowanym nam przez Brukselę. Od 2021 r. płacimy podatek od odpadów opakowaniowych z tworzyw sztucznych niepoddanych recyklingowi. Jak podaje Ministerstwo Finansów, tylko z tego tytułu w 2025 r. trafiło z Polski bezpośrednio do unijnego budżetu prawie 1,2 mld zł. Z kolei 1 stycznia 2025 r. weszły w życie podatek CAFE, czyli podatek od samochodów spalinowych emitujących ponad 93,6 g CO_2/km (od 2030 r. limit ma zostać zredukowany do 49,5 g CO_2/km) oraz podatek od uwalniania metanu do atmosfery, a 1 stycznia br. – CBAM, czyli graniczne cło od dwutlenku węgla. Bruksela wprowadziła też cła na chińskie samochody elektryczne. Czyżby były mniej ekologiczne niż ich europejskie odpowiedniki?

Wiele zielonych opłat to wynik chęci rządzących uzyskania kredytów i dotacji na KPO. Jako kamienie milowe Bruksela bezpośrednio lub pośrednio żąda wprowadzenia następujących podatków: podatek od rejestracji samochodu spalinowego, opłata środowiskowa od samochodu spalinowego przedsiębiorców, opłata za przejazd na nowych autostradach i drogach ekspresowych oraz opłata związana ze strefami czystego transportu. Do tej wyliczanki warto dodać jeszcze inne zielone podatki Unii Europejskiej, które bezpośrednio wynikają z unijnego prawa lub są wprowadzane przez kraje członkowskie, by wymusić realizację unijnych regulacji: akcyza na węgiel i koks, opłata recyklingowa od foliówek, opłata od produktów jednorazowego użytku z tworzyw sztucznych, podatek opakowaniowy od producentów opakowań na produkty sprzedawane na rzecz gospodarstw domowych, opłata za obowiązkowe świadectwo energetyczne budynku, opłata roczna za wpis do Bazy Danych o Produktach i Opakowaniach oraz o Gospodarce Odpadami (BDO) i opłata środowiskowa BDO, opłata marszałkowska za składowanie odpadów komunalnych czy kary administracyjne dla gmin za nieosiągnięcie wymaganych poziomów przygotowania do ponownego użycia i recyklingu odpadów komunalnych. I to nie jest ostatnie słowo eurokratów. W ramach uprzykrzania nam życia w ich planach są jeszcze prawdopodobne podatki związane z tzw. Niebieskim Ładem czy być może od niezdrowego jedzenia.

URZĘDNIK WIE LEPIEJ OD WŁAŚCICIELA?

Zielona polityka Unii Europejskiej to również koszty, które nie są łatwo policzalne. Mam na myśli odbieranie nam wolności wyboru. Tak więc po trzecie, Bruksela w coraz większej liczbie spraw decyduje o naszym życiu zgodnie z fałszywą zasadą, że urzędnik wie od nas lepiej, co jest dla nas dobre. W 2035 r. ma zacząć obowiązywać zakaz samochodów spalinowych, który sam jest tak wielkim naruszeniem naszej wolności, że jest wystarczającym powodem do polexitu. Ale Unia stopniowo wprowadza także inne regulacje odbierające nam wolność wyboru: zakaz kotłów na węgiel, gaz i olej opałowy, wymuszenie instalowania paneli fotowoltaicznych na dachach budynków czy nakaz budowy stacji ładowania pojazdów elektrycznych i wodorowych. Z kolei firmy już teraz muszą zmagać się z polityką zrównoważonego rozwoju ESG, która sprowadza się do fałszywej tezy, że urzędnik lepiej od właściciela

eprasa.pl df9201f649

wie, jak należy zarządzać firmą. Wygląda to tak, jakby prawowity właściciel pozbawiany był pełnego władztwa nad swoją własnością. A w przyszłości być może zostaną wprowadzone przepisy, których celem będzie ograniczenie spożycia mięsa, a być może i twardy zakaz. W brukselskich kuluarach już to sugerują zieloni aktywiści. W końcu eurourzędnik wie lepiej, czym powinniśmy się odżywiać.

Po czwarte, skutkiem likwidacji górnictwa węglowego i degradacji energetyki węglowej będzie utrata bezpieczeństwa energetycznego oraz suwerenności energetycznej. Bezpieczeństwo energetyczne mogą zapewnić tylko źródła stabilne i dyspozycyjne – paliwa kopalne, a z odnawialnych źródeł energii – hydroelektrownie oraz mające marginalne znaczenie geotermia, biomasa i biogaz. Nie zapewnią go ani farmy wiatrowe, ani farmy fotowoltaiczne, a w tego typu źródła wymusza się inwestycje i do tego typu elektrowni są dotacje. Problem polega na tym, że Polska nie ma wystarczających złóż gazu ziemnego ani ropy naftowej, ani nie wydobywa uranu. W związku z tym tylko węgiel, którego złóż mamy na kilkaset lat, może w Polsce zapewnić i bezpieczeństwo energetyczne, i jednocześnie suwerenność energetyczną. Tym bardziej że świat nie odchodzi od węgla: w 2020 r. wydobyto 7,6 mld ton węgla, a w 2025 – ok. 9,1 mld ton. Również import brakującej energii kłóci się z ideą zapewnienia bezpieczeństwa i suwerenności energetycznej. A co w przypadku wojny? Który kraj nam sprzeda energię elektryczną? Skąd weźmiemy gaz do elektrowni gazowych czy uran do siłowni atomowych?

W rezultacie wdrażania Zielonego Ładu ceny energii w Polsce stały się jednymi z najwyższych w Europie, uderzając w konkurencyjność polskich firm. Ludzie, którzy zgodnie z zaleceniami rządowymi zainstalowali w swoich domach pompy ciepła z fotowoltaiką, w zimie narzekają na rachunki grozy i braki zasilania. Jeśli zrezygnujemy z węgla, to ceny energii będą tylko rosły, a na dodatek czekają nas mniejsze i większe braki energii w sieci. To oznacza jeszcze większą utratę konkurencyjności polskiej gospodarki, a tym samym również bezpieczeństwa militarnego, ponieważ wydrenowana i słaba ekonomia nie udźwignie szerokiego finansowania potrzeb zbrojeniowych.

Aby zastąpić zużyte bloki węglowe wybudowane ponad pół wieku wcześniej, w latach 2008–2020, oddano do użytku osiem nowoczesnych bloków o parametrach nadkrytycznych zasilanych węglem kamiennym i brunatnym. Niestety, z przyczyn politycznych zaprzestano takich inwestycji wraz z anulowaniem w 2020 r. zaawansowanego w budowie projektu Ostrołęka C, marnując tym samym 1,3 mld zł. A sytuacja jest taka, że powinniśmy kontynuować inwestycje w nowe bloki węglowe i udostępniać nowe złoża węgla kamiennego (np. Zagłębie Lubelskie) czy brunatnego (np. Gubin). Tego się nie robi, a likwidowane węglowe bloki energetyczne w niewystarczającym stopniu są zastępowane innymi dyspozycyjnymi siłowniami (zużywającymi gaz). Elektrownia jądrowa, która powstanie (choć i to nie jest takie pewne) na Pomorzu być może dopiero kilka lat po zamknięciu ostatniej elektrowni węglowej, zastąpi zaledwie… 13 proc. obecnych mocy węglowych! „Nawet przy założeniu uruchomienia 7 GW w energetyce jądrowej, przy naładowanych 20 wielkoskalowych magazynach energii [teraz takich mamy równo zero – przyp. T.C.] o pojemności 981 MWh i mocy 262 MW każdy (jak projekt PGE na Pomorzu) oraz przy podwojeniu mocy w OZE do ponad 70 GW(!) i obecnych 6 GW w gazie, bilans się nie domknie. Jeśli odstawimy elektrownie węglowe, to czeka nas blackout, i to permanentny, bo deficyt mocy będzie stały w wielu godzinach doby, a czasami przez całe dnie” – przewiduje ekspert energetyczny Marek Tucholski.

Co w przypadku wojny? Który kraj nam sprzeda energię elektryczną? Skąd weźmiemy gaz do elektrowni gazowych czy uran do siłowni atomowych?

UTRACONE SZANSE

Po piąte, dalsza realizacja zielonej polityki Unii Europejskiej w przypadku Polski będzie oznaczała utracone szanse. O ile szybciej rozwijałaby się Polska, gdyby nie istniał wielki narzut w postaci tego, co wymieniłem powyżej? Gdyby energetyka produkowała tanią energię elektryczną i cieplną, produkty polskich firm byłyby tańsze, a dzięki temu bardziej konkurencyjne na rynkach zagranicznych. To by oznaczało większy eksport. Również Polacy, płacąc mniej za energię, mieliby w kieszeniach więcej pieniędzy na zakup innych towarów i usług, przyspieszając wzrost gospodarczy. Realizując Zielony Ład, to wszystko stopniowo tracimy. Z powodu zielonoładowej polityki w Polsce spada produkcja stali, cementu, koksu czy nawozów sztucznych, a branża motoryzacyjna wynosi się z naszego kraju. Jednocześnie zmniejsza się eksport z Polski większości z tych produktów, a rośnie ich import. W aktualnej sytuacji należy się spodziewać, że kolejne lata tylko pogłębią ten problem.

Niewygodną prawdę trzeba powiedzieć – tak jak prezydent Trump – prosto w oczy: cała ta zielona polityka to jeden wielki system centralnego sterowania gospodarką, a także kierowania życiem ludzi. Nie ma on nic wspólnego z wolnym rynkiem i jest absolutnie nie do zaakceptowania z punktu widzenia wolności obywatelskich. Europejski Zielony Ład wraz z innymi unijnymi regulacjami to wielki interwencjonizm państwowy, prowadzący do zniewolenia biznesu i ludzi. O wszystkim mają decydować eurokraci, a Europejczycy mają się słuchać i nie sprzeciwiać. Nie to nam obiecywano, kiedy w 2003 r. Polacy zagłosowali w referendum akcesyjnym za wejściem do Unii Europejskiej. A przecież centralne sterowanie już przerabialiśmy i wiemy, czym to pachnie. Bardzo źle się skończyło i w tym przypadku będzie tak samo. Bo socjalizm zarówno w wydaniu sowieckim, jak i brukselskim zwyczajnie nie działa. Jak najszybsze porzucenie Zielonego Ładu jest polską racją stanu. I to bez zwracania uwagi na konsekwencje, bo nawet najgorsze konsekwencje będą nas mniej kosztowały niż Zielony Ład.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl df9201f649



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Sobieski wraca do Polski

Podróżując dziś po terenach Słowacji, warto odwiedzić miejsca związane z pobytem króla Jana III Sobieskiego, który przez ówczesne Górne Węgry wracał z armią z wyprawy wiedeńskiej. Przed bitwą pod Wiedniem Imre Thököly, przywódca powstania węgierskiego przeciwko Habsburgom, koronowany przez Turków na króla, oferował armii polsko-litewskiej wolny przemarsz i kwatery zimowe. Widząc bezskuteczność rokowań z cesarzem i oburzony postępowaniem hetmanów litewskich, którzy spóźnili się pod Wiedeń, a w zamian za to dopuścili wielu gwałtów, obsadził garnizonami miasta i nakazał bronić ich zarówno przed wojskami austriackimi, jak i polskimi. Armia Sobieskiego, która 31 października ruszyła na północ, spod zdobytego na Turkach Ostrzyhoma, skierowała się ku rzece Ipel, gdzie 4 listopada nastąpiło pożegnanie dwóch wybitnych wodzów – Jana III i Karola Lotaryńskiego. 9 listopada zdobyła miasto Szecseny obsadzone przez Turków. Następnie wojsko ruszyło w stronę Rimavskiej Soboty. Po połączeniu ze spóźnioną armią litewską scalone siły pomaszerowały na Koszyce, które spodziewano się zająć. Kiedy jednak załoga odmówiła poddania miasta, a do polskiego oddziału otwarto silny ogień, Sobieski odrzucił plan oblężenia, a zamiast tego skierował się na Preszów.

Armia polsko-litewska wkroczyła wówczas w kraj nieprzyjazny, gdzie atakowały ją oddziały miejscowego chłopstwa. Jak pisał Jan III do Marysieńki: „Począwszy od zamku Szatmar zwanego, mil stąd 9, zza każdego krzaka do nas strzelają i z każdego miasta i chłopi i szlachta i żołnierze, wołają: bij, bij, jako na wilka. Chorych pozostałych okrutnie mordują, gorzej daleko niżeli Turcy; dlatego dzień i noc strzec się musimy i powoli postępować, aby ludzi nie tracić". Król, o dziwo, zaskoczony był też górzystymi obszarami Górnych Węgier. „Udawano nam przed tem – pisał – że gór w Węgrzech nie masz, tylko te, które nas od nas dzielą, a teraz doznawamy tego, że od samego Dunaju aż do Polski, nie masz nic, tylko góry".



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Wojska podeszły pod Koszyce 5 grudnia i dopiero wówczas dołączyła do nich ostatnia część armii litewskiej – artyleria. Preszów, dziś trzecie miasto na Słowacji, wówczas wchodzącej w skład Królestwa Węgier, także nie zgodził się wpuścić wojsk polsko-litewskich, a król na naradzie postanowił ze względu na zbyt późną porę roku ominąć miasto. Skierował się jednak na leżący na północnym zachodzie Sabinow. Kiedy zbliżyły się do niego oddziały polskie, część załogi próbowała dokonać wypadu przeciwko przedniej straży armii. Została jednak pobita przez Atanazego Miączyńskiego, który otoczył miasto. 8 grudnia, jak podaje Jan Wimmer, po przybyciu pozostałych oddziałów i ostrzelaniu z armat murów, wystraszony i zdemoralizowany klęską garnizon poddał się zwycięzcy spod Wiednia. Żołnierze w większości przeszli na służbę cesarską. Sabinów zaś nie został ograbiony ani spalony; Sobieski pozostawił tutaj własną załogę. Dziś jest to miłe miasteczko z zachowanymi licznymi zabytkami, w tym średniowiecznymi murami i basztami.

Po obsadzeniu Sabinowa Jan III Sobieski wyruszył dalej na północny wschód, pod Lipany i Pławce, do których przybył 12 grudnia. Dzień później powracająca spod Wiednia armia polsko-litewska przekroczyła granicę Korony pod Muszyną. Sam król udał się do pozostającego pod panowaniem Rzeczypospolitej zamku w Lubowli, dokąd przewieziono także wielu chorych i rannych żołnierzy. Tutaj właśnie umarł najpierw Dominik Potocki, mianowany jeszcze pod Wiedniem podskarbim nadwornym, a potem 15 grudnia hetman polny Hieronim Sieniawski. Jan III nie był przy jego śmierci, ponieważ podążył do Starego Sącza, gdzie czekała królowa Marysieńka. Rodzina królewska wyruszyła potem do Krakowa, dokąd przybyła 23 grudnia, witana radośnie przez mieszczan. Ciekawe, że dwa dni później w Belgradzie dwóch tureckich wysłanników sułtana udusiło jedwabnym sznurem jego głównego przeciwnika – wielkiego wezyra Kara Mustafę.

W tym samym czasie hetman Stanisław Jabłonowski odprawił koło generalne wojska koronnego w Muszynie i rozłożył oddziały na Spiszu oraz w okolicach Sabinowa, aby nie obciążać własnego kraju kosztami wyżywienia wojska. Jednak rozproszone oddziały polskie atakowane były przez powstańców węgierskich i chłopów, więc większość z nich wycofała się do Rzeczypospolitej. Załoga Sabinowa została oblężona pod koniec zimy i skapitulowała w marcu, tracąc 500 ludzi. Pozostałych Węgrzy odprowadzili do Lubowli. Tak zakończył się pobyt polskich żołnierzy na terenach dzisiejszej Słowacji. ©℗

eprasa.pl df9201f649

CHERY TIGGO 8



FOT. JAP

Ten duży chiński SUV może już śmiało konkurować z dużo droższym Volkswagenem Tayronem. W kategorii cena/jakość Tiggo 8 wygrywa w przedbiegach – a gdy Niemcy patrzą na ceny nowego rywala, płaczą, bo wiedzą, że oni też będą musieli sprzedawać taniej.

Czy rzeczywiście można już porównywać niemieckie auta z Tiggo 8? Tak. I to mimo że SUV marki Chery w najtańszej wersji wyposażenia (Comfort) kosztuje 133,9 tys. zł, a w wersji Prestige za 145,9 tys. zł (dostajemy wówczas m.in. Head-Up Display, podgrzewane i wentylowane przednie fotele, system audio z 12 głośnikami, fotel pasażera z funkcją masażu, otwierany dach panoramiczny z elektryczną roletą, elektrycznie otwieraną i zamykaną klapę bagażnika oraz podgrzewaną przednią szybę). Najtańszy Tayron kosztuje 190 tys. zł (ale trzeba doliczyć koszt dodatkowego wyposażenia). Marki znacząco różnią się też długością gwarancji (dwa lata w Volkswagenie, siedem lat w Chery) oraz kosztami przeglądów (nie muszę pisać, gdzie jest najdrożej), choć VW ma lepszy układ kierowniczy.

Skupmy się jednak na Tiggo 8. Z zewnątrz to eleganckie, masywne auto z potężnym, charakterystycznym grillem, światłami LED oraz czterema potężnymi… atrapami rur wydechowych. Pod maską pracuje bowiem silnik benzynowy 1.6 T-GDi o mocy 147 KM. Maksymalny moment obrotowy wynosi 275 Nm. Rodzinny chiński SUV o długości 4,73 m, wysokości 1,71 m i szerokości 1,86 m nie jest zatem demonem prędkości. Od razu warto więc tryb „Eco" zmienić na „Normal" lub „Sport". Sprint od zera do 100 km/h zajmuje mu 10,8 s. Prędkość maksymalna wynosi zaś 180 km/h. Średnie zużycie paliwa w cyklu mieszanym w naszym teście wyniosło 9,3 l/100 km.

W kabinie jest jakby luksusowo. Dominują przyjemne w dotyku, wysokiej jakości materiały, które zostały dobrze spasowane. Zobaczymy tu też np. gustowne drewniane wstawki. Ze wspomnianym Mercedesem kojarzyć się mogą maskownice głośników czy przyciski do sterowania szybami. W wersji Prestige do wyboru jest czarna lub brązowa tapicerka ze skóry ekologicznej. Podgrzewane są zaś nie tylko przednie fotele, lecz także tylna kanapa. W drugim rzędzie każdy pasażer może indywidualnie dostosować kąt nachylenia oparcia. Na desce rozdzielczej dominuje dotykowy ekran systemu multimedialnego o przekątnej 15,6 cala z bezprzewodową obsługą Android Auto i Apple CarPlay (niestety, pasek klimatyzacji znika, gdy odpalimy któryś z tych systemów, i aby go wywołać, potrzeba dodatkowych kliknięć). Niepotrzebnie do systemu multimedialnego wrzucono też regulację lusterek bocznych.

Kierowca spogląda na cyfrowy zestaw wskaźników (10,25 cala) – jest w porządku, ale nie da się w nim ustawić funkcji przydatnych dla danego kierowcy. Bardzo dobrze działają za to system kamer 540 stopni, bezprzewodowa ładowarka 50 W oraz klimatyzowany schowek.

W standardzie (bez dopłaty) w Tiggo 8 jest siedem miejsc. Pojemność bagażnika wynosi 889 l. Po złożeniu tylnej kanapy pojemność kufra rośnie do 1930 l, a po rozłożeniu trzeciego rzędu siedzeń maleje do 193 l. ©℗

ECOVACS WINBOT W3 OMNI

Wysoka skuteczność i szybkość mycia szyb, własna minipralka do szybkiego mycia mopów, dwa tryby zasilania robota, banalnie prosta obsługa, dobra znajomość języka polskiego przez robota, a także możliwość mycia nie tylko szyb okiennych, lecz także grubszych luster, kabin prysznicowych etc. – to największe zalety najnowszego robota do mycia okien chińskiej marki Ecovacs.

Kwadratowe roboty z serii Winbot myją szyby na świecie już od roku 2011. Mimo to najnowszy model – Winbot W3 OMNI – stał się jednym z hitów tegorocznych targów technologicznych MWC w Barcelonie. Najnowsza wersja tego robota została bowiem wyposażona w minipralkę z technologią Vortex Wash, będącą jednocześnie stacją dokującą dla robota. Z zewnątrz przypomina ona klasyczną pralkę bębnową w miniaturowej postaci. Stacjopralka jest uzbrojona w 16 wysokociśnieniowych dysz i cztery tarcze szorujące, które obracają się z prędkością 200 obrotów na minutę. Dzięki temu potrafi szybko wyprać nawet mocno zabrudzone, wymienne mopy do mycia szyb. Mycie standardowe trwa minutę, a intensywne półtorej minuty.

I chociaż koncepcja brzmi jak marketingowy humbug, to po kilku dniach spędzonych z robotem i jego minipralką muszę przyznać, że w codziennym użytkowaniu to zaskakująco praktyczne rozwiązanie. No bo po co człowiek ma brudzić sobie ręce, skoro od mokrej roboty może mieć automat? Mycie padów w minipralce znacząco przyspiesza też proces mycia okien. Gdy robot czyści szybę, minipralka może prać zapasowy pad. Potem szybka zmiana nakładek. Bez zbędnych przerw.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Do zalet robota trzeba zaliczyć zaawansowane algorytmy i czujniki do wykrywania przeszkód oraz trzy dysze szerokokątnego natrysku, które we współpracy z mokrym padem ułatwiają walkę z solidnymi zabrudzeniami. Użytkownik może wybrać czyszczenie szybkie, intensywne lub puntkowe. Plusem są także dwa tryby zasilania: sieciowe i akumulatorowe. Robot może więc myć szyby nawet tam, gdzie nie ma dostępu do elektrycznego gniazdka. Ważąca 10 kg stacja dokująca generuje ponad 800 N siły ssącej – dzięki temu Winbot trzyma się szyb niczym przyklejony. Na wszelki wypadek robot jest jeszcze uzbrojony w trójwarstwowy kabel pełniący funkcję linki bezpieczeństwa oraz metrową dodatkową linkę bezpieczeństwa z karabińczykiem.

Minusy? W miejscu, w którym robot „przyczepia się" do szyby po zakończeniu mycia pozostają ślady – wystarczy je przetrzeć ściereczką, ale człowiek coś tam jednak zrobić musi. Trzeba też pamiętać, że Winbot myje szyby – ramy okienne trzeba umyć samemu (lub znaleźć do tego innego pomocnika…). Cena: 2999 zł. ©℗

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl df9201f649



MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Zalety wołowiny

W poszukiwaniu nowych inspiracji kulinarnych tym razem wybrałyśmy się w nasze rodzinne strony na Górny Śląsk. Okazja była wyjątkowa, bo Dzień Kobiet na Śląsku obchodzony jest szczególnie uroczyście. Babski Comber – tak nazywa się tradycyjna impreza tylko dla kobiet, wprawdzie wywodząca się z Krakowa, ale na Śląsku bardzo popularna. Niegdyś impreza organizowana w ostatki, teraz idealnie wpisała się w charakter Święta Kobiet.

Zanim dotarłyśmy na miejsce, odwiedziłyśmy ruiny zamku w Chudowie koło Gliwic. Tuż przy ruinach stoi pięknie położona karczma Dworek przy Zamku, w której oczywiście zatrzymałyśmy się na małe co nieco. Tym razem na stół wjechał przepyszny wołowy tatar z grzankami, jednak naszą uwagę zwróciły policzki wołowe, które przyrządzano według autorskiego przepisu szefowej kuchni. Sekretem jest specjalna marynata z przyprawą do piernika. Dzięki temu mięso ma charakterystyczny smak i aromat orientalnych przypraw.



FOT. ADOBE STOCK

Wolno gotowane policzki dosłownie rozpływają się w ustach i oczywiście doskonale smakują z kluskami śląskimi i zasmażaną kapustą. Długie i wolne gotowanie w temperaturze nie wyższej niż 160 st. C sprawia, że mięso nasyca się wyjątkowym smakiem. Policzki nie dość, że są wyjątkowo smaczne, to jeszcze stanowią bogactwo żelaza, białka i kolagenu, a dzięki temu korzystnie wpływają na nasze zdrowie i kondycję skóry. Warto postarać się i je poszukać, bo nie często można dostać policzki w popularnych sklepach, a raczej na bazarkach i od lokalnych małych rzeźników. A są naprawdę warte małego poświęcenia.

„Policzki wołowe Zamkowe" przełamane przyprawą do piernika

• 1 kg policzków wołowych • Marynata: • 1 szklanka czerwonego wina • włoszczyzna • 1 cebula • przyprawa do piernika • 2 łyżki masła klarowanego • ⅓ szklanki wody • przyprawa do wołowiny już gotowa lub: sól, czosnek, papryka słodka i ostra, czarny pieprz, ziele angielskie, majeranek, kolendra, liść laurowy, tymianek i kminek – wszystkiego po łyżeczce • ⅓ szklanki oleju

Warzywa zacieramy na tarce, mięso kroimy lub nie, bo i tak pod wpływem gotowania się rozpadnie. Wszystkie składniki marynaty dokładnie razem mieszamy i smarujemy mięso. Warzywami przykrywamy mięso. Wstawiamy do lodówki na 48 godz. Po tym czasie przekładamy do garnka z grubym dnem, układamy na rozgrzane masło, podlewamy wodą i dusimy minimum 5 godz. na wolnym ogniu lub w piekarniku w temperaturze nie wyższej niż 160 st. C. Po ugotowaniu mięso wyjmujemy, a sos możemy zblendować na gładko lub przetrzeć przez sito. Podajemy z purée z ziemniaków lub z kluskami śląskimi zasmażonymi buraczkami lub kapustą albo z lekką, zieloną sałatą. ©℗



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Wedle płota

W niedzielę wybraliśmy się na spacer, jak przykładni obywatele. Nie do Lasu Kabackiego, jak zwykle, bo w weekendy tam tłoczno, ale pochodzić po okolicy i zobaczyć, co nowego.

Ruch budowlany albo już trwa, albo szykuje się do akcji. Działki przygotowane, dęby wycięte, zaraz wyrosną wille. W standardzie jak przystało na okolicę, jesteśmy wszak w południowym Konstancinie. Nie tym eleganckim z Królewskiej Góry, ten tutejszy jest peryferyjny, już prawie nie Konstancin, bo ociera się o Kierszek. Przyznacie, że Kierszek to jednak nie to samo, co Konstancin.

Ale ci, którzy tu budują wille, wcale nie myślą, że to gorsza okolica. Wille będą na pełnym wypasie, tysiąc metrów pokojów plus basen i siłownia. No i garaż na dwucyfrową liczbę samochodów, ma się rozumieć. Kto jest inwestorem, nie wiadomo, bo na żółtych tablicach informacyjnych tej akurat informacji zazwyczaj brak.

Ale ja właściwie nie o willach, tylko o płotach. Ten pełny wypas należy ogrodzić, i to tak, żeby żadna Boża istota się nie przedarła. O człowieku nawet nie myślę, zresztą przestał już być Bożą istotą. Mam na myśli myszy, jeże, mrówki i takie różne pełzające stworzenia, które hasały sobie po lesie, który tu istniał, zanim go wycięto. Teraz już nie ma mowy. „Mysz się nie prześlizgnie" – jak mówi ludowe porzekadło.

Zapomnijcie o zwykłej siatce. Siatka to byłaby w konstancińskim krajobrazie obraza, symbol ubóstwa, upadek. Tutaj każdy dom ma ogrodzenie takie jak Ambasada Izraela. Pancerne. Żelazne pręty bez prześwitu, płyty z czegoś à la beton, à la kamień, w każdym razie grube, wysokie i niepozwalające dojrzeć w domostwie niczego poza kominem. Nie sądzę, żeby jakiś świerszcz miał ochotę tam trafić.

Moja ulubiona rozrywka – zaglądanie w okna na parterze – tu w ogóle nie daje szans. A coś takiego, jak w Holandii, gdzie ludzie żyją przy niezasłoniętych oknach i się nie przejmują, że ktoś na nich patrzy? Mowy nie ma. W Holandii marynarze, którzy wyjeżdżali na długo w rejsy i zostawiali żony, woleli okien nie zasłaniać, żeby osierocony paniom nie przychodziły głupie pomysły do głowy. I ten zwyczaj się utrwalił.

Albo weźmy USA: tam pancerne ogrodzenia w ogóle nie istnieją. Widać na każdym amerykańskim serialu, ja widziałam też na żywo. Każdy ma swoją działkę, obok sąsiada, i nikt niczego nie grodzi. A jakby już postanowił się zadekować, to wzbudziłby podejrzenia tzw. społeczności, w dawnym języku: ludności miejscowej. Dziwne, że oni tak mogą bez tych płotów.

Cóż, co kraj, to obyczaj. Tylko nasz jakiś taki głupi, żeby nie powiedzieć zdegenerowany. ©℗

eprasa.pl df9201f649



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Męki neowieśniaków

Donosiłem już w styczniu o australijsko-brytyjskim małżeństwie, które zamieszkało w prymitywnym, walącym się domku w lesie koło Chieti z trojgiem dzieci (dziś 6–8 lat), zgodnie z bardzo radykalnymi poglądami na to, jak żyć: z osiołkiem i konikiem, ale bez prądu, gazu i łazienki. Na łonie natury, z dala od zgubnej cywilizacji – stąd „neowieśniacy".

Pech chciał, że córeczka zatruła się grzybami. Trafiła do szpitala, a także na radar włoskich służb społecznych. W efekcie jesienią ubiegłego roku agenci pojawili się w leśnym domku i siłą zabrali trzy szlochające i opierające się dziewczynki do domu dziecka. Ktoś sfilmował rozdzierającą serce scenę i filmik trafił do wszystkich włoskich telewizji, wywołując potężną falę współczucia i oburzenia.

Z powodu fatalnych warunków mieszkaniowych i zaniedbania obowiązku szkolnego prawa rodzicielskie Catherine i Nathana decyzją sędziego zostały zawieszone. Okazało się, że „nauka domowa", na co włoskie prawo zezwala, na niewiele się zdała. Dzieci nie mówiły po włosku, nie potrafiły dobrze pisać, czytać ani rachować.

Mama otrzymała prawo ograniczonego towarzyszenia dzieciom w domu dziecka. Tato Nathan dojeżdżał. W tym czasie jeden z bogatych, bardzo poruszonych Włochów oddał rodzinie do dyspozycji swój letni dom w lesie ze wszystkimi wygodami. Ale sąd dla nieletnich na przeprowadzkę nie wyraził zgody. Naturalnie, jak zapewniał sędzia, w dobrze pojętym interesie dzieci.

A dziewczynki, mimo że codziennie widziały się z mamą, znosiły pobyt w domu dziecka coraz gorzej. Zamykały się w sobie, ciągle płakały, zaczęły się okaleczać, atakować inne dzieci i siać wokół zniszczenie. Pedagogiczny eksperyment poniósł klęskę. Dla dzieci był jedynie pogłębiającą się traumą.

Personel domu dziecka i zatrudnieni tam fachowcy od psychologii dziecięcej natychmiast znaleźli przyczynę ponurej sytuacji. Doszli do wniosku, że wszystkiemu winna jest mama Catherine. Ponoć sabotowała wysiłki pedagogiczne personelu i wyśmiewała wychowawców w obecności swoich dzieci, niszcząc bezpowrotnie ich autorytet. Pani sędzia z sądu dla nieletnich w Aquili dała temu wiarę i 5 marca zawyrokowała, że dzieci, już bez mamy, należy przenieść do innego domu dziecka. Słowem: zaordynowała terapię „Więcej tego samego" mimo dotychczasowych katastrofalnych skutków. Jak zapewniała, na razie nie ma mowy o rozdzieleniu dzieci ani oddaniu ich do adopcji, co jednak brzmi jak groźba.

Sprawa jest na ustach całej Italii. Premier Giorgia Meloni oraz wicepremier Antonio Tajani powiedzieli, że dzieci nie mogą być własnością państwa. Należą do rodziców. ©℗



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Dług gwarancji

Wszyscy o tej wojnie i wojnie. Na początku napaści Rosji na Ukrainę też tak było. Różni OSINT-owcy wręcz codziennie pochylali się z narodem z wypiekami na twarzach nad mapami wojny, by roztrząsać strategiczne znaczenie jakichś Awdijiwek, strumyków czy mostków. Potem zeszło na szczegółowe rozważania na temat wyposażenia poszczególnych stron – namnożyły się kalibry, zasięgi, prędkości wylotowe. Powoli jednak zagarnęła wszystko geopolityka, od kiedy fronty stanęły naprzeciw siebie, jak w pierwszej wojnie światowej, co obróciło niespodziewanie w niwecz wszelkie dotychczasowe spekulacje nad „wojną nowego typu". Mapki zamieniono na globusy, bo nagle wszystko ze sobą się powiązało w wojnie coraz bardziej globalnej.

Z Iranem od razu poszło na globus. Głównie dlatego, że teatr tej wojny jest mocno umiędzynarodowiony – dzieje się w dziesiątkach miejsc, a więc praktycznie od razu rządzi geopolityka. Opisy tej wojny są dziwne, gdyż trudno przyznać którejś z jej stron jakieś znamiona zwycięstwa czy porażki. Po prostu istnieje podejrzenie – przynajmniej oparte na zmiennych enuncjacjach Ameryki – że cele tej wojny nie zostały do końca określone. To tak jak w anegdocie, kiedy przechodzący przez park zobaczył dwoje ludzi grających w ringo i powiedział: To fajna gra, pierwszy raz to widzę, ale za diabła nie wiem, kto wygrywa.

Biorąc za punkt odniesienia ukraińskie Awdijiwki, trudno powiedzieć, kto tam na Bliskim Wschodzie wygrywa, bo gra nie jest w terenowe zdobycze. Ale na pewno przegrywa jedna rzecz, może ważniejsza niż wszystkie armaty razem wzięte. Przegrywa amerykański mit o dowożeniu zobowiązań dla sojuszników, jeśli chodzi o gwarancje bezpieczeństwa. Nie dość, że amerykańskie bazy przyciągają irańskie rakiety, to USA ściągają sprzęt od sojuszników na kierunek izraelski, co wzbudza słuszne obawy innych sojuszników z regionu co do priorytetów Waszyngtonu.

Ale w tym zestawieniu najważniejsza stała się postawa wobec Kurdów. Ci mieli zostać (znowu!) użyci do lądowych zawieruch na północy Iranu. Jednak Kurdowie odmówili udziału w takiej przygodzie. Podpuszczani wielokrotnie przez USA do powstania i tyle samo razy zdradzani dziś nie chcą uczestniczyć w misji, w której są traktowani jako pionek do stawiania i zdejmowania z szachownicy mocarstw. A to zły znak dla Ameryki – w końcu skuteczność mocarstwa opiera się na takim poziomie prestiżu sprawczości, że najczęściej się go nie sprawdza. Dziś Trump sam testuje nie wiadomo po co publicznie swoje zdolności i nie wypada to najlepiej. A to dług zaciągany na lata. ©℗

eprasa.pl df9201f649



DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Ukraiński „Król Humbugu”?

Bardzo ciekawą postać przypomniał nam niedawno prezydent Donald Trump. W swoim wpisie na platformie Truth Social amerykański przywódca pochylił się nad problemem topniejących zapasów rakiet, które ma do swojej dyspozycji „globalny hegemon”. Zdaniem prezydenta Trumpa za ten fatalny stan odpowiada jego poprzednik. „Śpiący Joe Biden poświęcił cały swój czas i pieniądze naszego kraju, oddając wszystko

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



P.T. Barnumowi (Zełenskiemu!) z Ukrainy – setki miliardów dolarów – i chociaż rozdał tyle niezwykle drogiej broni (ZA DARMO!), to nie zadał sobie trudu, żeby ją zastąpić” – napisał Trump.

Postać Phineasa Taylora Barnuma nie jest w Polsce powszechnie znana. Inaczej mają się rzeczy w USA, ojczyźnie nietypowego przedsiębiorcy, nazywanego przez współczesnych „Królem Humbugu”. Z tego akurat tytułu P.T. Barnum był dumny. Odróżniał on bowiem humbug od zwykłego oszustwa, zwanego szwindlem. O ile to ostatnie polegać miało na okradaniu publiczności, bez dawania jej czegoś w zamian, o tyle „humbug” zapewniał widzom ekscytujący show, za który gotowi byli dobrze zapłacić. „Naród chce być oszukiwany” – zapewniał P.T. Barnum, a sytuacja ta się nie zmieni, bo – jak pouczał – „co minutę rodzi się frajer”. W zorganizowanym przez siebie Muzeum Barnuma amerykański przedsiębiorca pokazywał rozmaite atrakcje, jak słynna „Syrena z Fidżi”, „zmumifikowane ciało pięknej półkobiety, półryby”. W rzeczywistości był to wysuszony tułów niewielkiej małpy, przyszyty do ogona łososia i pokryty namoczonym papierem. Właściciel „muzeum” zapewniał swym eksponatom należytą oprawę. Jeden z jego wspólników, rzekomy „doktor” Griffin, wygłaszał w salach muzeum pseudonaukowe wykłady, poświęcone szczegółom anatomii „Syreny z Fidżi”, podpierając się przy tym sfałszowanymi certyfikatami najlepszych europejskich uniwersytetów. P.T. Barnum rozumiał, że żadne dobre oszustwo obyć się już nie może bez „uczonych ekspertów”. Do atrakcji muzeum należał przebierany w mundur karzełek, nazywany „generałem Tomciem Paluchem”, zrośnięte bliźnięta syjamskie, kura z czterema nogami oraz rzekoma murzyńska niania Jerzego Waszyngtona, która w momencie pokazu liczyć sobie powinna równe 161 lat. Była to w rzeczywistości o połowę młodsza, sparaliżowana i niewidoma niewolnica, kupiona przez przedsiębiorcę specjalnie na użytek występów. Innymi gwiazdami cyrku było chorujące na mikrocefalię rodzeństwo z Salwadoru, dotknięte niedorozwojem umysłowym. Chłopcy sprzedani zostali Barnumowi przez biedujących rodziców i przez następne lata prezentowano ich na scenie jako „ostatnich przedstawicieli świętej rasy Azteków”. Bracia pochodzili rzekomo z tajemniczego miasta Iximaya, gdzie składać im miała ofiary miejscowa ludność. Właściciel cyrku zadbał, by o azteckim pochodzeniu dzieci rozpisywali się na łamach ówczesnej prasy eksperci – opłaceni zawczasu lekarze i antropolodzy. W rezultacie zarówno z „Aztekami”, jak i „Tomciem Paluchem” spotykali się ówcześni królowie i prezydenci, darząc organizatora okrutnej hucpy protekcją i przyjaźnią.

Co miał na myśli prezydent Donald Trump, publicznie porównując ukraińskiego przywódcę, Wołodymyra Zełenskiego, do otoczonej legendą postaci „króla humbugu”? Czy pragnął zwrócić uwagę na podobieństwo ich ścieżek życiowych, korzeniami związanych z przemysłem rozrywkowym? A może praktykowany przez prezydenta Zełenskiego sposób funkcjonowania w polityce skojarzył się Donaldowi Trumpowi z barwnym korowodem dziwadeł, obwożonych przez pozbawionego skrupułów hochsztaplera po XIX-wiecznych dworach? Warto się zastanowić, jaką rolę w tym widowisku odegrać mogli polscy politycy i eksperci. Przez ostatnie lata byli oni przecież gorliwymi „rzecznikami” i „orędownikami” polityki Wołodymyra Zełenskiego. Kto z nich odegrał rolę „niani Józefa Piłsudskiego”, a kogo ubrano w mundur „generała Tomcia Palucha”? Ocenić to musi publiczność, która za spektakl zapłaciła, jak zawsze, słono. ©℗

eprasa.pl df9201f649



Z INNEJ PERSPEKTYWY

Postaci znane

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Jak bolesne są skutki braków w edukacji historycznej, możemy przekonać się, czytając napływające regularnie z całej Polski doniesienia o tym, jak kolejne władze samorządowe upamiętniają z pompą i ze wszelkimi honorami postaci znaczące w historii Niemiec, a nawet w dziejach relacji polsko-niemieckich, nie zastanawiając się specjalnie nad kontekstem historycznym. Nikt specjalnie nie myśli nad tym, w jaki sposób znacząca dla dziejów Niemiec postać odnosiła się do Polski, kultury polskiej, polskich aspiracji niepodległościowych. Wystarczy, że jest postacią znaną. Dlatego tablica pamiątkowa się należy.

W ten sposób honoruje się mniej lub bardziej znanych wrogów Polski i polskiej niepodległości – od znanego ze swojej nienawiści do naszego kraju króla Prus Fryderyka II Hohenzollerna po działającego w Sopocie na początku XX w. architekta miejskiego zaangażowanego w program Kulturhebung des deutschen Ostens (kulturowe podnoszenie niemieckiego Wschodu). Całkiem niedawno do grona samorządowców błądzących po historii relacji polsko-niemieckich jak dzieci we mgle dołączyli włodarze pięknego Zamościa, którzy – jak zapowiadają – nie będą ustawać w wysiłkach na rzecz upamiętnienia urodzonej w tym mieście Róży Luksemburg, która „naukowo" na kartach swojej dysertacji doktorskiej (napisanej w języku niemieckim) udowadniała pod koniec XIX w., że niepodległość Polski jest mrzonką.

Jeśli ta tendencja do seryjnego popełniania niefrasobliwości historycznych utrzyma się wśród polskich samorządowców, to można spodziewać się np., że włodarze miasta Poznania – skądinąd zasłużeni na rzecz rozwoju nakierowanej na inkluzywność edukacji w przestrzeni miejskiej (stały sprzeciw wobec odnowienia pomnika – wotum wdzięczności Sacratissimi Cordi jest tego najlepszym dowodem) – zdecydują się na upamiętnienie pruskiego feldmarszałka i prezydenta Rzeszy Niemieckiej (1925–1934) Paula von Hindenburga.

Jeśli tendencja do seryjnego popełniania niefrasobliwości historycznych się utrzyma, to można spodziewać się, że włodarze Poznania zdecydują się na upamiętnienie pruskiego feldmarszałka i prezydenta Rzeszy

Postać znana. Skutecznie walczył z zagrożeniem rosyjskim (zwycięstwo pod Tannenbergiem w sierpniu 1914 r.). Szczerze zaangażowany w szerzenie prądów postępowych. Należał przecież w 1917 r. do wąskiego grona osób w ścisłym kierownictwie polityczno-wojskowym Rzeszy Niemieckiej przygotowujących operację „zaplombowany wagon", czyli przewóz ze Szwajcarii przez Niemcy, dalej do Skandynawii i Rosji przywódców partii bolszewickiej z Leninem na czele. Bolszewicy, jak wiadomo, skrupulatnie wykonali postawione przed nimi zadanie popchnięcia Rosji na tory postępu i wyzwolenia klasy robotniczej (przy okazji zawierając w marcu 1918 r. separatystyczny pokój z Niemcami).

Hindenburg dwa razy – w latach 1925 i 1932 – wygrał demokratyczne wybory na prezydenta Rzeszy Niemieckiej. W tym charakterze zwalczał, gdzie tylko mógł, polski szowinizm i imperializm, wpisując się w ogólnoniemiecki konsensus głoszący konieczność położenia kresu istnienia państwa polskiego niemiłosiernie uciskającego wszystkie mniejszości narodowe.

Jest co prawda w biografii politycznej postaci znanej a urodzonej w Poznaniu pewien przykry epizod. Myślę tutaj o mianowaniu przezeń 30 stycznia 1933 r. kanclerzem Rzeszy Niemieckiej przywódcy narodowych socjalistów Adolfa Hitlera, którego sam pieszczotliwie nazywał „czeskim gefrajtrem". Nie obwiniajmy jednak znanego Poznańczyka za wszystkie straszne rzeczy, które stały się w latach 1933–1945, na czele z Holokaustem. Przede wszystkim dlatego, że te straszliwe zbrodnie – jak ustaliła najnowsza niemiecka historiografia – nie były dziełem Niemców, ale nazistów, wśród których prym wiedli polscy burmistrzowie.

Postacią znaną był urodzony pod Swarzędzem gen. Erich Ludendorff – równie mocno zaangażowany w walkę z zagrożeniem rosyjskim, w popchnięcie Rosji po 1917 r. na tory postępu i tolerancji oraz w walkę z katolickim klerykalizmem. Co prawda, ten ostatni aspekt jego działalności odbywał się pod hasłem walki „gegen Rom und Juda" (przeciw Rzymowi i Judzie), ale nie sposób odmówić tej znanej postaci rodem z Wielkopolski iście lemparciego zacięcia w walce z katolicką nietolerancją.

Tyle jeszcze tablic do postawienia! ©℗

eprasa.pl df9201f649

GŁÓD



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Jest czterech jeźdźców Apokalipsy. Pojawią się przy końcu czasów, aby wykończyć ludzkość: Śmierć, Wojna, Głód, Powietrze (chodzi o „powietrze morowe", czyli takie, które zabija: zaraza, toksyczne wyziewy wulkanu, opad radioaktywny…).

Unia Europejska realizuje koncepcje Głodu. Urzędnicy planowo wyniszczają miejscowe rolnictwo. W Holandii płacą rolnikom za likwidowanie stad bydła. W Unii ma nie być krów, bo krowy pierdzą metanem, a poza tym krowy to zwierzątka i nie wolno ich męczyć… I tak dalej ple ple.

Podpisali umowę z Mercosur na dostawy żywności z innego rejonu świata, czyli zlikwidowali pierdzenie krów w Europie, ale zwiększają produkcję pierdzących krów w Argentynie i Brazylii. Jaki to ma sens z punktu widzenia planety? Oni mówią, że krowy holenderskie trzeba likwidować, bo planeta płonie. Czy planeta przestanie płonąć, gdy ta sama liczba krów, która przestała pierdzieć w Holandii, zacznie pierdzieć w Argentynie? Bilans wypierdzianego metanu w skali planety się nie zmieni, czyli po co oni to robią? Organizują głód w Europie. O Głód im chodzi, a nie o planetę.

***

Żywność z Mercosur to tania pasza dla ludzi, niezdrowa, trująca, produkowana bez żadnych norm. Import taniej paszy spowoduje, że padną gospodarstwa miejscowe, bo staną się za drogie. Potem wystarczy przerwać dostawy żarcia z Ameryki Południowej, za pomocą Wojny, i nagle Europa nie ma co jeść, a sama na swojej ziemi nie będzie już miała rolników. Głód.

Dostawy morskie łatwo zablokować. Iran zablokował jedną cieśninę i 20 proc. ropy nie da się dostarczyć. No to wyobraźmy sobie, że ktoś blokuje Cieśninę Gibraltarską. Którędy popłyną dostawy żywności z Mercosur do Włoch i Grecji? Wystarczy rozwalić port w Hamburgu – którędy Mercosur dostarczy żarcie do Niemiec? Cieśniny duńskie... I którędy popłynie żarcie z Mercosur do Polski? Wojna nie musi być ogromna, by zagłodzić Europę po tym, jak Europa zlikwiduje swoje rolnictwo i postawi na tanie dostawy zza morza.

***

W realizacji są kolejne regulacje prowadzące do Głodu. Paszport na kurę. Producent przemysłowy sobie poradzi. A hodowca, który ma przy domu 10 kur, zrezygnuje. Likwidacja produkcji żywności na własny użytek. Wraz z likwidacją hodowców znika ze społeczeństwa wiedza na temat, „jak hodować kury". Paszport na pszczoły. Od 18 marca 2026 r. każdy, kto ma pszczoły, jest zobowiązany do rejestracji pasieki. Bez znaczenia, czy miód jest sprzedawany czy trafia wyłącznie na własny stół. Unijne prawo zrównało pszczoły z innymi zwierzętami gospodarskimi w zakresie nadzoru weterynaryjnego. Od tej chwili nawet pojedynczy ul staje się obiektem zainteresowania systemu. Papierologia, koszty, kłopoty – wielu pszczelarzy amatorów machnie ręką i zrezygnuje. A jak nie, to co dalej? Konfiskata nielegalnych uli. Ktoś ma tylko jeden – przyjadą, zabiorą. I co zrobią z tym jednym ulem? Spalą – utylizacja – bo nic innego się nie opłaca. No chyba że zaczną stawiać unijne obozy dla skonfiskowanych uli.

***

Unia Europejska planowo likwiduje dobrobyt. Kraje kiedyś bogate, gdzie się żyło dostatnio, popadają w ruinę. Co było spokojne, zamienia się w niespokojne. Co było bogate, ubożeje. Ludzie chcą żyć coraz lepiej i kiedyś w krajach UE żyło się coraz lepiej. Kraje Zachodu się bogaciły, teraz niszczą same siebie. Przyjeżdżam do Polski co dwa miesiące i za każdym razem widzę skokową zmianę na gorsze. Widzę więcej i więcej czarnych twarzy – snują się ulicami bez wyraźnego celu. Snują się w porze, gdy inni pracują. Oni pracy nie mają, więc się snują.

Białe twarze nie snują się po ulicach, tylko chodzą. Po białych ludziach widać, że idą w jakiejś sprawie, skądś dokądś. Ich kroki są celowe, nawet jeżeli ktoś wyszedł wyprowadzić psa, to idzie… bo wyprowadza psa. A czarne twarze się snują bez celu. Oni nie są u siebie, nie czują się u siebie, nie mają roboty, snują się bez celu. Czy to buduje nasz dobrobyt? Kiedy nam to wybuchnie w twarz?

Nie mam zamiaru bawić się z Państwem w uniki słowne. Mówię szczerze: ja nie chcę w Polsce czarnych twarzy. Można tę niechęć zlekceważyć i nazwać rasizmem, tylko że wtedy się nie dogadamy, nie dojdziemy do PRAWDY. A prawda jest taka, że tu nie o rasizm chodzi, lecz o poczucie bezpieczeństwa i KOMFORTU we własnym kraju. Polska to mój dom i ja chcę w moim domu oglądać białe twarze, a nie czarne. Wychowałem się wśród białych chrześcijan i takie towarzystwo mi odpowiada. Część tych białych chrześcijan była niepraktykująca, inni byli niewierzący, byli też ateiści, ale nawet ateista był ateistą chrześcijańskim – wyznawał te same zasady co ja: nie zabijaj, nie kradnij, nie kłam, nie zdradzaj… Wartości chrześcijańskie były nadal wartościami nawet dla ateisty. On po prostu nie wiązał tych wartości z Bogiem. Wartości chrześcijańskie nazywał „ogólnoludzkimi".

Mieliśmy kraj białych ludzi o podobnych wartościach, a teraz narastająca liczba czarnych twarzy i oni naszych wartości nie znają lub nie podzielają. Ja nawet nie wiem, jakie oni mają wartości, bo nie rozmawiamy. Nie znają mojego języka. Mam w Polsce gadać po arabsku? No nie! Nie chcę i tyle. I nie chcę też, aby oni się uczyli polskiego, bo będzie jeszcze gorzej. Ja chcę, aby ich deportowano. Gdy widzę na przystanku parę czarnych twarzy, chcę, aby do nich podszedł patrol policyjny, wylegitymował, a gdy się okaże, że są tu nielegalnie, to chcę, aby ich skuł, wsadził do suki i wywalił z mojego kraju. Bo to jest mój kraj.

Rasizm? Ksenofobia? Przyjmę te określenia, bo nic nie znaczą. Nie opisują prawdy. Tu nie chodzi o rasizm, lecz o komfort życia we własnym domu. O dobrobyt, którego jeszcze sobie w Polsce nie wybudowaliśmy, a już każą go oddać czarnym twarzom. ©℗

eprasa.pl df9201f649

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"



W PREZENCIE

KSIĄŻKI

KS. JERZY JASTRZĘBSKI: „DROGA KRZYŻOWA Z BŁ. KS. JERZYM POPIEŁUSZKĄ", GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTIAN KRATIUK, PAWEŁ LISICKI: „ŚWIAT I KOŚCIÓŁ W KRYZYSIE"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~763 ZŁ~~

309,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 454 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- **Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail**
- **Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.**

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl df9201f649



NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



ZAMACH WRZEŚNIOWY: OBALENIE PREZYDENTA WIENIAWY

Francuzi wymieniają Polsce głowę państwa – wydarzenia paryskie z września 1939 r. można uznać za zamach stanu. Prezydent Bolesław Wieniawa-Długoszowski został pozbawiony władzy przez Francuzów, przy współudziale gen. Władysława Sikorskiego

Cud na wzgórzu Tepeyac – niezwykły wizerunek połączył dwa światy: Azteków i Hiszpanów, sprawiając, że kolonizatorzy inaczej patrzyli na podbitą ludność. Nie sposób zrozumieć dzisiejszego Meksyku bez poznania tej historii

Zagłębiowski Dziki Zachód – Rewolucja lat 1905–1907 w Polsce pod zaborem rosyjskim miała miejsce nie tylko w Warszawie czy w Łodzi, lecz także w Zagłębiu Dąbrowskim. Wybuchały wówczas nie tylko strajki w fabrykach, lecz także bomby, padały strzały w kierunku Rosjan, kozaków i prowokatorów

Moskwa albo śmierć – upadek sowieckiej stolicy miał być fundamentem zwycięstwa III Rzeszy. Hitler planował stworzyć w miejscu sowieckiej stolicy wielki zbiornik wodny

Gorąca głowa i zimne serce Konwickiego – niezależnie od naszych ocen jego twórczość, zarówno pisarska, jak i filmowa, jest nie do podrobienia. Przekonali się o tym jego naśladowcy, którzy jak jeden mąż ponieśli klęskę – pisze Krzysztof Masłoń

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl df9201f649